ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec

WARSZAWA.

1896.

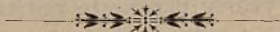
Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 11½.

Druk ukończono d. 10 czerwca 1896 r.

JĘDREK.



Sir Jonatan Robinson był w rozpaczy. Wiosna
W zieleń uhaftowała pól szerokich krosna,
I oddech jéj zefirów życiodawczych pełny
Bujném kwieciem uśnieżył plantacye bawełny.
I zdało się, że piękny będzie zbiór. Lecz latem
Były żary ogniste. Gorejąc nad światem
Niby Tyfon okropny z złowieszczemi szumy,
Słońce niosło bawełnie śmiertelny jad dżumy —
I na krwawych płomieniach — niszczyciele duchy
Ku łanom, bielejącym jak motyle puchy,
Albo stada owieczek na zielonéj łące —
Zleciały drobnych stworzeń tysiące, tysiące.
Leciały — skąd? — nikt nie wié; z nad równika żarów,
Jak niezmierzona chmura powietrznych Tatarów —
I słońce zakrywały swym czarnym ogromem
I legły na bieliźnie pól śmiertelnym gromem.
Niepowstrzymane roje szarańczy — bicz boży,
Którego nic nie zniszczy i nic nie zatrwoży,
Ni wodotryski nafty, ani armat huki,
Płyną, coraz się w szersze rozlewając łuki,
Płyną w szklanym pobrzęku muzyki skrzydlatéj,
Płyną, płyną i płyną — niszcząc białe kwiaty.

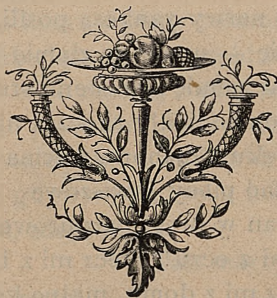
Urodzone z słonecznych ogni rozpalonych —
Legły na stadach owiec, w kwiaty przemienionych,
I to, co umaiły wiosenne zefiry,
Zepchnęła ćma szarańczy w beznadziejne kiry.
Wszystko pożarła horda ta niopokonana:
Tu był wątek rozpaczy sira Jonatana,
I, gdy szedł śród tych krzaków, co rzadkiemi grupy
Sterczały na zagonach — niby kościotrupy —
Na żaden ból nieczuły ten yankes plantator,
Łzy miał w oczach, gryzł wąsy, przeklinał ekwator,
Gdzie w płomieniach się rodzi owa czerń zatruta,
I potrząsał połami białego surduta —
I targał rudą brodę — i, by zakląć czary,
Pluł wciąż — jedno po drugiém ćmiąc wonne cygary —
I mówił: Tam do licha! wszystko mi przepadło,
Zginąłem przez tę hordę szarańczy zajadłą:
Wszystko mi tu wyżarły przeklęte potwory!...
A tak mi się bogato uśmiechały zbiory.
Zrujnowany do szczętu, zniszczony, zgubiony —
I cóż mi pozostało? trzy, cztery miliony —
Jak się ratować? Jakąż tu zrobić oszczędność?
Pierwszą rzeczą w businesie siła i bezwzględność.
Co mi zniszczyła krwawa szarańcza z równika,
W małéj części odbiorę z płacy robotnika.
Siła wyższa... Dziesiątą spłacę część hałastrze —
I jam nędzarz — więc niechaj dadzą mi po piastrze —
Toć zawsze tysiąc piastrów. Jestem zrujnowany...
Przepadł do milion dyabłów mój zbiór bawełniany!
Ha! do pioruna, gdybym pod ręką miał kogo,
Tobym go zdusił, zdeptał...
Tak marzył złowrogo
Sir Jonatan Robinson.
(Działo się to wszystko
W Ameryce, nad rzeką, co nosi nazwisko
Ohio, w Stanie Illinois, w bawełnianych stepach,
Kędy na cmentarzysku — po miedzianych szczepach —
Biały człowiek założył Iron-Law: tę krwawą
Nazwę wytłómacz sobie na Żelazne Prawo).
Tak więc pełny rozpaczy od klęski ogromu
Sir Jonatan Robinson — polem szedł do domu,

A, stanąwszy w salonie, kędy mocą czarów,
Jaka tkwi we wszechmocnym rozkazie dolarów,
Złączono wszystkie sztuki i natury kwiaty —
Padł na sofę — i, zwierzchniéj pozbywszy się szaty,
Zadzwonił niecierpliwie i krzyczał stentorem:
— Hej, Jowisz, stare bydlę! Z tym czarnym potworem
Trzeba skończyć. Jowiszu, ty psie szczekający!...
Na ten głos — w oka mgnieniu — przybył cały drżący
Ze strachu — murzyn z wargą wydętą, czerwoną;
Nie stary jeszcze. W oczach dzikie skry mu płoną.
Twarz czarna, jakby piekieł znaczyły ją ślady,
Odbijała od sukien w barwie czekolady.
„Jestem, panie!" I w kornéj stał przed nim postawie.
Sir Jonatan Robinson, pan na Iron-Lawie,
Gniewny był, jakby całe siedziało w nim piekło,
I wołał z twarzą ogniem rozpaczliwym wściekłą:
„Gdzieżeś był, czarny dyable? gdzie, koślawe bydlę?
Jak czarta cię powiesić trzebaby na widle!
Nigdy was do roboty — wy, przemierzłe czarty;
Wy, małpy etyopskie! natury bękarty!
Wracam z pól, gdzie jak trupy sterczą krzak przy krzaku,
A ty, psie, nie warujesz? Co, dyable!... Koniaku!"
Drżąc, wybiegł czarny Jowisz i wrócił po chwili,
Niosąc koniak, co nerwy yankesa posili.
Wtém pośliznął się — upadł na ziemię jak długi,
Stłukł szkło i zalał ziemię złocistemi strugi.
Wówczas Robinson wściekły skoczył na murzyna
I zadrżała mu w ręku hebanowa trzcina —
I począł nią okładać plecy Jowiszowe
I barwić jego heban w pręgi purpurowe.
I wołał: „Precz mi z oczu! Precz mi z Iron-Lawa!
Natychmiast precz mi z domu, małpo kędzierzawa,
Papuasie nikczemny, etyopski potworze!"
(Tak się biały na czarnym mścił za bicze boże!).
I w parę godzin późniéj niewolnik z hebanu
Opuszczał już granicę Illinois Stanu.
I tak — skutkiem szarańczy — z bawełnianych stepów
Jechał Jowisz na służbę do new-yorskich sklepów.

Przez tę samą szarańczę, co w Jowisza godzi,
W niedługim potém czasie do Warszawy z Łodzi

Przybył Jędrek. Ogromne przyczyny globowe
Tajemniczo działały na losy Jędrkowe.
Gdyż bawełna zniszczona tam za Oceanem
Warsztaty druzgocącym padła huraganem
Na miasta Europy i na Łódź. Fabryki
Powstrzymały ruch wrzecion. I żałobne krzyki
Zabrzmiały śród roboczych tłumów. Właściciele
Mówili: „Dobrzy ludzie! Mamy was za wiele.
Idźcie w świat! Oto dla was drobna zapomoga,
I szukajcie roboty pod opieką Boga.
I tysiące ich było, co chléb utracili
Przez szarańczę z Iron-Law. I w niedługiéj chwili
Rozbiegli się po świecie — w te i owe strony —
Do Kielc, do Częstochowy lub do wsi rodzonéj
Lub do Prus. A zaś Jędrek przybył do Warszawy.
Tak to działa ekwator na najdalsze sprawy.
Więc, znając dziś istotę owéj tajemnicy,
Nie dziw się, jeśli spotkasz Jędrka na ulicy.

A. Lange.



Newroza i zbrodnia.

(CZESŁAW CZYŃSKI).

Studyum kryminalno-psychologiczne [1]).

Kiedy dotychczas Zachód dostarczał nam magnetyzerów, profesorów wyższéj magii i prestydygitatorów, którzy częścią przedstawieniami, częścią zręcznemi szalbierstwami w różnych czasach i miejscach byt swój doczesny ułatwiali a nawet uprzyjemnić byli w stanie — nastąpiła epoka odwetu: Zachód otrzymał człowieka nie ustępującego pierwowzorom w niczém — odwadze, zręczności, przed-

[1]) Nowoczesna kryminalistyka znajduje się od lat kilkunastu w epoce zwrotu od ściśle abstrakcyjnéj spekulacyi w zakresie metafizycznych problemów ku metodzie ścisłéj. Metoda ta w nauce kryminalistyki (należy tu dobrze odróżnić naukę od sztuki, *science* i *art*) objawia się w trzech kierunkach: 1) ściśle socyologicznym: zbrodnia i kara jako funkcye grupy społecznéj na tle prawnoporównawczém i historyczném, 2) społeczno-ekonomicznym: zbrodnia w zawisłości od stosunków ekonomicznych, umysłowych, moralnych, ludności danego czasu i miejsca—z tłem statystyczném (*Massenbeobachtung*) i metodą własnéj obserwacyi (Le Play), 3) biologicznym zbrodnia jako objaw działalności jednostki, wypływ jéj życia, wychowania, pobudek zewnętrznych, ustroju fizycznego (*Systematische Einzelnbeobachtung* — któréj przesadną karykaturą jest kryminalna antropologia ze swym typem fizycznym). Do tego trzeciego działu należy psychologia kryminalna, mało dotychczas uprawiana naukowo; prócz wydawnictw materyałów w stylu Pitavala i specyalnych czasopism: Les procès célebres, Das Tribunal, wymienić można tylko Tarde'a jak zawsze misterne: „Quatre crimes passionels" (Etudes pénales et sociales, 1892).

siębiorczości. Lecz kiedy Polska w XVIII w., a więc w epoce rozkładu, świetne przedstawiała pole do operacyi dla tego rodzaju zagadkowych egzystencyi, mogących przy ogólném rozluźnieniu obyczajów, karności społecznéj i wymiaru sprawiedliwości spokojnie ryzykować spotkanie się z ustawą karną już niemal martwą, tak jak zwierzęta padliną się żywiące targają ciało na schyłku życia czując już bezzilność agonii; jeżeli Cagliostro, według Siemieńskiego („Cagliostro w Warszawie.” Dzieła III. 114, str. 9) wygodnie mógł prosperować, to było rzeczą niezmiernego zuchwalstwa ze strony Czesława Czyńskiego, próbować swych sił w tańcu wśród mieczów kodeksu kryminalnego w państwie o tak wzorowéj organizacyi i administracyi prawnéj jak Niemcy, będące szczególnie pod tym względem wzorem niedoścignionym dla wielu krajów, nawet wyższéj może intelektualnéj kultury. To też taniec trwał niedługo i przerywany wydaleniami policyjnemi i utrudnieniami na wielu polach, przy pierwszym śmielszym zamachu na istniejący porządek i pierwszéj próbie odważniejszéj poprawienia losu (w sylu *corriger la fortune* bohatera z Manon Lescaut) — skończył się bardzo niezabawnie—więzieniem.

Postać tego *struggle-for-lifer*'a staréj modły, z nowożytnym pokostem hypnotyzmu, ciekawa jest i interesująca z wielu względów: przedewszystkiém z tytułu narodowości, potém jako osobistość znana bardzo dobrze w Galicyi a także i u nas, wreszcie z powodu wciągnięcia w grę kwestyi ciekawéj naukowo, suggestyi i hypnozy, wpływu hypnotyzera na medyum i stosunku do ustawy karnéj. Nie jestto kwestya nowa; w nauce można powiedziéć, jest już rozstrzygnięta i przesądzona, stanowi tylko tło dla działalności osobnika pod względem psychologicznym złożonego, o życiu i przeszłości nadających się na temat do nieprawdopodobnego romansu brukowego Borna lub przestarzałego melodramatu.

Kiedy „Münchner Neueste Nachrichten” w roku ubiegłym rozniosły wiadomość o sensacyjnym procesie Czesława Czyńskiego, toczącym się przed Monachijskim sądem przysięgłych o zbrodnię przeciw moralności publicznéj, któréj ofiarą padła baronówna Zedlitz i zbrodni oszustwa podwójnego, zainteresowanie osób znających oskarżonego było tém większe, że od lat pięciu znikł z horyzontu, na którym dotąd się pojawiał a tylko dalekie echa przynosiły odgłosy jego burzliwéj karyery, odgrywającéj się w kilku częściach świata między Paryżem a Kairem, Prusami i Indyami wschodniemi.

Dziś leży przed nami materyał procesowy na podstawie zapisek stenograficznych zebrany, wydany i uwagami zaopatrzony przez zna-

wców sądowych, którzy w kwestyi hypnotyzmu głos zabierali, [1]) posłużyć może do oświetlenia dokładnego epilogu tragikomedyi, któréj pierwsze akty w naszych oczach się rozgrywały. Sucha historya bohatera w datach skrzętnie przez prokuratoryę Monachijską zebranych, choć co do *curriculum vitae* niewyczerpujących, przedstawia się po uzupełnieniu prywatną wiadomością jak następuje:

Urodzony w r. 1858 w Turzence w gub. Warszawskiéj, Czesław Czyński (przebywał czas jakiś w Paryżu podobno jako syn emigranta, podobno kształcił się w szkole Batignolskiéj, w każdym razie zyskał we Francyi podstawę swego bytu materyalnego, łatwość wymowy francuskiéj, następnie przeniósł się do Galicyi, gdzie otrzymał pierwotne zajęcie pomocnika w jednéj z księgarń lwowskich, wreszcie, w Krakowie (od r. 1884) osiadł jako nauczyciel języka francuskiego. W r. 1890 opuścił Kraków i żonę a z Justyną Marger Wiecińską, rozwiedzioną z mężem, udając się w podróże naukowo-przedsiębiorcze. W r. 1892 w lecie dawał przedstawienia w Poznańskiém, którym towarzyszyły odczyty o istocie hypnotyzmu, okultyzmu i pokrewnych umiejętności, gdy jednak dochody jego ztąd płynące były bardzo nieznaczne, pomagał sobie przedstawieniami na cele dobroczynne, zatrzymując przy sobie pozostałości kasowe po opłaceniu kosztów. To spowodowało jego wydalenie z Prus w r. 1893 i przeniesienie pola działalności do Saksonii, mianowicie do Drezna — policya zezwoliła tu na wykłady, wzbroniła mu jednak doświadczeń hypnotycznych. Na zachwalanie słowem i pismem, prelekcyami publicznemi i ogłoszeniami w dziennikach metody leczniczéj za pomocą hypnotyzmu, zgłosiła się do Czyńskiego Jadwiga v. Zedlitz 38-letnia, bogata, religijna, skarżąc się na cierpienia żołądkowe i ból głowy. Czyński leczył ją—po pewnym czasie stosunki przybrały charakter miłosny, po zaręczynach tajemnych z powodów „politycznych”, ponieważ narzeczony „pochodził z książęcego rodu litewskiego” pozbył się Wiecińskiéj, i przeszedł na protestantyzm. Ślub odbył się w Monachium, funkcye duchowne spełniał sprowadzony z Wiednia „ajent i privatier” Stanisław Wartalski w kostyumie pastora; wzruszającą była mowa kapłana o obowiązkach stanu małżeńskiego, jak i toast wzniesiony w czasie uczty weselnéj (w szczupłém gronie małżonków i dusz pasterza) na cześć książęcej pary, odczytano także telegram gratulacyjny od Kalnokyego. Brat i ojciec młodéj małżonki

---

[1]) Der Prozess Czyński. Thatbestand desselben und Gutachten über Willensbeschränkung durch hypnotisch-suggestiven Einfluss abgegeben vor dem oberbayerischen Schwurgericht zu München von Prof. Dr. Grashey, Prof. Dr. Hirt, Dr. Freiherr von Schrenck-Notzing, Prof. Dr. Preyer. Stuttgart. 1895.

otrzymawszy wiadomość o ślubie, spowodowali przerwę miodowych miesięcy, doniesieniem do dyrekcyi policyi w Monachium, która zleciła przyaresztowanie Czyńskiego. Sędziowie przysięgli zaprzeczyli pytanie co do wprawienia Jadwigi v. Zedlitz w stan bezwolności, w którym miał ją Czyński płciowo nadużyć — natomiast potwierdzili pytanie w kierunku sfałszowania dokumentu ślubu i udziału w przestępstwie Wartalskiego, t. j. występku przybrania charakteru urzędnika publicznego.

Prokurator napiętnował Czyńskiego jako egoistę, szarlatana i awanturnika, podobnie znaczna część świadków i znawców; niepochlebna ta charakterystyka, przedstawiająca go jako „czarny charakter", daje nam wprawdzie do poznania, że grupa społeczna wśród któréj Czyński działał i która osądza wartość etyczną jego postępowania, wyraża swe zupełne niezadowolnienie (co Niemcy nazywają *sittliche Missbilligung*), lecz mimo to nie przestaje być niczém więcéj jak banalną, małomówiącą etykietą, położoną na przedmiocie badań, podciągnięciem pod jeden z kilku szablonowych podziałów, według których przeciętna opinia publiczna jednostki grupuje i klasyfikuje. Przypomina się ów typowy podział prof. Maurycego Benedikta („Biologie und Kriminalität") zaczynający się od *homo nobilis* a kończący *homo criminalis degeneratus*, według którego Czyński byłby *homme canaille perfidus* (C. I. b.) uznany przez wyrok Monachijski za *homo criminalis neurasthenicus* (C. III. b.)

Umysł przeciętny ma w sobie dużo znamion biurokratycznych, lubi szablon i łatwe podziały, popularne definicye i jak najwięcéj syntezy; jestto wynik pewnego lenistwa umysłowego, traktującego każde zjawisko jak urzędnik „kawałek," który trzeba załatwić możliwie szybko i możliwie pobieżnie. Jeżeli jednak *psyche* wogóle jest skomplikowanym wytworem stosunków zewnętrznych i wychowania, dziedzicznych skłonności i drogą suggestyi wychowawczéj włożonych pobudek, zasad przejętych jako aksyomy i własnych poglądów na świat jako owoców refleksyi i doświadczenia, to o ileż bardziéj ciemne i zawiłe są dusze ludzi o znacznéj, choć niejednolitéj i powierzchownéj inteligencyi, burzliwym temperamencie, szukających sposobu wybicia się a zarazem nigdy niezadowolonych z tego co mają, nie cofających się przed niczém, odważnych do zuchwalstwa, jedném słowem ludzi w stylu Mesmera, St. Germaina, Cagliostra, Czyńskiego i t. p.

Tém więcéj badanie treści osobników tego rodzaju zajmującém być musi, im mniéj materyału mamy zazwyczaj do nakreślenia ich sylwetki moralnéj, wobec tradycyjnego okrywania się mgłą tajemnicy. Tym razem dzięki przypadkowi, który dał nam się stykać przez sze-

regi lat z Czyńskim jako nauczycielem języków a z drugiéj strony dzięki sumienności sędziego śledczego bawarskiego, staje przed nami dość jasny obraz porywów, marzeń, umysłowości jednego z tych, którzy noszą zwykle miano *chevalier d'industrie*.

Czy Czyński był rzeczywiście tylko rycerzem przemysłu, spekulantem na majątek i społeczne stanowisko z jego pomocą, jednym z tych 2 typów, których Bourget w przedmowie do „Disciple'a" zwróconéj do młodzieży francuskiéj każe się strzedz, tą *machine à calcul au service d'une machine à plaisir*, ceniącą tylko powodzenie, w powodzeniu pieniądz? pozornie zdawałoby się tak, jednak bliższe zbadanie wykazuje, że bezwzględna walka o byt nie pochłaniała jego istoty, że były tam także czynniki inne.

Nie ma wątpliwości, że Czyński w całém swém życiu zdążał do zrobienia majątku i że zabierał się do tego zwykle bardzo zręcznie, jako człowiek bez studyów (maturę odbył dopiero w Krakowie) ożenił się majętnie (przypuszczać należy, że uczynił to zupełnie na zimno, z wyrachowania), uzyskał dwie równocześnie posady nauczyciela przedmiotów nadobowiązkowych w szkole realnéj i III gimnazyum, udzielał lekcyi w domach bardzo zamożnych za znaczniejszém wynagrodzeniem, przyjął na mieszkanie ucznia szkół średnich sowicie się opłacającego, był tłomaczem sądowym, jednem słowem w ciągu lat kilku, z ubogiego pomocnika księgarskiego, głodnego i źle ubranego, zmienił się w właściciela realności, mającego kilka tysięcy rocznego dochodu. Również nie ma wątpliwości, że cała intryga, któréj epilogiem było pozorne małżeństwo z panną von Zedlitz auf Luga, miała na celu ustalenie egzystencyi w warunkach materyalnie świetnych. Wszak sam na rozprawie głównéj zwraca się do trybunału i ławy przysięgłych z charakterystycznem zapytaniem krasomówczem: I któryż z panów nie chciał bytu swego poprawić przez małżeństwo? wszak jeszcze przed ślubem przyjmował od narzeczonéj znaczne zasiłki pieniężne, otrzymawszy raz tylko 500 marek, żywe okazał niezadowolnienie a baronówna v. Zedlitz w ciągu pięciu tygodni przed ślubem, zdołała wydać z jego pomocą kwotę 14,000 marek, zeznaje zaś sama: Przychodziło mu pozornie zawsze bardzo ciężko przyjmować odemnie pieniądze, lecz widziałam, że ich niezbędnie potrzebował; na stosunek ten jaskrawe światło rzuca wreszcie list brata Czyńskiego, widocznie dobrze go znającego, zawierający następujące zdania: „Myśl o tém, cośmy omówili, staraj się na wszelki przypadek osiągnąć pewny rezultat materyalny, staraj się więc o podstawę bytu, by nie prowadzić znów życia z dnia na dzień, kuj żelazo póki gorące, a drogę do celu wskaże ci twój spryt i twoja zręczność.... może by się udało, żeby ci twoja pani zrobiła za-

pis z własnéj ochoty, pamiętaj, że może łatwo umrzéć. Donieś mi jak zdołałeś doprowadzić do ślubu bez ślubu" i t. d.

Lecz z drugiéj strony, czyż można nazwać zimnym spekulantem, posiadającym umysł spokojny i logiczny jak Gundermann w powieści Zoli („L'argent"), który był *patient et logique*, człowieka o duszy cygana, porzucającego wszystko: majątek, żonę, stanowisko, dochody, by z kochanką puszczać się na włóczęgę, któréj ani cel, ani korzyść nie były mu jasne, narażać się na nędzę i żywot średniowiecznych *fahrende Leute*, przepędzanych z miejsca na miejsce, czyż wreszcie licuje z charakterem spekulanta zręcznego, umiejącego omijać niebezpieczne paragrafy ustawy ta niecierpliwość, która nie dała mu wyczekać na rozwiązanie pierwszego małżeństwa drogą separacyi, by zawrzéć nowe „niemieckie," w sposób wprawdzie pod względem etycznym i społecznym będący zadrwieniem z nierozwiązalności i powagi téj instytucyi, która ma być podwaliną ustroju socyalnego.

Wszak to się nie działo na Oceanie Spokojnym, ani w środkowéj Afryce, przecież wiedział, że jego narzeczona ma ojca i brata, którzy majątek jéj chętnie zajęliby pod jakimkolwiek pozorem, którzy niechętnie spoglądać będą na intruza mającego prawo do udziału w administracyi tegoż, że zażądają od niego wyjaśnień, dokumentów, a on pokaże im jakby Samojedom lub Kałmukom fałszywy akt zawarcia małżeństwa, który ich zupełnie przekona że ślub jest faktem dokonanym, co więcéj, pokazuje im ów akt w obecności adwokata, który przecież widocznie w tym celu asystował, by badać jego autentyczność.

I to ma być ów spekulant podstępny, przebiegły, który jak Shylock zdobywa, co zamierzył, nie moralnie, lecz legalnie, bo choć Shylock według Shakespeare'a przegrywa proces, lecz przegrywa go niesprawiedliwie (Kohler. „Shakespeare vor dem forum der Jurisprudenz"). W całéj wielkiéj grze o krocie, Czyński postępuje jak poliszynel, nie zaś jak zręczny i bezwzględny *struggle-for-lifer*. My w całém postępowaniu Czyńskiego widzimy obok drapieżnych i niskich instynktów, ogromnie wiele nerwowéj porywczości i chorobliwego niepokoju, które nie dozwalają go traktować jako człowieka zupełnie normalnego.

Ta psychiczna Czyńskiego anormalność zjawia się jeszcze i na inném polu. Wspólną cechą wszystkich tajemniczych kramarzy czarnoksięstwa, jest chęć wykazania swéj niepospolitości na każdém polu, stąd kładą przed imieniem tytuły dowodzące wielkiéj umysłowości, pracy i zasług naukowych: profesora i doktora, przed nazwiskiem zaś przydomki, świadczące o pochodzeniu nie z tłumu szarego i gminnego,

lecz z klas panujących, dzierżących siłę społeczną w formie przywilejów i kapitału przez szereg pokoleń, stąd mających środki zdobywania kultury i przelewania jéj drogą dziedziczności i edukacyi na generacye następujące. Nie jestto dziś metoda i sposób zyskania popularności lub imponowania masom, bo te, zdemokratyzowane już, przesiąknięte socyalizmem i naukami Proudhona o istocie własności prywatnéj, z zawiścią tylko spoglądają na t. zw. klasy wyższe; lecz z drugiéj strony owe klasy „wyższe”, posiadające środki materyalne a tém samém kulturę, żywią z natury rzeczy wiele lekceważenia wobec klas słabszych, chropawych i ciemnych, niechęć tę trudno im przezwyciężyć zwłaszcza w razie, gdy członek owéj klasy lub co gorsza r a s y, przedstawia pewne na pierwszy rzut oka widoczne fizyczne znamiona swego pochodzenia. Stądto pochodzi rasowa niechęć do Żydów, lub pomiatanie w Ameryce Murzynami lub Chińczykami. To też jakiémże ułatwieniem w stosunkach z klasami posiadającemi a stąd wogóle w życiu jest wykazanie, że nie tylko pochodzeniem swém należy się do klas posiadających, lecz co więcéj, że się tam należy od szeregu wieków, krótko, że się ma prawo do tytułów szlacheckich, bo jak mówi Arystoteles εὐγένειά ἐστιν ἄρχαῖος πλοῦτος καί ἄρετη — szlachectwo jest s t a r é m bogactwem i przodowaniem.

To też kiedy Józef Balsamo występuje jako hrabia Cagliostro, Czyński w ogłoszeniach i na kartach wizytowych w epoce największéj swéj działalności podpisuje się Prof. Dr. Czesław von Lubicz-Czyński, *Ritter des Ordens vom Weissen Kreuz*, choć prawa do tych tytułów silnie były podejrzane. Profesorem nie był, bo nauczanie języka francuskiego nawet w szkołach, jako przedmiotu nadobowiązkowego, nie daje téj kwalifikacyi, stopień doktora (jak sam dodawał był *honoris causa*) opierał na dokumencie, który miała wystawić rzymska „Reale academia di medicina,” dekoracyę zaś na dyplomie „Società della croce bianca;”—instytucye te nie istnieją i nie istniały nigdy, jak wyjaśnil na rozprawie generalny konsul włoski Ritter von Oldenburg. Co do przydomku Lubicz, sprawa jest niejasną, dowód złéj wiary prawie niemożliwy: nie miał wprawdzie Czyński wystarczających do przekonania prokuratoryi papierów, lecz szlachectwo polskie pomimo, że nadzwyczaj rozpowszechnione wskutek typowéj demokracyi szlacheckiéj w dawnéj Polsce, lub może właśnie dlatego, w razie podupadnięcia rodziny, emigracyi po rozruchach politycznych, utracenia związku z częścią rodu pozostałą w kraju a wreszcie wskutek tego, że predykatów *von* lub *de* należących do nazwiska w dawnéj Polsce nie używano, często opiera się raczéj na tradycyi jak na niewątpliwych pismach — w każdym razie, jeżeli Czyński s o c y o l o g i c z n i e był szlachcicem, f o r m a l-

nie nim nie był. Jak dotąd postępowanie jego byłoby konsekwentną ilustracyą typu przeciętnego oszusta, *Hochstaplera.*

Wiarygodne jednak i poważne zeznania psychiatry barona v. Schrenck-Notzing stwierdzają, że Czyński stanowczo wierzył i był przeświadczony, mimo wszelkich przedstawień, że jest doktorem, profesorem, kawalerem orderu i t. d. Co więcéj, Czyński biorąc asumpt z podobieństwa nazwiska, przedstawiał się pannie von Zedlitz jako potomek ostatni rodu książąt litewskich Światopełków-Czetwertyńskich, a tak głęboko rolą tą się przejął, że w testamencie ułożonym w areszcie śledczym przed dokonaniem nieudałego zamachu samobójczego, poleca pogrzebać się w czarnym smokingu, na sercu położyć sobie fotografię baronównéj Jadwigi, futro oddać Wiecińskiéj by miała za co kupić chléb dla dziecka a dnia 18 lipca 1898 ma się zwrócić Wiecińska do austryackiéj ambasady w Londynie, gdzie wręczonym zostanie jéj pakiet z pieczęciami o herbie książęcym Światopełków, w pakiecie tym znajdzie dowody książęcego pochodzenia dziecka i inne ważne dokumenty.

Śledztwo przedłużał Czyński w nieskończoność powoływaniem się na opiekę najróżniejszych wpływowych osobistości, zwykle książąt, których odszukać było niemożliwe; na fakt, że spełnił powierzoną mu przez rząd austryacki ważną misyę, że w banku rentowym austryackim zdeponowano dla niego 146,000 zł. a. i t. p.; były to okoliczności fałszywe zawsze.

Jak głębokiem było jego przeświadczenie, że działał poprawnie, że jest człowiekiem bez zarzutu, dowodzi między innemi atak nieudany najwyższego oburzenia, gdy na rozprawie użył któryś ze świadków wyrazów: *Hochstapler*, *Lump.*

Zważywszy te czynniki, przychylić się musimy do zdania d-ra v. Schrenck-Notzing, że Czyński jest hysterykiem: hysterya, objaw w wieku ogólnéj newrozy także u mężczyzn nierzadki, między swemi symptomami psychicznemi zawiera właściwość chorego, wierzenia w urojone twory swéj fantazyi. Wszak, jeżeli mamy tu przytaczać przykłady, twórcy wielkich religii, rozmawiający z istotami niewidzialnemi, mieniący się być wybranymi prorokami jak Mahomet, byli histerykami (por. szkic Johannesa Scherra o Mahomecie) wszak kapłani ludów dzikich, którzy muszą do urzędu tego posiadać specyalne zdolności i nerwową egzaltacyę, oszukują lud zupełnie w dobréj wierze, stąd Fritsch („Die Eingeborenen Süd-Afrikas") nazywa ich *die betrogenen Betrüger.* Że Czyński był hysterykiem, stwierdzają inne obja-

wy — medycyna stwierdza u chorych tego rodzaju ogromną pobudliwość [1]). Czyński klękając przed ojcem v. Zedlitz i prosząc o błogosławieństwo, wybucha spazmatycznym płaczem i łkaniem. Lekarze więzienni stwierdzają u niego chroniczną bezsenność i typowe dla hysteryi kurcze toniczne (rozprężające) i kloniczne (ściągające).

Odpowiadała temu stanowi nerwów także i umysłowość Czyńskiego: od dzieciństwa odznacza się wyobraźnią gorącą, odrazą do głębokich ścisłych studyów — namiętnie pochłania beletrystyczne utwory i to wcale nie refleksyjne, głębokie, jak Anatola France, lecz fantastyczne, pełne wypadków nadzwyczajnych, zjawisk nadziemskich, wpływu mocy piekielnych lub niebieskich jak Jokaya lub Wiktora Hugo. Zwłaszcza ulubioną lekturą jego był „L'homme qui rit," którego czytał 7 razy, może już umiał powieść tę na pamięć—być może, że za siódmym razem nasunęła mu się myśl, że i on jest Gwynplainem, nie pod względem powierzchowności co prawda, lecz stanowiska społecznego, wszak jeździł on także z budą jarmarczną, bawiąc żądną sztuk czarnoksięskich tuzinkową publiczność, i wtedy może zaświeciły mu marzenia o izbie lordów—o tytule książęcym.

Liczne swe elukubracye literackie rozpoczął krótkim traktatem „o humanitarności" (Kraków 1886), w którym wykazuje potrzebę solidarności w społeczeństwie i wzajemnéj pomocy, z drugiéj strony chętnieby widział jalmużnę zastąpioną krajową organizacyą opieki nad ubogimi; po trzeźwém tém zupełnie i wcale logiczném, choć zdradzającém umysł powierzchowny i pracę dorywczą studyum, równocześnie niemal pociąga jego uwagę Volapük — język, który miał być wszechświatowy — pociągnął go jak wszystko, co niezwykłe, tajemnicze, wydaje jego gramatykę i słownik, uczy się na pamięć reguł i uczniów stara się przekonać, że korzystniéj jest posiadać język wszechświatowy niż francuski, ograniczony tylko na część Europy, a używany zresztą tylko w koloniach francuskich i przez ludzi z towarzystwa.

Cóż jednak mogło mieć urok większy dla tego zwolennika nadzwyczajności nad okultyzm i ezoteryzm!

Pierwsze kroki, które na tém polu stawia, zwracają się do grafologii, czyli, jak się wyraża, „nauki rozpoznawania charakteru ludzi i wydawania o nich sądu z ich własnoręcznego pisma", „rozpoznawania stanu moralnego osób, tychże zdolności i skłonności towarzyskich." Ogłasza (1888) podręcznik o 16 stronicach, z dołączeniem tablicy zna-

---

[1]) Lachen und Weinen ist ihnen gleich nah und können sich bei den kleinsten Erregungen in Paroxysmen äussern, welche die leichteren Krämpfe bilden oder begleiten—mówi W. R. Gowers w „Handbuch der Nervenkrankheiten." Tłom. Grube, III, 358.

ków grafologicznych. Bardziéj charakterystyczny jest rodzaj anonsu na czterech stronicach *in quarto*, w którym stara się zaznaczyć praktyczną doniosłość staréj, a przez siebie wskrzeszonéj nauki. Zaczyna się ta odezwa trzema kropkami, poczém następują wyrazy: „Umiejętność tak dziwna, a tak pożyteczna i doniosła, mająca na celu poznawanie charakterów ludzi z ich pisma, pozostawała dotychczas w dziedzinie intuicyi i hypotezy.” W dalszym ciągu dowiadujemy się, czego się spodziewać należało: „Nauki Gall'a, Lawater'a, Spurzheim'a, Carusa, Piderit'a, którym h o ł d u j ę i teoryi doświadczam często, czego świadkami w-ni hr. Mniszchowa i newrolog dr. Michał Śliwiński, których najmocniéj przepraszam za wymienienie nazwisk, uczynionych (!) w imieniu nauki (!)... ustępują poniekąd wobec zastosowania Grafologii i...” „Memoryał mój w sprawie ustanowienia grafologa w krakowskim sądzie I instancyi, wpłynął już do wysokiego prezydyum i żywię nadzieję, że posada grafologa, jako niezbędna, będzie wkrótce kreowana.” „Pojmie atoli każdy, że są ludzie uchodzący za znawców lub pragnący uchodzić za takowych, półmędrkowie bez najmniejszego wyobrażenia o grafologii, a którzy są oponentami! A gdzież należy szukać przyczyny? W ich blagierstwie.”

Przychodzi się spytać wobec tego namiętnego kruszenia kopii w obronie dwuznacznéj teoryi, czy to odwaga wiary głębokiéj, czy zręczna maska drwiącego z prostaczków oszusta. Na rok 1888 przypada „Sztuka przypodobania się mężowi”, rodzaj traktaciku filozoficzno-psychologicznego na 40 stronach możliwie małego formatu; poprzedza przedmowa Matyldy ze Skrzyneckich C... co do autentyczności podejrzenia, a zwłaszcza ustęp: „Nadmienię nawet, że dziełko p. Cz. stano· odpowiedni prezent ślubny”, zdaje się naprowadzać na myśl, iż przedmowa pochodzi z pod pióra autora — uwaga ta ma zanadto cechę *pro domo sua*, jak rzecz cała nosi znamię czystéj spekulacyi na odbyt i powodzenie materyalne. Język pełen wyrażeń gminnych, jak „rozmamany”, myśli tuzinkowe; jak nić czerwona przewija się rada, by to żona starała się mężowi życie uprzyjemniać przez ciągłą i nieustanną komedyę szczęścia, zadowolenia, zdrowia, miłości. Zabawnie wygląda na karcie tytułowéj dewiza: *Utili impendere vitam.*

Zupełnie brukowym jest wydany w roku następnym „Podręcznik do kartomancyi, czyli sztuka wróżenia z kart, wyświecona przez Esmaela. Tłómaczył z arabskiego Cheops. 1889.” Ustęp zaczyna się zdaniem: „Ze wszystkich nauk, zmierzających do odgadywania przyszłości, kartomancya jest najpopularniejsza...”

„Sądzę, że czytelnicy będą mi wdzięczni za uprzyjemnienie im wieczorów, odrywając ich od lektury szkodliwéj i demoralizującéj” (?!).

W tym samym roku zjawia się natchniony, a przynajmniéj napuszysty „List otwarty do wieszcza Kornela Ujejskiego z powodu rozstroju narodowego, wystosował Czesław Czyński.” Tu styl jest inny: „Szalone fale namiętności porwały w swój wir honor, cześć i szacunek wzajemny; ludzie stają nadzy wobec opinii publicznéj.

Nadzy! Kształty ich nie przyodziane szatą konwenansu. Spłukały je bowiem afisze i artykuły zbezczeszczające. Smutne czasy i chwile gorzkie dla narodu.

Na sumieniu waszém zbrodnia, dorzucacie kał obmowy, by otrzymać teraźniejszość — dzisiejsze smutne rozkładowe czasy...

Czy wam nie wstyd, że za popleczników macie bezrozumne, niezadowolone istoty, czy to wam przyjemnie być na czele sów i puhaczów, nie lękających się cieni nocy moralnéj?

Nie wierzcie, aby te sowy i puhacze żerowały w nocy. Zostaną połknięte i zniszczone! przez was.

O rozwagę i .. miłosierdzie Boże proście; by Bóg spuścił opamiętanie i nie zechciał, abyśmy pokutowali za grzechy fałszywych proroków, których celem haniebnym pomieszać pojęcia honoru, waśnić braci, siać niezgodę w warstwy i doprowadzić do rozstroju!...”

Styl, jak widzimy, jest karykaturą sposobu wyrażania się wieszczów, budzących naród z upadku: jest w tém trochę Skargi, trochę Mickiewicza, jest i mistycyzm i miłość ojczyzny. I znów pytanie: ile w tém szalbierstwa, a ile na karb umysłu nienormalnego należy położyć?

Rok 1889 daje nam poznać Czyńskiego już jako hypnotyzera: zjawia się jego Magnetyzm i hypnotyzm, traktat obszerny o 139 str. w ósemce, mający pozory uczoności i wytrawności. Są tam ustępy cechujące mętność umysłu autora, np. „Okultyści, traktując tylko ogólną, metafizyczną część natury, błądzili tak, jak i ówcześni, którzy rozbierali część szczegółową. Metafizyka sama albowiem nie potrafi nam wytłómaczyć tajemnic natury i jest równie mylna, jak i fizyka. Tylko połączone usiłowania mogą stworzyć syntezę naukową, socyalną i religijną” (6). Po przedstawieniu historyi hypnotyzmu i nauk pokrewnych stanów hypnotyzmu, których zna zgodnie z teoryą przyjętą trzy (katalepsya, letarg i somnambulizm), podaje fizyologię hypnotyzmu, porusza kwestyę suggestyi, jéj stronę moralną i niebezpieczeństwa, sposoby suggestyi i hypnotyzowania i t. d. W części trzeciéj spotykamy się z hypnotyzmem wobec prawa; znajdujemy tu charakterystyczny frazes: „Ostatnie rozprawy sądowe za granicą ponure rzuciły światło na hypnotyzm. Zdaje się, że ta siła straszliwa, tajemnicza, posłużyła nikczemnikowi do usidlenia swéj ofiary i do zakończenia haniebnego spor-

tu, którym się oddają często zwolennicy bogiń pogańskich, jego śmiercią i cnotliwéj dotychczas niewiasty" (123). Ciekawie brzmi to w ustach późniejszego kochanka panny Zedlitz.

Bohatersko wygląda emfatyczny wykrzyknik „męczennika nauki": „Tak, jestem propagatorem wszystkich umiejętności, mających naukową podstawę, odpowiadających mojemu przekonaniu, a dążących do zaznajomienia naszych czytelników z badaniami uczonych; nie zważam na krzyki jednostek przekonanych o swéj wyższości, poczytujących się za zapoznanych przedstawicieli prasy postępowéj, a będących właściwie zapamiętałymi nieukami, którzy pustemi frazesami walczą o chléb powszedni" (17).

W r. 1889 publikuje w języku francuskim: „De l'hypnotisme et de ses effets curatifs" i po polsku: „O suggestyi hypnotycznéj w pedagogice."

Rok 1890 odrywa Czyńskiego od specyalnych badań nad hypnotyzmem, a zawraca go na dawną, szerszą arenę nauk tajemniczych okultyzmu, wydaje „Traité élementaire des sciences occultes", gdzie zapowiada, że „grâce à ces sciences si décriées, il viendra des temps ou les hommes ne pourront plus feindre, et seront obligés de se montrer sans masque parce que le masque ne servira plus. Et ce temps n'est pas loin" (6).

Traktat obejmuje: grafologię, fizyologię ręki, czyli nową chiromancyę, fizyognomonię, czyli studyowanie ludzi według rysów twarzy, chirognomonię, czyli sztukę poznawania zdolności umysłowych według kształtu ręki i palców, i frazeologię.

Równocześnie zjawia się broszura: „O najnowszych systemach badań człowieka na podstawie grafologii, fizyognomii, frenologii, chiromancyi, czyli fizyologii ręki i t. d., z dodatkiem o hypnotyzmie." Po tak obiecującym tytule następują 32, a właściwie tylko 23 stron druku, wśród tego cały szereg listów, podznaczonych pierwszemi literami nazwiska. Na okładce powtarza się od r. 1889 datujący się tytuł doktora, a nadto czytamy uwagę: „Systemy powyższe, omówione szerzéj w dziełku mojém pod tytułem: „Traité des sciences occultes", zdobyły pierwszą nagrodę akademicką na kongresie międzynarodowym im. króla Wiktora Emanuela w r. 1889" (gdzie się odbywał, czemu poświęcony był ów kongres, kto zdobył: system, czy osoba autora, czy jego książka ową nagrodę, trudno się dowiedzieć). Na okładkach innych broszur znajdujemy tytuły inne, np.: członek Towarzystwa psychologicznego w Londynie, współpracownik „Przeglądu hypnotycznego"; gdzie „Przegląd" ten wychodzi, nie wiadomo.

Niewątpliwie wierzył Czyński, że z ręki można dowiedzieć się przyszłości człowieka, z jego pisma odgadnąć charakter, tak jak wierzył w spirytyzm i duchy. Jego tendencye do okkultyzmu i ezoteryzmu wynikały z temperamentu, z ustroju nerwów, był to chorobliwy pociąg do nadzwyczajności.

Hysterya, dająca Czyńskiemu łatwość wierzenia w to, co sobie uroił, była zarazem pomocą w suggestyonowaniu innym własnych myśli, to skupienie nerwów jakie się u niego odbywało, działało silnie na obce organizmy, ta wiara budziła zaufanie, wtłaczała jego fantastyczne pomysły jako aksyomat w obce mózgi. Do suggestyi na jawie dołączył olbrzymie zdolności hypnotyzera. Już w Krakowie usypiał uczniów gimnazyalnych, wywołując gorące protesty ze strony Towarzystwa lekarskiego a prywatne jego seanse należały do niezwykle interesujących; również w Niemczech zdumiewano się nad jego zręcznością—być może, iż wrodzony talent rozwinął jeszcze praktyką w czasie swego pobytu w Paryżu.

Do tych właściwości psychiczno-nerwowych dodajmy fizyczne: głos o metalicznym, głębokim dźwięku barytonowym i oczy o spojrzeniu magnetyzującém, wywołującém w osobach nerwowych niepokój i uczucie ubezwładnienia.

Tego rodzaju człowiek, dobrze zbudowany i przystojny, ubrany z wyszukaną, choć teatralną elegancyą, zjawia się na drodze życia baronówny von Zedlitz, osoby możliwie najbardziéj nadającéj się na jego ofiarę; wszystko się na to składało: wychowanie bardzo religijne, dewocyjne, budzące nieustannie myśli o świecie po-za-grobowym, z drugiéj strony towarzystwo ojca spirytysty, który wraz z nią odbywał odnośne praktyki i posługiwał się nią jako sekretarką w korespondencyach z pismami, którym donosił swe spostrzeżenia z zakresu ezoteryzmu, przypadłości nerwowe, łączące się z cierpieniami głowy i żołądka, brak osób szczerze życzliwych i przywiązanych (ojciec i brat, do których już dziadkowie serce jéj wyziębili, spekulowali, jak się zdaje, na jéj majątek), w każdym razie stosunki rodzinne chłodne były bardzo. Kochała raz w życiu i to nieszczęśliwie; samotna, 38-letnia panna, mieszka w swych dobrach z nieliczną służbą.

Czyński znał kobiety doskonale i nietylko teoretycznie; siłą intuicyi, popartą długiém i bogatém doświadczeniem, doszedł do pewnika, który stwierdzają psycholodzy, jak Tarde: „Les amours croissent parfois comme les popularités, moyennant beaucoup d'insolence combinée avec force mensonges", może przejął go w formie już zupełnie zgeneralizowanéj, z Owidyusza „Ars amandi" lub z lektury brukowego

i płytkiego, lecz ze sztuką przypodobania się mężowi Czyńskiego, licującego traktatu Catulla Mendès'a „L'art d'aimer", gdzie jako czynnik pierwszorzędny miłości występuje *le divin mensonge*. Sam Czyński wygłasza sentencyę: „Złudzenie jest jedną z najgłówniejszych ułomności człowieka" (*op. cit.* 23). W stosunku do panny v. Zedlitz, trzymał się Czyński zasady téj w całéj pełni: co do własnéj osoby, był owym tajemniczym potomkiem wielkiego rodu, prześladowanym, ukrywającym się ze względów politycznych, znakomitym uczonym, członkiem wielu towarzystw naukowych i akademii umiejętności, ulubieńcem kobiet, wobec których zmuszony był odgrywać rolę egipskiego Józefa wobec Putyfarowéj, z drugiéj strony karmił egzaltowaną pannę ezoteryzmem i okultyzmem, korzystając z wrodzonych, czy wychowaniem nabytych skłonności; wpajał w nią daléj przekonanie, że jest ona buddyjską duszą Utsarpini, przysłaną na ziemię, by inną grzeszną, *Punar-Bhava* (tym razem Czyńskiego), uratować od przepaści grzechu. Zapewnia ją o dozgonnéj miłości, obcina kosmyk jéj włosów, by być jéj zawsze bliskim, daje jéj amulet, podobno egipski, w formie pierścienia z pieczęcią, przynoszący szczęście temu, kto go nosi, wróży jéj z ręki i podaje, do któréj ona gwiazdy należy.

Środki działały świetnie: baronówna v. Zedlitz wierzy we wszystko, wierzy przedewszystkiém w uczciwość i nieposzlakowany charakter Czyńskiego. Kiedy ojciec przedstawia całą intrygę i komedyę ślubu — odpowiada: „Kocham Czyńskiego, on jest człowiekiem honoru, on mnie nie oszukał, wszystko jest bez zarzutu." Na ostrzeżenia zaufanych i życzliwych osób jeszcze przed ślubem oświadcza, że chce Czyńskiego wyratować z rąk jego medyum. Jeszcze w czasie trwania śledztwa oświadcza, że Czyński jest człowiekiem honoru; dopiero późniéj, w czasie rozprawy, odzyskuje jasny obraz jego wartości.

Dla tego zarzuca oskarżenie, że obwiniony suggestyonował jéj miłość, a mianowicie hypnotyzmem i suggestyą wprowadził ją w stan bezwolności, w którym woli jego była uległa, i że tego stanu jéj zbrodniczo nadużył. Znawcy przy odpowiedzi na pytanie w myśl § 176 u. II niem. k. k. podzielili się na dwa obozy: Grashey, Schrenck-Notzing, Preyer, potwierdzili je, natomiast Hirt zaprzeczył, Fuchs zaś, rzuciwszy gromy lekceważenia na teoryę suggestyi, odjechał przed zakończeniem rozprawy. Przysięgli uwolnili oskarżonego od zarzutu nadużycia cielesnego i słusznie, naszém zdaniem.

Znawcy mówią o miłości suggerowanéj (*beeinflusste Liebe*) i dla czego? Oto świadkowie widzieli spojrzenia przejmujące Czyńskiego, pod wpływem których panna v. Zedlitz ponsowiała. Poszkodowana

sama zeznaje, że oświadczyny nastąpiły po posiedzeniu hypnotycznem, kiedy ona była pogrążona w pewnem sennem ubezwładnieniu, również i pierwszy stosunek nastąpił w takiéj chwili, wreszcie ma to być jedyne rozwiązanie zagadki, dla czego bogata, religijna, nieskazitelna baronówna von Zedlitz auf Luga zdecydowała się poślubić awanturnika.

Rozstrzygnięcie kwestyi, kiedy mamy do czynienia z suggestyą, a kiedy nie, należy do najtrudniejszych, jakie ma psychologia. Bo ostatecznie całe nasze życie składa się z szeregu suggestyi, nasze wychowanie było łańcuchem wpływów zewnętrznych, poddawano nam myśli dotyczące moralności i religii, wpajano w nas tak zwane zasady, wkładano w ucho język ojczysty, czy obcy, kazano naśladować ruchy nauczyciela gimnastyki, tańca, muzyki; z chwilą samodzielnego kształcenia się rozpoczyna się nowy szereg suggestyi: dostarcza jéj literatura, pod wpływem werteryzmu, powstaje pokolenie nieszczęśliwych kochanków, kończących samobójstwem, „Bez dogmatu” wytwarza młodych ludzi, dających folgę naturze ludzkiéj, dla któréj, jak według Starego Testamentu, trud jest przekleństwem, i ulegających każdemu popędowi z banalném *c'est plus fort que moi* na ustach. Schopenhauer wytwarza pesymistów, Comte, Spencer, Darwin t. zw. pozytywistów, i Nietsche ma swych wyznawców; nietylko w życiu prywatném, lecz i w życiu twórczém (porównajmy t. zw. szkoły malarzy, poetów, filozofów) napotyka się ciągle na prawa naśladownictwa, jak je nazywa Tarde, bo czémże jest naśladownictwo, jeśli nie skutkiem suggestyi? Jeden wiersz w jakiejś książce znaleziony decyduje o życiu (świetnie pod względem psychologicznym przeprowadza tę myśl Anatol France w „L'oeuf rouge”), często miejsce lub przedmiot działają suggestyjnie, np. miejsce samobójstw.

Również i w dziedzinie uczucia suggestya występuje z wielką siłą: sympatya udziela się, jak antypatya, największą miłość można rozdmuchać i rozżarzyć tą drogą, zwłaszcza namiętność mężczyzny, która z natury rzeczy odgrywa rolę czynną w odwiecznéj komedyi miłości, przybiera wszystkie cechy suggestyi, jest to owo staranie się o względy, nakłanianie, wpływanie na wolę, zaczynające się w sposób widoczny u tokujących cietrzewi, a kończące się na serenadach minstreli.

Nie inaczéj postępował Czyński; na zimno, czy w dobréj wierze, pragnął zyskać serce panny v. Zedlitz i zyskał.

Oświadcza sama na rozprawie, że gdy się jéj oświadczył, uczuła litość dla niego, choć nie czuła miłości; lecz dusza kobiety ciemna jest i trudna do przeniknięcia, wiemy jednak, jak niebezpieczna jest dla niéj litość, jeżeli ją budzi człowiek młody i przystojny, tak niedaleka jest myśl otarcia łez, które płyną dla niéj i przez nią, jakaż pokusa rzu-

cić się w ramiona złamanego i przybitego, by go podnieść i pocieszyć. Nadzwyczajnie subtelnie przeprowadza ten proces psychologiczny Daudet (Alphonse) w „La petite paroisse" *„et il étouffait des sanglots, de vrais sanglots d'enfant, que Lydie essayait d'arrêter en lui mettant sur la bouche sa main appoyée...*"; nie inaczéj prowadzi w „Disciple'u" Robert Greslou sztukę wzniecenia miłości w M-lle de Jussat.

U baronówny v. Zedlitz dołącza się do uczucia litości silna, choć dotychczas hamowana zmysłowość; wszak wzywa sama później Czyńskiego, by przyjeżdżał prędko używać „les délices de nuit." Dla prokuratora niezrozumiała jest miłość panny v. Zedlitz dla Czyńskiego; oczywiście, kto uczucie, w gruncie rzeczy zawsze jako pożądanie zmysłowe, z umysłowością niemające związku, mierzyć chce miarą zimnego rozsądku i spokojnéj spekulacyi, wciągając w rachunek majątek, stanowisko, imię i stosunki, ten nie osiągnie celu. Erotyczne podrażnienie nerwów zrywa wszelkie pęta (wszak mamy wyrażenie: szaleć z miłości), nie liczy się z niczém. Szekspir każe się zakochać bogini w ośléj głowie, Słowacki Goplanie w Grabcu, a życie codzienne przynosi związki niezrozumiałe osób pięknych, inteligentnych, z klas dzierżących kulturę, z głupimi, nieokrzesanymi parobkami. Tego kontrastu, tak znacznego nie było w stosunku Czyńskiego i panny v. Zedlitz.

Doświadczenia hypnotyzerów wykazują, że nie można w hypnozie, a tém mniéj na jawie, dostatecznie silnie poddać danemu medyum myśli wykonania pewnéj czynności, która dla medyum jest wstrętna, która nie godzi się moralną treścią i życiem wewnętrznéem danego osobnika; tak daremne są często usiłowania najbieglejszego hypnotyzera, by osobę skrupulatną nakłonić do popełnienia kradzieży, kobietę wstydliwą do obnażenia się i kończą się zazwyczaj atakiem histerycznym (Gilles de la Tourette: „L'hypnotisme et les états analogues", 139). Nieniniejszy opór wywołuje u niektórych osób rozkaz pocałowania osoby płci innéj (mężczyzny), niewątpliwe jest, że z pod wpływu hypnotyzera usuwa się cały szereg czynów, których nie chce aprobować zasób podstaw moralnych lub poczucia estetycznego, tak głęboko zakorzeniony w duszy, że staje się częścią całego jestestwa. Nie ma wątpliwości, że nie można poddać suggestyjnie miłości do osoby, która dla hypnotyzowanego jest wstrętna, suggestya opierać się musi na skłonnościach już istniejących, choćby dotychczas nie przejawionych [1]). To téż mó-

---

[1]) Jedenfalls sind diese Beobachtungen ein Beweis dafür, dass auch im hypnotischen Zustande die Individualität nicht ganz aufgehoben ist und das Bewusstsein nicht immer ein leeres Blatt ist, auf das mann alles schreiben kann, was man will, mówi Lilienthal (Der Hypnotismus und das Strafrecht).

wić o *beeinflusste Liebe* nie zdaje nam się być dość ścisłém, a stanowczo nie można pojęcia tak nieuchwytnego przyjmować za podstawę wyroku karnego.

Oskarżenie przeciw Czyńskiemu przyjmuje jednak za podstawę tę niezdrową, nienaturalną, poddaną miłość, dodaje do tego stan pewnego odurzenia po posiedzeniu i twierdzi, że baronówna v. Zedlitz była w stanie bezwolności w chwili, gdy Czyński zbliżał się do niéj w pozycyi łabędzia wobec Ledy, jedném słowem, że dopuścił się na niéj zbrodni. Znawcy, którzy pytanie odnośne potwierdzili, opierają się głównie, prawie wyłącznie na analogicznym, a sławnym w kryminalistyce przypadku Castellana. Analogia, niestety, bardzo mała i tylko pozorna. Dziewczyna przez Castellana uwiedziona zeznaje rzeczywiście, że nie mogła stawić żadnego oporu, nawet do ściany zapukać, by zawołać sąsiadów, gdy jedna z jéj krewnych stukała do drzwi, słyszała jéj głos, lecz nie mogła dać odpowiedzi. Lecz taż sama dziewczyna nazajutrz opowiada o swém nieszczęściu i chce się topić, na jawie odpycha Castellana i okazuje wielką obawę przed nim, ciągle męczy ją myśl, że otoczenie gotowe ją wziąć za zwyczajną nierządnicę, obawia się nowych ataków z jego strony, opłakuje swe położenie, prosi otoczenie o pomoc, wreszcie, gdy przemocą prawie nakłoniona przez Castellana do ucieczki, spostrzega w czasie wędrówki, iż jéj pan i władca rozmawia ze służbą leśną, ucieka, chroni się w obcym domu, prosząc o ukrycie przed Castellanem, przed którym udało się jéj tak szczęśliwie uciec. Panna von Zedlitz przeciwnie, otacza Czyńskiego opieką, wspiera materyalnie, poświęca wszystko, majątek i nazwisko, stara się zacieśnić łączące ich węzły. Jéj niemoc fizyczna jest zwyczajném omdleniem kobiety, oddającéj się nawet dobrowolnie. Niemniéj inne przypadki analogiczne, zebrane u Lilienthala (*op. cit.*), wykazują też samą odrazę do hypnotyzera, nadużywającego cieleśnie swą ofiarę w stanie bezwolności.

Znany jest przypadek odwrotny: medyum oświadcza w czasie snu hypnotycznego miłość swą dla hypnotyzera, bo sen hypnotyczny, jak sen zwyczajny, jest przedłużeniem istnienia na jawie, zjawiają się w nim myśli i skłonności ukryte przed światem, nawet przed samym sobą.

Staje przed nami teraz problemat, czy stosunek płciowy z osobą, która na jawie nic przeciw temu nie ma, zezwala na niego, chętnie go nawet widzi, jest czynem karygodnym, jeżeli się go dokonywa w chwili, gdy znajduje się ona w stanie snu hypnotycznego lub przynajmniéj odurzenia pohypnotycznego i czy stan ten poczytać można za bezwol-

ność w rozumieniu kodeksu niemieckiego lub podciągnąć pod podstępne odurzenie kodeksu austryackiego? Zdaje nam się, że nie.

Celem ustawy karnéj w ustępach traktujących o tego rodzaju przestępstwach, jest ochrona wolnéj dyspozycyi w stosunkach płciowych, a więc ochrona kobiety przed nadużyciem jéj ciała do zaspokojenia popędu płciowego wbrew jéj woli, środki do tego użyte, gwałt fizyczny, odurzenie zmysłów lub nawet, jak kodeks austryacki przyjmuje, zresztą niewłaściwie, wyzyskanie stanu bezbronności i bezprzytomności, sprowadzonych bez przyczynienia się sprawcy, lub nieświadomości dla braku należytego rozwinięcia władz umysłowych (wiek niżéj 14 lat), we wszystkich tych wypadkach przyjmuje się, że nie było woli i zgody kobiety.

Inaczéj przedstawia się rzecz, gdy domniemywać się można zgody danéj osoby lub gdy prawo nawet każe się jéj domyślać. I tak ustawodawstwo ustanawia taką *praesumptio juris* odnośnie do żony, wobec któréj przysługuje mężowi w myśl zasad kanonicznych *jus in corpus*. Domniemywać się można zgody w razie, jeżeli mężczyzna pozostaje do kobiety w stosunku kochanka, jeżeli daje mu ona przy zupełnéj swobodzie i jasności umysłu dowody miłości i zezwolenie na wyciągnięcie stąd najdaléj idących konsekwencyi. Nie w innym stosunku pozostawał Czyński do panny v. Zedlitz, to też mowy być nie może o podciągnięcie faktu, aktem oskarżenia objętego, pod przepisy ustawy karnéj.

Stwierdziliśmy zatém, że Czyński był histerykiem, z drugiéj strony staraliśmy się wykazać, iż postępowanie jego wobec baronówny von Zedlitz, choć na pochwałę nie zasługuje, nie mieści w sobie istoty czynu karygodnego. Mimo to jednak dalecy jesteśmy od kruszenia kopii w obronie tego osobnika anormalnego, nie mamy też wcale zamiaru, korzystając z jego stanu na pół psychopatologicznego, wykazywać, że jest niepoczytalny, a stąd, że nie może być pociągany do odpowiedzialności karnéj. Histerya jest niewątpliwie chorobą wkraczającą w dziedzinę psychozy o tyle, o ile władze umysłowe nie funkcyonują z dokładnością idealną.

Lecz z drugiéj strony gdzież szukać umysłu idealnie skonstruowanego? Można twierdzić niemal, że niepodobna go znaleźć, choćby się przeszukało tysiące umysłowości; jak w dziedzinie budowy ciała człowiek idealnéj struktury istnieje tylko w podręczniku anatomii lub wzorach dla rzeźbiarzy, przeciętne zaś indywiduum rodzaju ludzkiego przedstawia najróżnorodniejsze anormalności i zboczenia, tak i umysł ludzki przebiegać może całą skalę od możliwie największéj prawidłowości, aż do zboczenia umysłowego, a w nowszéj teoryi małą tylko granicę przyjmującéj między geniuszem a obłąkanym, jak i w zdaniu

Seneki: *nullum est magnum ingenum sine aliqua mixtura dementiae* mieści się część prawdy. Jak jednak przy budowie ciała zatrzymujemy się przy téj nieprawidłowości, którą nazywamy kalectwem, i uznajemy istnienie tylko dwóch typów: kalek i ludzi nimi nie będących, tak przy schematycznem zestawieniu życia duszy — musimy rozróżnić umysły chore (obłąkane) i umysły nieobłąkane. Ta granica stanowi i dla prawa karnego przy nauce o poczytalności punktu wyjścia — drobne cieniowania zaprowadziłyby nas zbyt daleko — jestto wprawdzie różniczkowanie zbyt grube i szablonowe, któremu w pomoc przyjść trzeba t. zw. okolicznościami łagodzącemi, uwzględniającemi zaniedbane wychowanie, chwilowy afekt i t. p., lecz w zasadzie dwa te tylko rodzaje się przyjmuje przy rozstrzyganiu kwestyi poczytalności. To też Czyński, mimo to, że histeryk jest zdaniem znawców zupełnie poczytalnym.

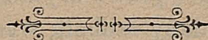
Co się tyczy zastosowania ustawy karnéj do Czyńskiego z tytułu jego szkodliwości społecznéj jako aktu *dofesa sociale*, to pamiętać należy o zasadzie nowoczesnego prawa kryminalnego, że nie nieoznaczona szkoda społeczna, którą dany osobnik wyrządza ma być probierzem jego winy i podstawą jego kary, lecz moment naruszenia najdokładniéj oznaczonéj normy, ustawy karnéj. Kodeks karny jest, jak słusznie mówi Liszt, *magna charta libertatum* dla złoczyńców, gwarantująca im swobodę zupełną, o ile pewnych punktów tego dyplomu wolności nie naruszą; nie możemy się cofać do ludów niskiéj kultury sądzących według dokonanego faktu i dopiéro po uznaniu danego czynu za szkodliwy— wymierzających karę w drodze społecznéj reakcyi, ani do trybunałów rzymskich, wyrokujących według *animus hostilis*, ani średniowiecznych niemieckich, posiłkujących się niebywałemi analogiami — byle tylko czyn uznany za szkodliwy napiętnować jako zbrodnię.

To też wobec stanu faktycznego, z którego wynika niewątpliwie, że wzięcie się Czyńskiego wobec panny v. Zedlitz nie naruszało ustawy karnéj z § 176 u. II k. k. niem., musieliśmy przyklasnąć werdyktowi monachijskiego sądu przysięgłych i tylko teoretycznie go jeszcze poprzéć.

Dr. Juliusz Makarewicz.



NAD RANEM.



Dnieje w mieście. Przedświt uczy ludzi światła, powtarzając w odwrotnym porządku zmiany doby wczorajszéj: noc zapadającą, zmrok mglisty, tęskniejszy od wieczornego, ścielący się wśród ciszy zupełnéj.

Z półcieniów występują powoli martwe szyby w równych odstępach, bruk zapylony, chodnik wytarty — wszystko szare, wszystko nieruchome, bez strzelistych promieni, przygwożdżone do ziemi.

Jasność bez słońca, pogoda bez błękitu, wietrzyk bez szelestu i świat bez ludzi.

A może... nic nie było?

Ranek niósł z sobą świeżość ciepłą, któréj nie miał kto wchłaniać; słońce gdzieś wstało, lecz ludzie byli ślepi; na górze coś biegło z nieprzerwaną ciągłością; na dole, na wielkiém cmentarzysku, przybywały tylko głazy.

Czas z okiem rozwartém, w dal skierowaném, toczył teraz przed siebie wóz płomienisty również obojętnie, jak zasypywał z wieczora świat płatkami pomroki.

Pochwycić też można było w téj jasnéj ciszy to jedno, że przechodzi co chwila i przejdzie przyroda nad człowiekiem nieskończenie od niego odrębna, nic z siebie nie tracąca, w sobie zamknięta.

Czyżby miała być inna, gdyby ludzie już nie wstali? czy czas zatrzymałby koło, by obejrzeć stratowane członki ludzkości?

Po chwili wszystko biło w oko wyraźnie, chłodno.

Fortepian, co niby cień strasznego zwierza, napastował człowieka, a teraz pulpit, z ogromną, w tył odchyloną głową, zarysował się już doskonale, jako ciężkie, czarne pudło, wbite w podłogę; fotele w brudnych całunach patrzyły z góry ze smutkiem opuszczonych mebli, a tu, w wielkiéj, podrzędnéj szynkowni, widziałeś pękate, z farby obtarte stoły, zastawione podstawkami do piwa.

Pustki — cisza.

Jednak w dali poczęły się wkrótce jakieś szmery. To miejskie skowronki niepewnie, bo ze snu, zaświegotały: „czy to będzie dzień, czy będzie?" i coraz głośniéj, coraz niecierpliwiéj domagały się słońca.

Parowóz z poblizkiego dworca przeszył ciszę donośném „oho! oho!" a szczebiot już nie ustawał na chwilę, uderzając w kryształ powietrzny mnóstwem drobnych, radosnych dzwonków.

Wreszcie w wielkiéj kamienicy skrzypnęły wrota i pierwszy człowiek wyszedł na świat samotny.

Uliczka zadrgała echem żywych kroków, ostro wybijanych po twardym chodniku.

Przybyło też w jednéj chwili więcéj światła.

Za człowiekiem, niby na jego rozkazy, wtoczyła się na sennych kołach nocna dorożka.

Woźnica kiwał bezwładną głową na prawo, na lewo, przechylał się niekiedy całym tułowiem do niechybnego niemal upadku, mimo to nie zsuwał się z kozła i nawet nie wypuszczał z ręki lejc rozluźnionych.

Zmógł go sen, co spada z nienacka nad ranem i ścina jak sierpem, nie bacząc na usta otwarte do mowy, na rękę wyciągniętą po kielich, księgę, pieszczotę, lecz ścieląc ofiary tak, jak je zastał po wydartéj mu podstępnie nocy.

Szkapa wlokła się, jak pijana, to środkiem, to brzegiem uliczki, raz nawet o mało co nie wjechała na chodnik, koło uderzyło o rynsztok. Woźnica żywo podskoczył na koźle i nie otwierając oczu, szarpnął z przyzwyczajenia prawą lejcą.

Wtedy szkapa stanęła koło chodnika, nisko zwiesiwszy nad brukiem swój duży, niezgrabny łeb.

Była bardzo zmęczona.

Nie cieszyła się z pięknego poranku, nie spała i nie czuwała; ot, patrzyła tylko na bruk w jakiémś odrętwieniu.

Nic ją nie bolało, bo bolało wszystko: wędzidło wydawało się już dawno wielkim zębem, wyrosłym w poprzek pyska, no — a uprząż chomonta... prócz zamierzchłych czasów źrebięcych zawsze coś kłuło w boku, w krzyżu, w nogach.

To tylko z początku; potém już nie masz do czego bólu przyrównać.

Biedz, przystanąć na chwilę, by poprawić w pysku żelazo, biedz daléj, daléj — tak jest ni dobrze, ni źle; jest tak i na tém koniec. Zresztą koń, to dalszy ciąg powozu, bez konia nie byłoby jazdy, jazda zaś być musi, bo szkapa biegnie.

Co prawda... niekiedy trudno ruszyć z miejsca; chodzi się, jak w worku, żelazo kwaśniejsze niż zwykle. W takich chwilach łatwo się jednak upewnić, czy to „on", ten za nią, nie życzy sobie, by stała na miejscu, czy téż to tylko... tak coś niepokoi.

To „on" ściągnął jéj pysk, to znaczy podnieść nogę; potém się już biegnie. Biedz — to biedz, stać — to stać, wszystko jedno.

Témbardziéj, jeżeli się jest... ślepym.

On śpi, ona stoi wśród zupełnie czarnéj nocy w jasnym świecie.

Nie „nocy" — bo dnia już nie pamiętała.

„Nic" nie było. Niegdyś widziała jego i inne szkapy, a potém nastało długie nic.

I było z tém znowu ni dobrze, ni źle.

W uliczce majaczyły blaski.

Do upalnego, gęstego błękitu jeszcze daleko; młoda jutrzenka zarzuca tymczasem na siebie bledziutką sukienkę niezapominajkową.

Wieje od niéj ciepłem dziecięcego ciała, zbudzonego w bieli.

Westchnęła pogodnie — i wnet trysnęły na nią strumienie wonnych kadzideł, budząc w człowieku pragnienie ożywczego ruchu, pierś napełniając dumą krwi — życia.

W uliczce już gwarno: gromadkami przeciągają ludzie na modlitwę i na majówkę.

Młode mieszczki w sztywnych, z soboty na niedzielę przygotowanych perkalach, w rękawiczkach i z parasolkami; kawalerowie w odświętnych czapkach, jaskrawych krawatach, z bukietami bzu w ręku; stare, brzydkie kobiety w dziwnie jasnych kokardach na łysych głowach; niedbale poubierane krzykliwe dzieci — wszyscy szli śpiesznie słoneczną stroną uliczki, rozbawieni obietnicami pięknego poranku, nadzieją wesołego odpoczynku za miastem, pod niebem, w lasku o kilku drzewach.

— Patrzcie, jak śpi — wyśpiewała jakaś mała, niebrzydka blondynka, pokazując parasolką dorożkarza, który spał teraz prawie na klęczkach.

— Zmęczony, biedak — rzekł ze współczuciem bezwąsy kawaler.

I natchniony pragnieniem wiosennego wybryku, szybko oderwał ze swego bukietu parę gałązek bzu, podszedł do konia dorożkarskiego i umocował nad jego łbem dumny pióropusz.

Odeszli bardzo zadowoleni ze swego konceptu.

A w ciemny łeb laureatki wdarło się z wonią kwiatu przykre zdziwienie: niegdyś czuła niby to samo, lecz trochę inaczéj; czegoś jéj brakowało...

Szukała téj zguby na bruku, nad rynsztokiem.

Była godzina — co szkapie, i to ślepéj, po godzinie?

Jasno, biało dokoła, a tam, gdzieś na piętrze, szczerzy żółte zęby dogorywające światło.

Miota się, słabnie i urąga dzionkowi, coraz dziwaczniejsze.

Po co to światło? Kto nie dowierza słońcu?

W kuchence cisza. Znać tu ślady „niedokończonéj orgii.” Na długiéj desce, rzuconéj na komin i stół kuchenny, leży stos wyprasowanéj i złożonéj bielizny; tuż obok, na stołku, stoi kosz z resztkami sztuk przeznaczonych do ciśnienia żelazkiem, którego ostra „dusza” odpoczywa teraz w zimnym popiele.

Wielkie, miedziane rondle na półkach, ozdobionych koronką z różowego papieru, lśnią własnym, wymęczonym połyskiem.

Mała firanka nad oknem i kilka doniczek rozczochranego zielska, znoszącego sąsiedztwo komina, nadają kuchence fizyognomię pokoiku mieszkalnego.

Na kominie pusto, wygasło święte ognisko, tylko mała lampka z rozżarzonym knotem, z mętami nafty na spodzie, napełnia kuchenkę ciężką, kwaśną wonią.

Obok drzwi z szybą stoi łoże kucharki. Dwie tęgie, białe poduszki, z okrągłym jaśkiem na górze, kołdra pikowa, ozdobny obrazek Matki Boskiéj nad łóżkiem, świadczą o tém, że téj pani nie jest tak źle na tym świecie.

A jednak żółta jéj twarz o krótkich, ostrych rysach, pierś zwiędła i nieznacznie się poruszająca, ręka zwieszona, o prostéj kościstéj linii, skroń z całą siatką sinych, pogmatwanych żyłek, całe jéj długie ciało, głową rzucone na brzeg dolnéj poduszki, czyni przy dzienném świetle, przy lampce i na tle bielizny, wrażenie jakiéjś formy spłaszczonéj, która już utraciła dawno barwę, ciepło i wypukłość.

A jeszcze podobna była ta wędzona na wolnym ogniu pracy kobieta do postaci kreślonych przez dzieci na liniowanym papierze: pudło — piersi, dwie kropki — oczy, kréska — nos, tyki dla nóg — i gotowy człowiek wydłużony, prostokątny.

Szczególnie te oczki — ach, te oczki! Było może lepiéj, że spały, bo co to jest oko bez rzęs lub z dwoma włoskami na zaczerwienionéj powiece?

A oko bez brwi?

Brwi nadają oku wyraz i śmiało zatoczonym łukiem usprawiedliwiają umieszczenie dwóch gałek pod czołem; brwi pięknie zarysowują blade czoło, brwi malują stan duszy ludzkiéj, brwi... .

Maryanna miała tylko miejsce na brwi.

Wogóle źle była upierzona, więc i zamiast „ciężkich splotów” biegły po obu stronach jéj żółtego czoła rzadkie taśmy brudno-płowych włosów.

Czad w kuchni wzmagał się z każdą chwilą.

Już knot wyssał, co mógł, z żył spustoszonych, już i gorączka minęła i teraz czerniał zupełnie zwęglony.

Panna Maryanna spała.

Dzwony biły gdzieś niedaleko, stróż głośno zamiatał ulicę, turkot stawał się donośniejszy — panna Maryanna spała z otwartemi oczyma.

Teraz można było w nie zajrzéć: niby szare, niby białe, z czerwoną obwódką, patrzyły w stronę okna tępo, nieprzytomnie.

Nagle zerwała się, usiadła na łóżku, przetarła wierzchem dłoni swoje oczki i daléj patrzyła przed siebie.

Zastygła widocznie w jakiéjś kontemplacyi, a może duszy oderwać nie mogła od sennych widziadeł?

Po chwili jeszcze raptowniéj wskoczyła na swoje długie szczudła i spędziwszy po drodze z komina deskę z bielizną i niewinnym białym garnuszkiem, pobiegła do kranu.

Tymczasem woda ze strzaskanego garnka zalała monogram koszuli damskiéj i wartkim strumieniem groziła powłoczce i kołnierzykowi, które niewiedziéć jakim sposobem znalazły się w sąsiedztwie.

Lecz niedbała sługa zimną wodą pluskała twarz zaspaną!

Najdłużéj zaś tarła oczy, głośno parskając z zadowolenia. Po raz dziesiąty, setny podstawiała twarz pod gęsty strumień wody.

Dziwna kobiéta! Twarz wilgotną zwróciła nagle do okna, głową uderzając o ścianę, do szyby przylgnęła, mokremi rękoma pieściła szkło, przysłuchywała się czemuś...

Nad oknem frunął wróbel; tego zapewne jéj brakowało, bo teraz w szalonych skokach biegła wprost na komin (ślad jéj długiéj stopy pozostał na batystowéj chusteczce).

Poklepała kilka razy fajerkę, schwyciła zapałkę i potarłszy ją o żelazo, podniosła prawie do nosa.

Zapałka z podłego gatunku kuchennych syknęła grubiańsko; flegmatycznie zakurzyła czerwony łebek i po kilku zaledwie chwilach zapłonęła do połowy niebieskawym ognikiem.

Mania niszczycielstwa owładnęła Maryannę: jedna zapałka ginęła za drugą, zapach siarki przyłączył się do czadu. Wreszcie ostatnia ofiara o bardzo krótkim i cienkim łebku odmówiła posłuszeństwa. Wtedy na twarz Maryanny wystąpiła łuna obłędu: usta szeroko rozwarte, oczy słupem, głowa ściśnięta oburącz. Tak stała i w oka mgnieniu runęła na twarde kolana przed łóżkiem, głowę tuląc w pościeli.

Klęczała, ukazując żółty, ostry kark i czarne pięty.

Może zasnęła na klęczkach; przez kilka chwil nie było słychać żadnych dźwięków.

— Boże! Boże! Boże! — szeptała potém, wynurzywszy głowę z pościeli i kierując wygasłe źrenice po nad obrazek Matki Boskiéj — nic... nie widzę nic! nic!

I nowe fale rospaczy napływały jéj do głowy, coraz gęstsze, gorętsze.

Nie mogła się modlić, powtarzała tylko „nic! nic!” i rękę podnosiła do oczu.

Były na swojém miejscu, nikt ich nie zabierał, chociaż sterczały z pode łba zupełnie niepotrzebnie.

Wstała i zdjęło ją wielkie zdziwienie:

— Jak to nic? Wczoraj prasowałam, wczoraj bielizna biała, czysta... i teraz nic?

Stała teraz pośród kuchni, ogłupiała taką niemożliwą zmianą.

— Bodaj plamkę drobną, rąbek bielizny — manewrowała głową na wszystkie strony.

Nic i nic!

Wtedy poczęła uczyć się niemądréj nauki ślepych: ręce wyciągnęła przed siebie i omacywała przedmioty.

Lecz i tutaj nie zaznała spokoju, bo chociaż drżąca ręka szybko niosła do pamięci wrażenie formy, nie mogła w téj pamięci oderwać białego garnka od okrągłego.

I całe to jéj królestwo, w którém każdy przedmiot ma swoje miejsce, był przez nią rządzony, a niekiedy tłuczony, poczęło się rozprzęgać, uciekać od niéj, jak od niedołężnéj władczyni.

Pamięć, nie żywiona wzrokiem, zdradzała ją na każdym kroku: myślała, że napotka szklankę, a uderzała o imbryk, łyżeczek nie znalazła na stole, ani miedziaków na bułki dzisiejsze (Boże! Boże), chociaż leżały na samym brzegu, dokąd ręką nie sięgała.

Pośpiech, niepewność przyprawiały ją jeszcze o większe rozgoryczenie.

Więc znowu wróciła na środek kuchni, stąpając tak, jakby przed nią piętrzyć się miały jakieś niebezpieczne głazy.

— Nie! nie!—to nie może być—tętniło jéj w mózgu—jakaś musi być rada, ktoś ją ujrzy—ktoś słowo powié.

— Może do doktora? ha! do doktora! Zupełnie ją może wyleczą? — i w jednéj chwili myśl, skacząc po przez wszelkie pośrednie szczeble, chwyciła się kurczowo tego chwiejnego szczytu.

— Wyleczą! wyleczą! — wiele jest mądrych i wielkich doktorów. Będzie leżała w szpitalu. Ma czterdzieści rubli w kufrze to starczy. Wielkie nieszczęście—prawda, lecz jest rada.

— A może teraz... no... choć trochę?... Powlokła się do okna i otworzyła lufcik. Świeżość biła ją po twarzy, po nieprzysłoniętéj piersi, nawet po oku, lecz nie była to świeżość... biała.

Zapomniawszy nagle o tych wielkich doktorach, co to z wszystkiego uleczą, usiadła na oknie, głowę schowała w czerwone ręce—i zapłakała.

Z okna mogłaby widziéć, prócz wielu ludzi, szkapę, któréj łeb tonął aż po uszy w długim worku. Owies — i to bardzo lichy — był tylko na spodzie, więc śniadające zwierzę co chwila wstrząsało serwetą, a częściéj jeszcze nachylało łeb do samego bruku, by wreszcie chlipnąć coś zasługującego na miano jadła.

Maryanna skrzypnęła drzwiami i wyszła po cichu do przedpokoju.

— Powié pani—pani poradzi, pani odeśle do szpitala — i któżby nie poradził?

Już pamięci swéj nie dowierzając i ręce jako przednią straż wystawiwszy, skradała się ostróżnie do pokoi państwa niby z jakim nieczystym zamiarem.

Z pokoju słychać było chrapanie na dwa głosy o różném tempie: jedno — ciche, lecz szybkie, żwawe, młode; drugie—powolne, ciężkie, wyrywające się z brzękiem, dzwonieniem i gwizdaniem. Jak kilka wahadeł ścigały się nawzajem, nie mogąc się spotkać w żadném tętnie klekotu.

Odeszła ode drzwi i wróciła omackiem do kuchni.

— Śpią—nie można budzić. Oni śpią — a ona im krzyknie, że oślepła? W niedzielę panicz lubiał sypiać długo, bo cały tydzień wstawał do szkoły o ósméj. A pani? Pomyślą, że zwaryowała. Nie, nie— pójdzie lepiéj do Piotra — już wstał, bo słychać miotłę. Tylko narzucić kaftanik.

— Oj Boże, Boże! — cicho westchnęła niby z przyzwyczajenia. Na stołku nie ma, zawsze tu leżał, a teraz nie ma. Może... tu? Bielizna na ziemi! Pani wstanie, a co z bielizną? Koszula—leży—mokra.

— Boże, com ja ślepa narobiła! Gdzie to teraz położyć—wszystko zmieszane—ni ładu—niczego... Tu leży prześcieradło, tam ręcznik, ot i ta chusteczka koronkowa—brudne to zapewne.

Otrząsała z pyłu i rozłożywszy bieliznę na łóżku, składała w czworo brzeg do brzegu.

— Kaftanik! gdzie mój kaftanik? na łóżku nie ma, na stole? skądżeby?

Tu znowu leży deska. Jaka ciężka!

Ujęta prawie od końca ślepemi rękoma uderzyła Maryannę w głowę. Wtedy dopiéro balansując ciężarem niosła go wprost na półkę z rondlami. Zdziwione takiém najściem, zadzwoniły przeraźliwie i tém odparły ślepą siłę. Po takiéj klęsce skierowała swe kroki w stronę kranu. Nigdy tutaj deska nie stała, jednak po takiéj tułaczce, ześlizgnąwszy się jeszcze parę razy, przylgnęła wreszcie do ściany.

— Kaftanik! kaftanik! — stróż, doktór... szpital.

Wisiał na poręczy łóżka. „Trzeba było być ślepym," by go nie widzieć.

Przetrząsała jeszcze i jeszcze raz łóżko—całą pościel. Potém znowu złożyła bieliznę na stołku; kilka sztuk upadło, podniosła je; czołgała się na czworakach pod łóżkiem — kaftanik w różowe paski wisiał spokojnie na poręczy i... śmiał się.

Dotknęła go prawie łokciem, szukając zguby na kufrze.

Spociła się mocno, krew uderzała jéj do głowy.

A przecież rękę mogłaby wyciągnąć po sprawcę kłopotu—nawet oczy utkwiła w jednym jego szklanym guziku.

Wisielec! mógłby upaść jéj do nóg—frunąć, w twarz uderzyć.

Może nie istniał? W téj chwili mogła by go widzieć stara pani, jéj wnuk — wszyscy prócz Maryanny; w téj chwili zresztą i ona nie istniała, przynajmniéj nie czuła swego istnienia. Nie medytowała, nie dumała nad sobą, nie spała — i nie czuwała — ot siedziała na swoim kufrze, w którym było czterdzieści rubli, wśród zupełnie czarnéj nocy o grającym na szybach, szklankach i rondlach poranku.

— Kaftanik! kaftanik! musi być! ślepam—a znajdę.

Za kufrem, pod łóżkiem... Lecz i kaftanik ustępował przed ludzką zawziętością: trącony ręką, zwiesił czołobitnie jeden swój rękaw, potém, kiedy Maryanna poraz setny przetrząsała pościel, padł na ziemię,

wreszcie znalazł się pod nogą ślepéj, kiedy ta już zupełnie straciwszy przytomność biegła przed siebie na oślep.

Wdziała go na siebie.

Sień, ostrożnie—ostrożnie stopę wysuwała naprzód, przygotowując się do wschodów. Daléj... daléj — ot i poręcz. Po poręczy będzie łatwo. Tyle razy biegła codziennie po bułki, to po kajet, to po pieprz, a teraz...

Wydawało się jéj niekiedy, że schodzi do jakiegoś grobu: posuwała się nadół, lecz na dole nie było jaśniéj niż na górze.

Głupie półpiętra zmęczyło ją bardzo. Nogi wlokły się niby cudze.

Daléj koło poręczy stopnie zwężały się coraz bardziéj — poręcz już nie pomagała, Maryanna zdwajała ostrożność, mimo to stopa jéj nie raz zsuwała się z stopni.

Krew biła do głowy ze strachu, z rozpaczy, z niecierpliwości, lecz myśl o Piotrze, o jakimkolwiek człowieku, który ujrzy ją, ślepą i coś poradzi, krzepiła ją w tym pochodzie ciężkim.

Na pierwszém piętrze poręcz się kończyła i trzeba było suwać stopę po sieni, dopóki się da, dopóki nie będzie stopnia.

Raz zaniosła nogę przedwcześnie i potknęła się na równéj podłodze.

Znowu poręcz—teraz już do samego podwórka. Prędzéj, prędzéj.

Wreszcie parter—czuła to po świeższém powietrzu.

Słychać miotłę i głosy—to Piotr z kimś rozmawia. Zawołać go? — nie, lepiéj poczekać, na dole.

Jakoś się waha. Poręczy nie ma.

Czuć wilgoć—chłód. To piwnica—na lewo, tuż obok wejścia.

Po prawéj stronie będzie sień, za sienią wschody, a jeśli stać tyłem do wschodów, to po lewéj ręce będzie pracownia gorsetów.

Piotra najlepiéj zawołać.

— Piotr! Piotr! — wyszeptała słabym głosem. — Wciąż gada z kimciś!

— Więc jakże to będzie? — zapytała siebie z uśmiechem, bo już to jéj niedołęstwo poczynało ją śmieszyć.

Pójdę na górę — pomyślała — pani już może wstała; lecz chociaż tylko co odeszła od wschodów już ręką wyciągniętą chwytała tylko powietrze, postąpić zaś trochę daléj nie miała odwagi.

— Piotr! — chciała znowu zawołać, lecz tylko poruszyła ustami.

Wilgoć—więc to piwnica. Na dole piwnica — powtarzała postokroć, z piwnicy, wiem, wiem, wychodzi się prościuteńko do sieni, koło

pracowni gorsetów. Piwnica koło gorsetów, gorsety koło wschodów, sień—podwórko—kręciła się na miejscu, kręciło się jéj w głowie.

— Do gorsetów postukać? tam jest panna Aniela, dobra dziewczyna, ona pokaże, poprowadzi—i któżby nie pokazał?

— O... o... tu... tu... szyld je — blacha—postukać. Cicho — śpią jeszcze, bo to niedziela. E, — pytać tam o drogę nad rankiem! Głupiam—toć gorsety—i zaraz podwórko, a ja stoję.

A piwnica za mną—dodała na uspokojenie nowych wątpliwości.

Tak... tak... noga do góry... nadół! nadół! nadół... zęby... głowa... pierś... ręka...

. . . .

— Mary-an-na! her-ba-ty! o-ho-ho-ho. Maryanna, słyszysz?

— Czego babcia krzyczy—spać mi nie daje! rzuca się na łóżku mały Luś—dzisiaj niedziela. A ładna dzisiaj pogoda?

— Ładna, śpij, śpij!

— Maryanna! no... sama wstanę.

Luś wysunął z pod kołdry stopę, potém zwinął się w kłębek i zasnął smaczniéj, bo już wiedział, że dzisiaj niedziela.

Nie widział też, jak babcia wyjęła z szklanki zęby, włożyła je do ust, jak przepasała się czerwoną spódniczką i podreptała w pantoflach do kuchni.

Tymczasem w szczupłéj, krótko ostrzyżonéj głowie Lusia z wielu szufladek wyglądają maleńkie ruchliwe myszki. Z początku jedna nieśmiało pokazuje swój nosek, potém druga, trzecia, a po chwili jest już ich wielkie mnóstwo i pędzą na siebie w strasznym nieładzie.

I czytał Luś w historyi: „Rzymianie strącali winnych ze skały Tarpejskiéj.” Maryanna nie daje herbaty. Lusia budzą, bo dzisiaj poniedziałek, chociaż on wié doskonale, że to niedziela.

— Babciu, Maryanno—dajcie pokój—krzyczy Luś, zły że mu nie wierzą i że niczém nie może im dowieść prawdy.

Lecz babcia wlecze go—nie do szkoły, ale na ową skałę Tarpejską, nie—nie na skałę, ale na tę górę piaskową, którą widział u ciotki na wsi.

Na górze stoją koledzy: Józiek i Franek i wielu innych nieznanych mu chłopców. Babci nie ma, lecz jest Maryanna, która nagle jak z ziemi wyrosła.

Postawili Lusia na krawędzi i nie wolno mu się odwrócić; nie wié też czy go zepchną i oddech traci, patrząc nadół.

— Dzisiaj poniedziałek?—krzyczą wszyscy. Więc zepchnąć go! zepchnąć!

— Ja sam pójdę do szkoły!—błaga Luś w wielkim płaczu.

— Zepchnąć go! — wołają daléj.

— To ona winna — woła Luś w rozpaczy — wstyd oblewa mu twarz wrzątkiem, jednak pokazuje Maryannę, która stoi ze szklanką herbaty w ręku, głowę ma obwiązaną i słabo się uśmiecha.

— Więc zepchnąć Maryannę! — krzyczy ktoś.

Wtedy Maryanna podaje Lusiowi herbatę, a sama wciąż z tym samym uśmiechem podchodzi do brzegu skały.

Luś drży z przestrachu i patrzy, co będzie.

Widzi, jak Maryanna pada nadół coraz niżéj, niżéj — lecz nie widać, by gdzieś wreszcie upadła.

Luś płacze—Luś zamiera z żałości — nie wytrzymał — i skoczył za Maryanną.

I dziwna! skoczył z Tarpei jak z kozła. Znikła góra—koledzy. Luś biega swobodnie po łące i tylko słyszy dzwony, dzwony...

A więc to niedziela? nie, poniedziałek: budzą go, budzą.

Podskoczył Luś na łóżku i obudził się.

Na dole było coś bardzo gwarno.

— Babciu, babciu—co to tak krzyczą na podwórku?

— Nic, nic—śpij! — odpowiada babcia z kuchni i daléj prowadzi rozmowę ze stróżem.

Luś wyskoczył z łóżka, podnosi roletę i patrzy.

— O... co to?

Całe podwórko pełne ludzi—wszystkie młodsze, kucharki, szewc z suteryny, wiele chłopaków. Żółte, białe, czerwone kaftaniki, rozczochrane głowy, patrzą z okien, z przeciwka, z balkonu. Słyszy: biedna! biedna!

— Co to się stało?—pyta Luś, wychylając głowę.

Jakiś chłopiec patrzy na niego i wytyka palcem.

— Rozchodźcie się—no! żywo!—krzyczy rewirowy.

— Babciu! — pyta znowu Luś – co to jest?

Babcia nie odpowiada.

Więc Luś patrzy daléj. Wszyscy krzyczą: jak to się stało—gdzie miała oczy?

— Pobili się zapewne myśli—Luś.

Teraz dopiéro widzi tam daléj — w saméj bramie dorożkę: na stopniu stoi stójkowy i trzyma jakąś chustami obwiązaną babę.

— Baby jęczy: o biedna, biedactwo i otaczają dorożkę.

— Do szpitala! — krzyczy stójkowy.

Tłum się rozstępuje, idąc za dorożką. Luś wychyla z okna dobrą połowę ciała.

— No, ślepa! — krzyczy dorożkarz.

I dorożka rusza.

Jeszcze... jeszcze... Luś widzi zwiędłą gałąź bzu, kiwającą się na łbie konia — i oto już słychać tylko, jak dorożka wjechała z łoskotem na bruk ulicy.

— Babciu! — Luś biegnie do kuchni — kogo wzięli do cyrkułu?

— A co ci potém? Maryanna zachorowała...

— Babciu! — błaga Luś, drżąc w jednéj koszuli i boso — czy nasza Maryanna umarła?

Babcia milczy, Luś patrzy na Piotra. Piotr się uśmiecha pobłażliwie, bo jest w zmowie z panią.

— Czy ty mi pójdziesz do łóżka? zaziębisz się, głupi! ...Więc złożycie książeczkę służbową w kantorze.

— Słucham, proszę pani.

— Babciu, czy Maryanna...

— Mam ja, proszę pani, dziewuchę, siostrzana mojéj baby, silna w robocie...

— Przyprowadźcie...

— Babciu! — wymawia Luś jednym tchem — czy nasza Maryanna już nie będzie?

— No, idź już, idź — zamachnęła się na niego żartobliwie — dam ci zaraz herbaty — dodała, niosąc imbryk do pokoju.

— Ja nie chcę herbaty — powtarza Luś uparcie — ja chcę wiedzieć...

Lecz i babcia uparła się przy swojém i naléwa sobie esencyi do szklanki.

A Luś ze łzami w oczach, w jednéj koszuli, wygląda przez okno.

Tam jeszcze stały kobiety, kiwały głową i patrzyły na Lusia.

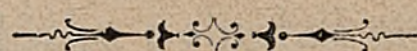
I po raz setny Luś pochwycił słowa:

— A gdzie miała oczy, ślepy nawet?...

Jerzy Algos.



Projekty i próby reformy agrarnéj.



„Nie wird man grosse Fragen erfassen, wenn der „Standpunkt, den man für ihr Verständnis sucht, nicht „weiter reicht, als das formale Gebiet jener Fragen „selber."

Wawrzyniec Stein

Na widok objawów, występujących w gospodarstwie rolném w drugiéj połowie bieżącego stulecia coraz liczniéj i coraz groźniéj, budzi się uzasadniona obawa o los i dobrobyt nie jednostek, nawet nie klasy jednéj tylko, lecz całych społeczeństw. Bo też obecne ciężkie przesilenie rolnictwa znaczeniem swém i skutkami sięga głębiéj, niżby zewnętrzna tylko jego strona wskazywać się zdawała. Wprawdzie bowiem i w dawniejszych czasach położenie rolników różne bywało, często bardzo niepomyślne, ale dzisiejszy stan rolnictwa cechuje się nie tylko odmiennemi i liczniejszemi objawami zewnętrznemi, lecz także odmiennemi przyczynami i, co ważniejsza, odmiennemi skutkami, doniosłemi zarówno dla samego gospodarstwa rolnego jak dla całego organizmu społecznego. W szczególności zaznaczyć należy charakterystyczne znamię dzisiejszego przesilenia: że ono nie da się umiejscowić w jednym tylko kraju lub w jedném państwie, lecz że obejmuje prawie całą Europę. Nie jakoby kwestya agrarna we wszystkich państwach występowała z tą samą siłą i z równym stopniem ostrości — wszak dane stosunki gospodarcze, jakie się dzięki historycznemu rozwojowi

ukształtowały, niemniéj dany ustrój prawny w każdém państwie nadają przesileniu właściwe piętno i koloryt—ale wszystkie państwa cierpią pod brzemieniem upadającego rolnictwa, wszystkie szukają ratunku.

I tak np. w Wielkiéj Brytanii już od 6-go lat dziesiątka znaczny spadek cen zboża, zwłaszcza pszenicy, powoduje zmniejszanie się przychodów z uprawy roli, a skutkiem tego rolnicy przechodzą do gospodarstwa pastwiskowego i chowu bydła. Wzrost latyfundyów i towarzyszące mu mnożenie się ludności bezrolnéj, oto zjawisko cechujące groźny stan rolnictwa wielkobrytańskiego. Sprawa irlandzka, t. j. straszny pauperyzm i ekonomiczny, umysłowy i moralny, upadek uciskanych dzierawców irlandzkich oraz ucieczka wynędzniałych Irlandczyków za morze coraz natarczywiéj domaga się zastanowienia. — We Francyi objawia się tendencya zbytniéj parcelacyi gruntów [1]), któréj towarzyszy wyludnianie się wsi wskutek emigracyi ludności roboczéj do miast, nadto cierpi rolnictwo pod uciskiem podatkowym [2]). — We Włoszech rolnictwo trapione jest uciążliwemi podatkami bezpośredniemi od środków spożywczych, absenteizmem i zbytniém odłużeniem rolników. Podnieść tu także należy małe wykształcenie i niezaradność ludności wiejskiéj. — W Niemczech, szczególnie we wschodnich prowincyach monarchii pruskiéj, tworzenie się latyfundyów, ubytek ludności wiejskiéj więc i robotników wiejskich bądź wskutek ucieczki do miast przemysłowych bądź wskutek emigracyi za ocean, zanikanie średniéj warstwy rolników, budzi uzasadnioną obawę o przyszłe losy rolnictwa. — W Austryi, zwłaszcza w rolniczych krajach alpejskich i w Galicyi wzrost odłużenia hipotecznego, liczne bankructwa, zbytnie rozdrobienie gruntów włościańskich, wychodztwo ludności wiejskiéj za morze, zanikanie średniéj własności ziemskiéj wskazują krytyczne położenie rolnictwa i potrzebę ratunku [3]).

Jak już z tych przykładowo przytoczonych najwidoczniejszych objawów przesilenia widzimy, kwestya agrarna składa się z kilku zagadnień wstrząsających podstawą organizmu gospodarstw społecznych całéj niemal Europy. Stanąwszy na porządku dziennym dyskusyi publicznéj, zniewala naukę jakotéż politykę ekonomiczną do zastanowienia się nad środkami, które mogłyby zaradzić grożącemu upadkowi ziemiaństwa, owéj podstawy wszelkiego zorganizowanego bytu społecznego. Zawiłość kwestyi sprawia, że w zapatrywaniach tak na

---

[1]) Alfred de Foville: Le morcellement, Paryż 1885.

[2]) Handwörterbuch der Staatswissenschaften: Agrarkrisis; p. tam dane, odnoszące się i do innych krajów.

[3]) Karol Preser: Die Erhaltung des Bauernstandes 1894.

ostateczne jéj przyczyny jak na jéj rozciągłość i doniosłość znaczne zachodzą różnice. To téż nie można się wobec tego dziwić rozmaitości proponowanych środków zaradczych i prób praktycznych.

W niniejszéj pracy nie kusimy się bynajmniéj o własną, oryginalną próbę rozwiązania nader trudnéj kwestyi agrarnéj, któréj ogromnego materyału niepodobna niemal opanować, lecz pragniemy przedstawić i ocenić zasadnicze momenta proponowanych w nauce środków zaradczych i prób załatwienia kwestyi rolnictwa, podejmowanych przez niektóre państwa europejskie. Chcąc choćby dla tego celu rozejrzyć się w kwestyi agrarnéj, nie należy wszakże zatrzymywać wzroku na powierzchni dostrzeganych zjawisk, lecz starać się uchwycić ich związek wzajemny i szukać przyczyn działających na podstawie szerszéj, niżeli jéj dostarcza formalna tylko, zewnętrzna strona. Podstawę tę uzyskamy poznawszy choćby tylko pobieżnie historyczny rozwój stosunków rolnych, o ile on się złożył na dzisiejszy kształt kwestyi agrarnéj. Mając w ten sposób ułatwione zrozumienie istoty kwestyi, zdołamy też krytycznie ocenić proponowane dla jéj rozwiązania środki.

I.

W systemie feudalnym, który znaczył się zupełną zależnością i człowieka i ziemi, możność rozwoju stosunków rolnych była ograniczona. Dopiéro w miarę wzrostu władzy monarchów i upadku feudalnego ustroju, warunki polepszenia doli klasy rolniczéj występują na jaw. Monarchowie bowiem pragnąc osłabić potęgę możnych panów, starali się wyzwolić włościaństwo z pod ich nieograniczonéj władzy i otaczali je opieką. Atoli panowie feudalni byli jeszcze dość silni, by tym usiłowaniom skuteczny stawić opór. To też oni ze swéj strony nie tylko podnosili dotychczasowe prestacye chłopów, lecz nakładali także nowe daniny. Wybuchłe skutkiem tego wojny chłopskie zgnieciono a stanowisko klasy włościańskiéj jeszcze bardziéj ścieśniono. Współczesne i późniejsze walki religijne i polityczne dostarczały niemało sposobności do gwałtów. A gdy tymczasem potęga monarchów wyszła zwycięsko z walki przeciw panom feudalnym, już położenie włościan było dla nich obojętném. W stosunkach rolniczych zapanował wskutek tego zastój, tak że poddaństwo z towarzyszącemi mu objawami, przygniatało rolnictwo jeszcze przy końcu 18-go wieku nietylko w Europie wschodniéj ale i w zachodniéj. Dopiéro przewrót umysłowy, który we Francyi znalazł swój gwałtowny wyraz w wielkiéj rewolucyi a w państwach niemieckich pokojowo się dokonywa przez

oświecony despotyzm, odbija się między innémi także na położeniu klasy włościańskiéj. Rozpoczyna się proces jéj wyzwalania z poddaństwa, proces powolny wprawdzie, bo trwający do drugiéj połowy bieżącego wieku, ale kończący się prawném oswobodzeniem włościan. Zwłaszcza w Prusiech, reformą zwana reformą Steina-Hardenberga i dokonana z początkiem 19-go wieku między 1807 a 1823 doniosły wywarła wpływ na ukształtowanie stosunków rolnych. Zmierzając do przeprowadzenia zasad liberalnych, zasad, które przedostawszy się z rozwijającéj się właśnie dzięki przemysłowi i wolnemu handlowi Anglii, w sercach Niemców po wojnach napoleońskich trafiły na grunt urodzajny, we wszystkich gałęziach pracy społecznéj i głosząc swobodę wyboru, konsekwentnie przyznała każdemu prawo nabywania, posiadania i pozbywania nieruchomości, wszelkiego rodzaju gruntów, uznała wolność dzielenia gruntów i zniosła wszelkie formy poddaństwa. Za przykładem Prus poszły inne państwa, Austrya w latach 1848 do 1867. Obecnie w całéj niemal Europie ścieśnienia gruntowe zniesiono a rolnik ma swobodę rozporządzania gruntem jako nieograniczoną własnością [1]).

Równolegle z przedstawionym dopiéro co ustrojem prawnym i socyalnym jako jego konieczne dopełnienie, przeobrażała się i strona ekonomiczna stosunków rolnych. Dopóki warunki produkcyi, transportu i odbytu na nizkim stopniu rozwoju gospodarczego są trudne, dopóki gospodarstwo ekstensywne w zaopatrywaniu ludności chlebem zawisło od wpływów natury tylko, zapasy zboża z lat urodzajnych zazwyczaj nie idą w obrót zamienny, lecz bywają gromadzone na wypadek nieurodzaju lub innych klęsk elementarnych. W miarę jednak rozwoju dróg komunikacyjnych, odosobnienie to ustaje a więzione dotąd zapasy nadwyżki produkowanego zboża stają do dyspozycyi popytu. Im bardziéj między państwami przy pomocy środków transportowych wyrobiła się łączność i wzajemna zawisłość gospodarcza, im szybciéj uznana została wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce, a więc i przygotowanie gruntu dla rozwoju przemysłu, w tém krótszym czasie rolnictwo wchodzi w całość organizmu gospodarczego i obejmuje w nim swą rolę ekonomiczną. W takiém oto stadyum zastajemy gospodarstwa narodów zachodnio-europejskich na początku bieżącego stulecia i w pierwszéj jego połowie. Gospodarstwo rolne, korzystając z postępu techniki, staje się intensywném. Wartość ziemi wskutek tego wzrasta. Ale i przychody z ziemi również coraz się podnoszą.

---

[1]) L. v. Stein: Drei Fragen des Grundbesitzes str. 54 nast.; Roscher: Nationalökonomik des Ackerbaues 331; Hdw. d. Staatsw: Bauernbefreiung.

Składa się na to jako przyczyna: rozwój przemysłu oraz przygotowujący się ogólny rozwój gospodarczy i idący za nim wzrost ludności nierolniczéj. Wzmagające się zapotrzebowanie surowców w krajach przemysłowych oddziaływa na podwyższanie cen zboża. Podnoszą się tam ceny zboża dowożonego z krajów rolniczych a i produkowanego wewnątrz. Z téj strony więc warunki tak produkcyi rolnéj i jak lepszéj doli rolników przedstawiały się korzystnie. Ale nie należy zapominać o organicznym związku rolnictwa z innemi sferami życia gospodarczego. Ponieważ w czasie rozwijającego się i kwitnącego przemysłu i handlu oraz ogólnego postępu ekonomicznego procent od kapitałów pieniężnych a i wartość pieniędzy się obniżała, zdawało się, że wartość ziemi jest stosunkowo wyższa, gdyż skapitalizowana wartość przychodów z ziemi większa w porównaniu z kapitałami pieniężnemi przedstawiała sumę. Za tém poszło, że wielu ogarnął duch spekulacyi na wzrost przychodu w przyszłości. W ten sposób zaś zwiększał się popyt o ziemię a coraz żywszy ruch w obrocie własnością ziemską cenę jéj coraz bardziéj podnosił. Z drugiéj strony znów duch spekulacyi prowadził do tego, że w tym częstym obrocie własnością ziemską, nabywcy mniéj zasobni, w nadziei znacznych przychodów i korzystnéj pozycyi gospodarczéj, tylko część ceny kupna płacili, obciążając dla reszty ziemię długiem hipotecznym. Podobnie postępowano przy działach spadkowych. Gdy kredyt rolniczy oprzéć się musiał na naturalnych właściwościach gospodarstwa rolnego, ciężary hipoteczne rozkładały się na dłuższy okres czasu, przybierając cechę stałych ciężarów własności ziemskiéj. Ten stan rzeczy neutralizował wyżéj wspomniane korzystne warunki produkcyi rolnéj i dobrobytu rolników już przy samém obejmowaniu własności gruntowéj. Lecz nie dość na tém. Rozwój przemysłu i środków transportowych opierający się i na użytkowaniu sił ludzkich sprawił, że popyt na te siły wzmagał się i że płaca robocza wzrastała. Gospodarstwo rolne tém bardziéj musiało cenić wartość sił roboczych, że sposobność łatwiejszego zarobku, jakiéj dostarczał przemysł fabryczny w miastach, zmniejszała ich podaż. To też ciągły wzrost płacy robotników wiejskich obciążać zaczął budżet gospodarstwa rolnego. Wydatki na samo gospodarstwo, na lokale, asekuracye tudzież ciężary publiczne, t. j. podatki państwowe i prestacye na cele gminne, jak na utrzymanie szkół, na opiekę nad ubogimi i t. p. niemniéj przyczyniają się do wzrostu kosztów produkcyi rolnéj. Często też rolnicy dla zasilenia gospodarstwa kapitałem obrotowym, musieli zaciągać długi, zwłaszcza w razie klęsk elementarnych; nie jeden znów lekkomyślnie uciekał się do kredytu dla potrzeb czysto osobistych, zwykle zbytkowych. Wobec tych stosunków nie można się

dziwić, że rolnictwo pod przygniatającemi je ciężarami, pod hypoteczném i osobistém odłużeniem, niemal upada. Co więcéj, odłużenie to, zwłaszcza hypoteczne, prawie we wszystkich krajach Europy okazuje tendencyę wzrostu [1]).

Do tych wszystkich momentów przybywają w ósmym lat dziesiątku jeszcze dwa inne, które niemały wywierają wpływ na stosunki własności ziemskiéj, jako też na gospodarstwo rolne. Jeden z nich, waluta złota, opiéra się na międzynarodowych stosunkach gospodarczych państw europejskich, na wzmagającéj się ich wzajemnéj zawisłości, na ścieśnianiu się, przy pomocy handlu zagranicznego, węzłów ekonomicznych, pochodzi niejako z wnętrza gospodarczego Europy; drugi, mianowicie konkurencya zamorska, zależy od stosunków europejskich o tyle, że szeroko rozgałęzione środki transportowe torują jéj drogę i ją ułatwiają, zresztą zaś przedstawia się jako *vis major* i oddziaływa na rolnictwo z zewnątrz. Pierwsze zjawisko, waluta złota, obejmuje coraz więcéj państw i wpływa, zwłaszcza w okresie przejściowym reformy walutowéj, na podrożenie pieniędzy. Skutkiem tego ceny targowe zboża okazują tendencyę zniżkową, więc przychody z ziemi zmniejszają się. Z drugiéj strony znów stałe ciężary, t. j. długi hypoteczne, a i osobiste, tudzież podatki, wzrastają. Powstaje w ten sposób uciążliwa, nieznośna dysproporcya między przychodami a wydatkami. Tę dysproporcyę zwiększa jeszcze wspomniany wyżéj drugi czynnik, zewnętrzny: konkurencya zamorska, amerykańska i indyjska. Naturalne warunki, znaczna wydajność prawie dziewiczéj jeszcze ziemi i gospodarstwo ekstensywne, zatém stosunkowo znacznie niższe, aniżeli w Europie, koszta produkcyi rolnéj, z drugiéj strony zaś udoskonalone a tanie zakłady komunikacyjne, przyczyniają się do wzrostu podaży płodów rolnych na targach europejskich, do ciągłego spadku cen i do depresyi produkcyi [2]).

W ciągu określonego właśnie procesu widzieliśmy, że funkcya rolnictwa, jako organu odżywczego w całém gospodarstwie społeczném, w miarę ogólnego rozwoju ekonomicznego nabiera coraz większéj wagi, widzieliśmy jednak także, że siły rolnictwa ciągle słabną, że ono swemu zadaniu nie może podołać. Jako rezultat procesu historycznego przedstawia nam się: z jednéj strony w ślad za rozwojem przemysłu

---

1) Por. Biliński-Głąbiński: „System ekonomii politycznéj“, II. 59 i nast.; G. Ruhland: „Leitfaden zur Einführung in das Studium der Agrarpolitik“, str. 14 i nast.; „Landwirthschaftliche Jahrbücher“ 1894: „Verhandlungen der Agrarkonferenz vom 28 Mai bis 2 Juni 1894“, str. 5.

2) Por. Biliński-Głąbiński l. c. 61. Hdw. d. Staatsw. Agrarkrisis.

i handlu wzrastająca potrzeba coraz intensywniejszego gospodarstwa rolnego, więc znaczniejszego udziału kapitału i pracy, z drugiéj zaś strony ciągły wzrost kosztów produkcyi rolnéj i nadmierne odłużenie własności ziemskiéj, w towarzystwie spadku cen płodów i zmniejszania się przychodów z ziemi. Nie możemy nie widzieć, jak pośród zaostrzających się dwóch krańców, ogromnych latyfudyów i karłowatych parcel, średnia własność ziemska kruszy się i rozdrabnia, jak wieś się wyludnia, jak siła konsumcyjna ludności wiejskiéj ciągle się zmniejsza, jak w końcu w krajach o rozwiniętym lub rozwijającym się wielkim przemyśle niemożność żywienia ludności własném zbożem trwale się wzmaga. W tych wszystkich momentach streszcza się kwestya agrarna, która nie samemu tylko rolnictwu, lecz całemu gospodarstwu narodów europejskich smutną otwiera perspektywę, która więc jest kwestyą społeczną w najwłaściwszém słowa znaczeniu. Nie dziw przeto, że zwróciła ona na siebie uwagę najwybitniejszych ekonomistów i że zniewala rządy europejskie do wciągnięcia sprawy rolnictwa w zakres nowoczesnych zadań socyalno-politycznych.

Przystąpmy teraz do przedstawienia zasadniczych zapatrywań wybitniejszych uczonych na kwestyę agrarną i proponowanych przez nich środków zaradczych.

II.

Teoretyczne zapatrywania na obecne przesilenie w rolnictwie najlepiéj będzie przedstawić i ugrupować nietyle wedle ich następstwa chronologicznego, ile raczéj ze względu na ich punkt wyjścia, ze względu na stopień większego lub mniejszego oddalenia ich od uznania chacharakteru społecznego kwestyi agrarnéj. Możemy bowiem już z góry powiedzieć, że ten wzgląd na społeczny charakter kwestyi stanowić będzie kryteryum przy ocenianiu projektów i prób reformy.

Przedewszystkiém wspomnieć wypada zapatrywanie konsekwentnych zwolenników szkoły liberalnéj na przesilenie agrarne. Wychodząc z dogmatu o międzynarodowym podziale pracy, uważają zjawiska dostrzegane w rolnictwie europejskiém w drugiéj połowie bieżącego wieku za zupełnie zgodne z ich teoretyczném przekonaniem i za znak postępującéj kultury. Fakt wzrastającego dowozu zboża z zagranicy dowodzi tylko, że rolnicy w krajach otrzymujących zboże nie mogą produkować go w dostatecznéj ilości. Jeśli zaś konkurencya zagraniczna powoduje taki spadek cen zboża, że rolnikom nawet koszta produkcyi nie zwracają się, najnaturalniejszy stąd wniosek, iż powinni zaniechać produkcyi zboża, a przejść do innych rodzajów uprawy rolnéj. Za nad-

mierne odłużenie własności ziemskiéj nikogo innego winić nie można, tylko samych właścicieli. Wprawdzie nie mogą zwolennicy szkoły liberalnéj zaprzeczyć, że z temi objawami łączą się czasem bardzo przykre następstwa dla rolników, ale wystarczy, ich zdaniem, szukać ratunku w ograniczeniu potrzeb osobistych, w tworzeniu asocyacyi dla łatwiejszego zakupna narzędzi i zbytu produktów, w zakładaniu instytucyi kredytowych celem rozszerzenia i wzmocnienia kredytu, jednóm słowem tylko w pomocy własnéj. Tak opłakany — mówią — stan rolnictwa jeszcze nie jest, żeby już państwo jąć się musiało akcyi ratunkowéj [1]).

Gdy z końcem ósmego dziesiątka lat stosunki rolnicze w Niemczech tak się zaostrzyły, że pomyśléć musiano o jakichś natychmiastowych środkach zaradczych, wtedy część dotychczasowych zwolenników liberalizmu ekonomicznego odstąpiła od zasady „pomocy własnéj.” Ponieważ konkurencya zagraniczna zachwiała bytem rolników, chwycono się polityki, któraby upadek stanu rolniczego wstrzymać mogła. Ta prohibicyjna polityka, pragnąca symptomatycznéj terapii, dąży przedewszystkiém do podniesienia cen płodów rolnych. Mają ku temu służyć głównie dwa środki: cło zbożowe i polityka monetarna w kierunku bimetalistycznym; obok tego odpowiednia polityka kolejowo-taryfowa. Celem ulżenia zadłużonym rolnikom, proponują ulgi podatkowe, tudzież dostarczanie taniego kredytu rzeczowego i osobistego. Od wyzysku dłużników ze strony wierzycieli chronić mają ustawy przeciwko lichwie i przeciwko zbytniéj parcelacyi gruntów. Nadto pożądana jest, zdaniem téj kategoryi polityków, reforma spadkowa, jako też wprowadzenie ubezpieczenia bydła i ubezpieczenia od gradu i ognia. Te ostatnie środki mają służyć i do utrzymania stanu rolniczego na przyszłość, do wzmocnienia jego pozycyi [2]).

Przeciwko tym zapatrywaniom zwolenników ceł opiekuńczych występują pisarze, którzy nie zamykają oczu na przesilenie rolnicze, jak zwolennicy liberalizmu, którzy jednak nie przestają na proponowaniu środków na każdy objaw przesilenia z osobna, lecz szukają głębszéj przyczyny ogólnego niedomagania rolnictwa i spodziewają się ratunku w usunięciu téj przyczyny. Należą tu przedewszystkiém ci pisarze, którzy, jak np. Vogelsang, Gamp, a zwłaszcza Schäffle, w zbytniém odłużeniu własności ziemskiéj upatrują najgroźniejszy objaw przesilenia, a w wadliwéj organizacyi kredytu jego przyczynę, i którzy za punkt ciężkości wszelkiéj reformy agrarnéj uważają organizacyę kredytu, oparcie go na odpowiedniejszéj podstawie. W szczególności

---

1) Por. Ruhland l. c. 12.
2) Tamże, 25.

Gamp [1]) domaga się zmiany postępowania egzekucyjnego w tym kierunku, żeby egzekucya była dozwolona tylko przeciw nadwyżce nad *minimum* egzystencyi jednéj rodziny. Posiadłość ziemska, któréj dochody nie przekraczają téj miary, potrzebnéj do utrzymania rodziny, ma być zupełnie wyjęta z pod egzekucyi. Wedle Vogelsang'a [2]) (który zresztą zajmuje się tylko sprawą rolnictwa w Austryi), państwo winno przejąć wszystkie bezpieczne hypoteki. Samą operacyę miałyby wykonać organa samorządne przy pomocy listów dłużnych, wydać się mających za gwarancyą państwową. Pożyczek melioracyjnych i w razie klęsk elementarnych miałyby udzielać kasy kultury krajowéj. Aż do ukończenia rewizyi stanu długów należałoby ogłosić moratoryum, t. j. wstrzymanie sprzedaży egzekucyjnych pod pewnemi warunkami. Potém zaś i po ustanowieniu maksymalnéj stopy procentowéj, specyalne kasy krajowe wykupna długów, któreby zwracały ściągane od dłużników długi wierzycielom, pod warunkami dogodnemi tak dla jednych, jak dla drugich. Schäffle [3]) proponuje połączenie korporacyjne wszystkich średnich i małych właścicieli ziemskich, w celu zorganizowania i ubezpieczenia kredytu hypotecznego. Właściciele ziemscy — średni i mali — tworzą terytoryalne związki przymusowe w obrębie okręgów administracyjnych niższego rzędu, związki te łączą się w wyższego rzędu okręgach, a wszystkie te koła współśrodkowe obejmuje ostatecznie jeden związek państwowy. Przymusowe te związki miałyby wyłączne prawo, ale i obowiązek użyczania kredytu na potrzeby przez ustawodawstwo uznane i pod warunkami ustawowemi za pośrednictwem sprzedaży związkowych listów zastawnych. Wydział związku powiatowego miałby prawo kontroli nad użyciem sumy kredytowanéj na uznane w ustawie potrzeby. Kredyt spożywczy bezwarunkowo nie ma być zahypotekowany. Zobowiązania dla reszty ceny kupna i przy działach spadkowych byłyby dozwolone tylko w mierze ograniczonéj. Kredyt obrotowy byłby zorganizowany w odrębnych, samoistnych stowarzyszeniach, które mogłyby być „wpisane” i jako takie, miałyby w razie niewypłacalności dłużnika prawo żądania od korporacyi zrealizowania zapisanych pretensyi; za to zaś korporacya w tym wypadku nabywa odpowiedni tytuł hypoteczny. Nadto porusza Schäffle w swym projekcie myśl dopuszczenia zobowiązania — na przewidziane w ustawie potrzeby — tylko do pewnéj granicy maksymalnéj, mianowicie związki mają prawo udzielić kredytu najwyżéj do 50% (albo 40%) ceny szacunkowéj

---

1) „Der landw. Kredit und seine Befriedigung.“ Berlin 1883.

2) „Die Nothwendigkeit einer neuen Grundentlastung.“ Wien 1879.

3) „Die Incorporation des Hypothekarcredits.“ Tübingen 1883, str. 6 i nast.

gruntu. Myśl ta o granicy odłużenia („*Verschuldunggrenze*"), w późniejszych pismach autora [1]) rozwinięta, opiéra się na zasadzie, że nabywcy po spłacie procentów zostawić należy z przeciętnego czystego dochodu *minimum* utrzymania dla rodziny, tudzież taką kwotę amortyzacyjną, którą jedno pokolenie spłacićby mogło. Schäffle spodziewa się, że taka organizacya kredytu, jaką on proponuje, zdoła zapobiedz zbytniemu obciążeniu własności ziemskiéj, średniéj i małéj, w Niemczech i w Austryi, długami, zwłaszcza przy zmianie posiadania. Nie zapomina wprawdzie Schäffle, że do uzdrowienia rolnictwa potrzeba całego szeregu zorganizowanych środków, stąd inkorporacyę kredytu hypotecznego uważa tylko za jedno ogniwo podjąć się mającéj reformy agrarnéj, ale uważa ją za ogniwo centralne, za punkt ciężkości całéj reformy, bo tylko na podstawie odpowiednio zorganizowanego kredytu nabrać może własność ziemska większéj odporności i wytrzymałości na klęski naturalne i na konkurencyę zagraniczną.

Od poglądu, który, jak przedstawiony dopiero co, całą uwagę ześrodkowywa około jednego punktu, około zbytniego odłużenia własności ziemskiéj, do powiązania istoty kwestyi agrarnéj z gruntem, na którym wyrosła, i ze środowiskiem jéj właściwém, potrzeba tylko jednego kroku. Kto krok ten zrobi, ułatwi zapuszczenie badawczéj sondy do saméj głębi przesilenia, ułatwi dyagnozę niedomagania społeczeństw w gospodarstwie rolném i wskaże drogę, po któréj krocząc, ratunku szukać należy i znaleźć go można. Krok ten uczynił Rodbertus. Jego zapatrywanie na przesilenie rolne stanowi punkt zwrotny w pojmowaniu kwestyi agrarnéj w całości. Opierając się wprawdzie również na wadliwych stosunkach kredytowych, na nadmierném odłużeniu własności ziemskiéj, analizuje istotę i głębszą przyczynę samego odłużenia. W ten sposób zapatrywanie Rodbertusa zyskuje znaczenie zasadnicze. Z tego względu i ponieważ ono do pewnego stopnia może być kluczem do zrozumienia poglądów późniejszych i niektórych rozpoczętych lub projektowanych agrarno-politycznych kroków ustawodawczych, dyagnoza Rodbertusa zasługuje na obszerniejsze przedstawienie.

Rodbertus-Jagetzow [2]) wychodzi z następującego założenia: Własność ziemska sama w sobie jeszcze nie jest wytworem, dopiéro praca ludzka, produkcya pośrednio nadaje jéj wartość. Renta gruntowa składa się również tylko z wyników pracy, tak samo jak zysk kapitalisty

---

[1]) Agrarpolitik w czasop. „Die Zukunft" 1894, str. 491; por. także v. Freyberg: „Die landw. Verschuldungsfrage in Theorie und Praxis." München 1894, str. 93 i nast.

[2]) „Zur Erklärung und Abhilfe der heutigen Creditnoth des Grundbesitzes." Jena 1868/9, I, str. 5 i nast.

i płaca robotnika. Różnica między temi rodzajami dochodów polega tylko na prawnéj podstawie rozdziału [1]). Zasada renty gruntowéj leży nie w gospodarczéj genezie dóbr, lecz w dziejach pewnego ich rozdziału. Na powstanie produktu (ziemi) składa się udział robotnika i udział właściciela i przedsiębiorcy. Pierwszy w rezultacie otrzymuje płacę, drugi otrzymuje rentę; ale właściciel może zatrzymać tylko własność, jeśli przedsiębiorstwem zajmuje się kto inny. W takim razie ta pierwotna renta rozkłada się na dwie części, jedna przypada posiadaczowi produktów ruchomych, t. j. stałego i obrotowego kapitału, jako zysk, czyli jako „parcela ruchomego kapitału narodowego”, druga zaś, jako parcela ziemi, przypada jéj właścicielowi, ona to nazywa się rentą gruntową. Właściciel otrzymuje ją, po potrąceniu zysku z użytego do produkcyi rolnéj kapitału, jako część dochodu społecznego, która należy się samemu gruntowi. Dopóki wzajemna wartość produktów rolnych i przemysłowych jest normalna, zawsze coś zostać musi, a nawet w miarę wzrostu wytwórczości pracy społecznéj, renta gruntowa również wzrastać winna [2]). Wynika z tego wszystkiego, że inna jest natura samego gruntu, jako przedmiotu posiadania, inna przedsiębiorstwa rolnego. Stąd téż zbytnie odłużenie, ciążące na własności ziemskiéj, jako takiéj, nazywa się odłużeniem hypoteczném, odłużenie zaś na przedsiębiorstwie ciążące odłużeniem osobistém, pierwsze dotyka właściciela, drugie gospodarza. Ponieważ tylko przedsiębiorstwo rolne opiéra się na kapitale, tylko jego dochód może być kapitalizowany dla ocenienia jego wartości. Inaczéj ziemia, jako przedmiot własności. Ona, nie mając wartości sama w sobie, będąc tylko źródłem renty, nie może być uważana za kapitał. Tymczasem w praktyce wszelkie tranzakcye, tyczące się własności ziemskiéj, zawierane bywają dziś w takiéj formie, jak gdyby ziemia była kapitałem. Wskazana tu odróżniająca cecha własności ziemskiéj ma doniosłe praktyczne znaczenie, zwłaszcza, jak to Rodbertus szczegółowo dowodzi, w czasie zmieniającéj się stopy procentowéj [3]). Czynnikami czystego przychodu z ziemi, zdaniem Rodbertusa, są z jednéj strony ilość produktów, z drugiéj wartość tych produktów; na pierwszą wpływa sam gospodarz, druga zaś podnosi się w miarę wzrostu ludności i rozwoju przemysłu. Wynika stąd, że czysty przychód ziemi w postępujących społeczeństwach wzrastać powinien na korzyść rolnictwa. Tymczasem przy dzisiejszéj organizacyi kredytu, wzrost ten przychodu nie przynosi korzyści właścicie-

---

[1]) Tamże II, str. 105.

[2]) Tamże II, 115.

[3]) Tamże I, 10.

lom ziemskim, lecz tym, którzy ziemię opuścili, a stali się kapitalistami [1]). Przyczyna tego zjawiska leży w tém, że dziś za podstawę kredytu bierze się nie rentę, lecz wartość gruntu, obliczoną ze skapitalizowanego przychodu. Tak więc zdarza się, że mimo niezmienionego przychodu, wartość ziemi obniża się w razie wzrostu stopy procentowéj. I oto stąd pochodzi upadek własności ziemskiéj. Właściciel przy zniżonéj wartości ziemi musi płacić wyższy procent, nadto zaś i część kapitału, i to czasem w chwili najkrytyczniejszéj. Wobec tego, że Rodbertus przypuszczał dalszy wzrost stopy procentowéj w przyszłości, smutna bardzo otwierała się już wtedy perspektywa dla rolnictwa. Aby je od upadku uchronić, należy, zdaniem Rodbertusa, uważać i traktować ziemię nie za kapitał, tylko jako źródło renty, wszelkie tranzakcye tyczące się własności ziemskiéj zawierać nie na kapitał, lecz na rentę. Dług hypoteczny powinien mieć charakter stałéj, niewypowiedzialnéj, umorzyć się mającéj renty, a prawo zastawu miałoby być wpisane dla renty, nie zaś dla kapitału. W tym celu należy przeprowadzić reorganizacyę tak kredytu hypotecznego, t. j. kredytu właściwego ziemi, jako przedmiotowi posiadania, jak téż kredytu osobistego dla gospodarzy. Reorganizacyę kredytu hypotecznego należałoby oprzéć na wydawać się mających listach rentowych, któreby opiewały na okaziciela, przynosiły pewien procent i obiegały jak papiery rządowe. Spłata miałaby nastąpić w drodze skupu listów rentowych małemi ratami. Kredyt osobisty opierałby się na organizacyi wzajemnych banków depozytowych i emisyjnych. Jedne i drugie zakłady, tak banki rentowe dla nieruchomości, jak depozytowe dla kredytu osobistego, mogłyby być połączone w jednym ogólnym zakładzie krajowym o dwóch oddziałach, a wszystkie zakłady krajowe podlegałyby centralnemu, państwowemu [2]).

Pogląd Rodbertusa na kwestyę agrarną, szukający przyczyny upadku własności ziemskiéj w prawnéj podstawie kredytu rolnego i w zapatrywaniach na gospodarcze znaczenie ziemi, toruje drogę opinii, która istotę kwestyi przyczynowo wiąże z ustrojem prawnym i gospodarczym. Wprawdzie i przedstawiona wyżéj przed Rodbertusem grupa pisarzy zna jego dyagnozę, Schäffle podziela ją nawet, ale nie wyciąga z niéj konsekwencyi właściwéj, ani prowadzi badań w tym samym kierunku, jak to czyni większość dzisiejszych ekonomistów niemieckich. Badania tych uczonych nad istotą przesilenia w rolnictwie, jego przyczynami i możliwemi środkami zaradczemi, choć idąc za śla-

---

[1]) Tamże I, 43—54.

[2]) Por. J. Kirszrot-Prawnicki: „System rentowy i włości rentowe“: Czerkawski: „Teorya czystego dochodu z ziemi.“

dem Rodbertusa, skrystalizowały się ostatecznie w poglądzie znacznie szerszym i o tyle odmiennym. Opinia ta [1]) wywodzi powstanie kwestyi agrarnéj z ustroju prawnego i gospodarczego, jak on się kształtował w nowoczesném państwie w bieżącém stuleciu. Wprawdzie niektórzy pisarze szukają zarodków przeobrażenia prawnego i gospodarczego w stosunkach rolnych jeszcze dawniéj, w rozluźnieniu średniowiecznéj, społeczno-prawnéj zależności własności ziemskiéj i w zastąpieniu jéj wolną własnością prywatną. Jednakowoż większość wskazuje, że najnowsze czasy, głównie wiek XIX, z rozwojem stosunków prawno-prywatnych i gospodarczych, wycisnął na kwestyi agrarnéj cechujące ją piętno. Mianowicie indywidualistyczny i kapitalistyczny ustrój dzisiejszy sprowadził poddanie własności ziemskiéj pod ustawodawstwo normujące rozporządzanie rzeczami ruchomemi, wcisnął własność ziemską, jakby towar, w wolny obrót targowy, zniósł ograniczenia pozbywania i dzielenia gruntów, zastosował powszechne prawo spadkowe do gruntów wiejskich i umożliwił obciążanie własności ziemskiéj w formach stosownych dla kapitału ruchomego. Stąd pochodzi osłabienie, a nawet zupełny brak siły odpornéj, który cechuje dzisiejszą własność ziemską. Sam spadek cen zboża, ów najwidoczniejszy może objaw krytycznego stanu rolnictwa, wywołany przewrotem międzynarodowych stosunków gospodarczych, otwarciem nowych i obcych źródeł produkcyi i rozwojem nowoczesnych środków komunikacyjnych, nie wyjaśnia jeszcze istoty przesilenia, a i dotkliwe zjawiska nadmiernego odłużenia, są dopiéro wynikiem owych nowoczesnych urządzeń prawnych. Proces tego rozwoju inaczéj oddziaływa na techniczną stronę produkcyi rolnéj, a inaczéj pod względem społecznym. Technika gospodarstwa rolnego ogromnie postąpiła naprzód, podnosząc kulturę nietylko wielkich posiadłości, lecz i gruntów włościańskich, z powodu znacznego rozwoju handlu, komunikacyi i przemysłu zasiliła się ziemia wytwórczo działającemi kapitałami, niemniéj licznemi, dzielnemi siłami osobistemi. Nadto zasada wolności, zastosowana i do rolników, oznaczała postęp cywilizacyjny, podnosząc moralną wartość jednostki. Zgubnie jednak oddziałał nowy ustrój pod względem społecznym. Wolna konkurencya ułatwia wielki ruch targowy własności ziemskiéj i sprzyja przesuwaniu się téj własności z rąk rolników do rąk spekulantów-kapitalistów, jako

---

[1]) „Landwirthschaftliche Jahrbücher", 1894, j. w. str. 6 i nast., 20 i nast. (zwłaszcza referat Sering'a); „Verhandlungen der am 20 u. 21 März 1893 abgehaltenen Generalversammlung des Vereins f. Soz.-politik über d. ländl. Arbeiterfrage und über die Bodenbesitzvertheilung und die Sicherung des Kleingrundbesitzes". str. 163 i nast. (referat O. Gierke'go); L. v. Stein, j. w., str. 98.

też wielu innym łączącym się z tą zmianą charakteru własności ziemskiéj przykrym objawom.

Na tę dyagnozę zgadzają się najwybitniejsi uczeni obecni. Przy proponowaniu zaś środków zaradczych nie wszyscy jednego trzymają się punktu widzenia, nie wszyscy w jednakowy sposób zapatrują się na doniosłość reformy agrarnéj i na naturę środków reformatorskich. Jedni wychodzą z założenia, że ponieważ indywidualistyczny ustrój prawny jest właściwą przyczyną smutnego położenia rolnictwa, należy ustrój ten usunąć a powrócić do pierwotnego, rodzimego, należy przemienić własność ziemską na grunta niepodzielnéj sukcesyi na wzór fideikomisów („*Erbgüter*"). Inni nie zrywają z panującemi dziś zasadami wolności indywidualnéj, uważając je za trwałą zdobycz cywilizacyjną, lecz pragną istniejące prawo prywatne niejako uspołecznić, wprowadzić do niego postanowienia, odpowiadające dzisiejszym wymogom sprawiedliwości społecznéj i umożliwić dalszy jego rozwój na téj podstawie. Z pośród pierwszéj kategoryi pisarzy zaznaczyć należy ten odłam, który pragnie oprzéć przyszły rozwój stosunków rolnych na zupełnie nowym systemie ekonomicznym, na t. zw. a g r a r y z m i e. Agraryzm, którego apostołem jest Ruhland [1]), dąży do zniesienia wolnego obrotu ziemią, do uregulowania wolności obciążania własności ziemskiéj długami na zasadzie „prawdziwéj wartości" własności ziemskiéj, na zasadzie, zrywającéj zupełnie z dotychczasową swobodą tworzenia się cen na targu. „Prawdziwa wartość" Ruhlanda, który uważa ziemię wraz z Rodbertusem za źródło renty, na niższym szczeblu rozwoju odpowiada przychodowi z ziemi, na wyższym zaś szczeblu rozwoju, przy intensywném gospodarstwie rolném, które na melioracye różnego rodzaju używa znacznych kapitałów i kwalifikowanéj pracy, pierwotne źródło renty otrzymuje przyrost, mający odrębną wartość jako kapitał bez względu na swój przychód. Aby ta prawdziwa wartość własności ziemskiéj w obrocie zrealizować się mogła, należy postanowić, że ziemię z wolnéj ręki pozbywać wolno tylko władzy agrarnéj rządowéj i że tylko od niéj nabywać wolno. Odpowiednio do téj organizacyi obrotu ziemią należałoby i odłużenie w ten sposób urządzić, żeby hipotekę indywidualną zniesiono, natomiast zawodowemu związkowi wszystkich właścicieli ziemskich przyznano wyłączny przywiléj udzielania kredytu rzeczowego w myśl propozycyi Schäfflowskiéj inkorporacyi kredytu hipotecznego. Jakkolwiek agraryzm, jako proponowany nowy system ekonomii społecznéj, obejmuje cały szereg innych jeszcze zasad,

---

[1]) Leitfaden j. w. str. 41 i 46. tudzież 58 nast.; prócz tego: „Zur Agrarfrage" w Jhrb. für N.-O und Stat." III. 7, 1894 str. 864—900.

mających wykazać harmonijny związek przedstawionego w krótkości ustroju własności ziemskiéj z ustrojem całego gospodarstwa społecznego, poprzestajemy na wskazaniu żądań „agrarystycznych” dla podźwignięcia upadającego rolnictwa i przechodzimy do reszty obrońców antykapitalistycznego ustroju własności ziemskiéj. Otóż ci ostatni [1]) każdy z proponowanych środków zaradczych oceniają z tego stanowiska, czy on w rzeczy saméj zwraca się przeciw wpływowi kapitalistycznych urządzeń dzisiejszych, i czy zdoła wpływ ten udaremnić, oni téż każdy z tych antykapitalistycznych środków uważają za cegłę dla powoli wznosić się mającéj nowéj budowy gospodarstwa rolnego. Mimo to nie różnią się często w szczegółach od drugiéj kategoryi teoretyków, która nie zrywając z wytworzonym historycznie stanem rzeczy, pragnie tylko wprowadzić doń ożywczą ideę społeczną, unoszącą się z pośród sprzeczności i zawikłań, jakie miotają dzisiejszém społeczeństwem [2]).

Przedewszystkiém należałoby, zdaniem niektórych z tych pisarzy, przeprowadzić reformę prawa spadkowego, mianowicie pożądaném jest zaprowadzenie niepodzielnéj sukcesyi jednostkowéj w formie beztestamentowego ustawniczego prawa spadkowego (*gesetzliches Intestatanerbenrecht*). Aby zapobiedz równym podziałom ziemi przy spadku, należałoby ograniczyć tę podzielność gruntu na wypadek beztestamentowego dziedziczenia w ten sposób, że tylko jeden dziedzic objąć ma całą pozostawioną w spuściźnie własność ziemską, rodzeństwo zaś ma być spłacone w pieniądzu. Pożądaném téż jest ustanowienie renty amortyzacyjnéj, którąby spadkobierca w ciągu przeciętnego okresu gospodarczego mógł spłacić swoje długi. Powtóre należołoby ograniczyć możność zadłużania ziemi. Pod tym względem między radykalnymi szermierzami antykapitalistycznego ustroju własności ziemskiéj a umiarkowanymi pisarzami szkoły etycznéj, zachodzi bardzo znaczna różnica. Pierwsi konsekwentnie domagają się fideikomisowego urządzenia własności ziemskiéj, zupełnéj jéj niepodzielności, gdy tymczasem drudzy żądają tylko odpowiedniego ograniczenia możności rozporządzania własnością. Mianowicie pożądaném jest wedle Seringa ustanowienie dla kredytu przy działach spadkowych i przy zmianie posiadania pewnéj maksymalnéj granicy. Jestto, jak wiadomo, myśl poruszana przez Schäffle'go już dawniéj. Gdy jednak Schäffle przy ustanawianiu granicy trzymać się każe zasady, iż nabywca ma mieć zapewnione dla siebie i rodziny *minimum* utrzymania i kwotę amortyzacyjną, spłacalną przez jedno pokolenie, Sering proponuje jako miarę możności odłuże-

---

[1]) O. Gierke: j. w.

[2]) Por. Th. v. d. Goltz: Die agrarischen Aufgaben der Gegenwart; Sering: j. w.

nia wysokość czynszu dzierżawnego, tak że dłużnik w najgorszym razie zeszedłby na stanowisko dzierżawcy, nie tracąc przytém nadziei nabycia po pewnym czasie pełnéj własności na gruncie. Te dwa główne lekarstwa nie są jednak, zdaniem Seringa, wystarczające do zupełnego uzdrowienia rolnictwa. Potrzeba jeszcze uzupełnień prawnych pod względem społecznym i gospodarczym. Pod względem społecznym mogą być wzorem takich uzupełnień zaprowadzone w Prusiech posiadłości rentowe, opierające się na zasadzie rentowéj Rodbertusa. Względy gospodarcze przemawiają za tém, żeby z pod granicy odłużenia był wyjęty kredyt melioracyjny, niemniéj kredyt dla powiększenia kapitału obrotowego, pożyczki w razie klęsk elementarnych, w końcu także kredyt osobisty, który powinien być osobno zorganizowany w kasach pożyczkowych systemu Raiffeisena. Podobne reformy stanowiłyby, jak się wraża Stein, nowe prawo administracyjne, mające stworzyć warunki do odpowiedniego ukształtowania stosunków ziemskich, t. j. tak stosunku właściciela ziemi do gospodarstwa rolnego, jak stosunku własności ziemskiéj do kapitału pieniężnego, kredytu. Zamorską konkurencyę, wpływającą na spadek cen i depresyę produkcyi, należałoby zwalczać przy pomocy odpowiednich urządzeń celnych i ustroju podatkowego [1].

W zapatrywaniach na doniosłość wspomnianych wyżéj dwu głównych stron reformy stosunków rolnych, t. j. reformy prawa spadkowego i ograniczenia wolności rozporządzania własnością ziemską, szczególnie jéj odłużenia, spotykamy różnice o tyle, że jedni uważają za istotny i skuteczny środek ratunkowy reformę prawa spadkowego wraz z pewnemi, wzmiankowanemi uzupełnieniami, ustanowienie granicy odłużenia odrzucając jako niewykonalne, inni zaś przeciwnie reformie spadkowéj bądź nie przypisują wielkiego znaczenia, bądź nawet nie uważają jéj za pożądaną, przynajmniéj nie wszędzie, natomiast jako skuteczniejsze polecają ustanowienie maksymalnéj granicy odłużenia.

---

[1]) A. v. Miaskowski: Agrarpolitische Zeit. u. Streitfragen 1893; por. także w Landwirthsch. Jhrb. 1894 mowy Conrada, Schmollera, Wagnera, Knappa, Paaschego i in.

(*D. n.*) *A. Korkis.*



Jeszcze „Beatryx Cenci”

Juliusza Słowackiego.

Powracamy do kwestyi poruszonéj przed kilku laty w „Ateneum” (1892, t. I), tym razem dla okazania, jak bez użycia hypotez, najprostszym i nasuwającym się sam przez się sposobem, można w przybliżeniu uprzytomnić historyę powstania tragedyi. Autor artykułu (przedrukowanego z małemi zmianami w zbiorze studyów historyczno-literackich), z zupełną słusznością odrzuciwszy rzekomy wpływ Shelleya i bardzo trafnie wykazawszy analogie Szekspira („Romeo i Julia”), oraz Eschyla „Eumenidy”), pragnie dojść, skąd przecież Słowackiemu w r. 1832 przyszedł pomysł „Beatryczy”, przeznaczonéj dla któregoś z teatrów francuskich (prawdopodobnie „Porte St. Martin”) i skąd się bierze nieistniejąca w pierwotnéj legendzie postać Gwidona Reni’ego pod nazwiskiem Giano Giani? Przypomina list Słowackiego z jesieni 1832, w którym poeta donosi matce: „W tym miesiącu byłem sześć razy na tragedyach francuskich.” Szczegół istotnie pierwszorzędnéj wagi, gdyż mogący wskazać zarówno gusta poety, jak możliwe przejęcie się bieżącym prądem romantycznym, i sądzi, że sztukami temi były: „Ernani”, „Ruy Blas”, „Marion de Lorme”, „Lukrecya Borgia” i inne. Giano Giani zaś miał się urodzić z widoku rzekomego portretu Beatryczy w pałacu Barberini’ch. Żal mi, że ani jedna z wymienionych

sztuk nie była grana za pobytu Słowackiego w Paryżu. Dnia 24 listopada 1832 r. grano w „Teatrze Francuskim” „Le roi d'amuse” bez powodzenia; dnia 4 lutego 1833 w „Port St. Martin” „Lukrecyę”, jeszcze późniéj „Maryę Tudor.” Od lipca do grudnia 1832 r. w dwóch najważniejszych dla tragedyi teatrach: „Port St. Martin” i „Th. français”, z których pierwszy należąc do Aleksandra Dumasa, *par excellence* romantyczny, był prócz tego siedzibą krwawego melodramatu, a drugi, ulegając wpływowi możnego kierunku, dawał jednak pierwszeństwo tradycyi klasycznéj, grano rzeczy następujące: w pierwszym: „Richard Darlinghton”, „La tour de Nesle”, „30 ans de la vie d'un joueur”, „10 ans de la vie d'une femme” (biada klasycznéj jedności czasu!...), „Victorine”, „Barbier du roi d'Aragon”, „Therèse”, „L'auberge des Adrets” (temat „Dwóch złodziei”), „Le mariage corse”, „Le fils de l'Emigré”, „Maraudeur”, „Tom Rick”, „Perinet Leclerc” (wymieniamy cieszące się największém powodzeniem). W drugim: „Vêpres de Sicile”, „Edipe”, „Hamlet”, „Louis XI”, „Othello”, „Marie Stuart”, „Roméo et Juliette”, „Le roi d'amuse”, „Une fête de Néron” i t. d. Raz jeden Słowacki wspomina „Gymnase”; prócz tego mógł bywać na dramatach lub melodramatach w „Ambigu comique”, w „Théatre de Montparnasse”, w „Odéonie”. Wiemy, że przekładał operę, i słusznie; skąd, wyłączywszy „dom Moliera”, mogło poecie-artyście spłynąć natchnienie do czystéj sztuki? Taki romantyzm, jaki się czerwienił w herodowych jasełkach pod bramą Sto-Marcińską, mógł tylko czemprędzéj nawrócić go do Szekspira i uczynić obojętnym nawet dla twórcy Hernaniego; oto, czemu w Słowackim wpływ teatru francuskiego zdaje się być żaden. Ten romantyzm retoryczny, doktrynerski, tendencyjny, ze sztucznem rusztowaniem akcyi i fałszywą psychologią, nie mógł pociągać natury, czerpiącéj swe poetyckie wizye wyłącznie z uczucia; im bliżéj zaś przypatrujemy się temu uczuciu w jego wyrazie artystycznym, równocześnie szukając dlań miary wobec najwyżéj uznanych mistrzów francuskich, tém większy czujemy podziw dla bogactwa wyobraźni i czułości zmysłu poetyckiego, jakich żaden spółczesny Francuz nie posiadał.

Zatém przed wyjazdem z Paryża (26 grudnia 1832 r.) pomysł „Beatryczy” nie mógł pójść bezpośrednio ze sceny; zajrzawszy jednak w repertuar 1833 r., znajdujemy szczegóły, wprowadzające nas na trop pewniejszy. Dnia 13 lutego w „Théâtre français” grano sztukę (*pièce*) w 5 aktach p. t. „Guido Reni ou les artistes” Bérauda i Bouilly'ego (na wydaniu, wskutek zajścia, współpracownikiem podpisany jest sam Béraud); zaś 23 maja w „Port St. Martin” tragedyę p. t. „Béatrix Cenci” de Custine'a. Obie odrazu sromotnie upadły, nie doczekawszy nawet drugiego przedstawienia. Dodać należy, że równocześnie na afiszu

Teatru francuskiego powtarza się wytrwale „Lukrecya Borgia.” Jak wiadomo, tragedya z tematem kazirodztwa, widzianym już u Alfierego („Mirrha”), Goethego, Byrona, Shelleya, fakt bardzo znamienny dla upodobań i nastroju chwili. Skąd jednak dwaj pisarze naraz próbują przenieść na scenę bolesne losy Beatryczy? Oto, że legenda rzymska była właśnie na porządku dziennym. Kardynał Angelo Mai, margrabia de Fortia, jakiś Anglik, którego de Custine wspomina w przedmowie do swéj tragedyi, ogłaszali krwawe dzieje, dobywszy je z kronik i archiwów watykańskich; w r. 1828 wyszła książka p. t. „Relation de la mort de Giacomo et Béatrix Cenci et de Lucrèce Petroni” par A. de Malartie, która jest tłómaczeniem relacyi margr. de Fortia. Gorączkowe poszukiwanie tematów niezwykłych i strasznych nie mogło trafić na ponętniejszy materyał dramatyczny. Znana jest legenda, powtórzona późniéj jeszcze raz u Stendhal'a w „Chronique italienne” 1835 r., p. t. „Histoire véritable de la mort de Jacques et de B. C. et de L. P.”; przypominamy ją dla okazania, że Słowackiemu była dokładnie znana. Franciszek Cenci opierającą się córkę zabiéra wraz z macochą do zamku Petrella, będącego własnością Kolonny. Tam znęca się nad nią z okrutném wyrafinowaniem, przypominającém zboczenia sadyzmu. Z namowy macochy Beatrycza zanosi skargę przed papieża Klemensa VIII, ale bezskutecznie; wtedy z bratem Jakóbem, z niejakim monsignorem Guerrą, który był platonicznym (czy nieplatonicznym kochankiem Beatryczy), układają morderstwo. Zapłaciwszy dwóch bandytów nazwiskiem Marzio i Olimpio, wyznaczają, późniéj odkładają termin, zauważywszy, że wypadł na dzień Narodzenia Matki Boskiéj. Obie kobiety zadają Cenciemu napój usypiający; mordercy wchodzą do sypialni, ale na widok śpiącego starca cofają się przerażeni. „Beatrycza nazwała ich tchórzami, przyciągnęła do łoża ojca; tam w jéj obecności ugodzili go sztyletem w prawe oko; umarł, nie wydawszy krzyku.” (Według innéj wersyi, Cenci miał być zabity uderzeniem maczugi). Poczém, rzuciwszy trupa do fosy zamkowéj, mieszkają daléj w zamku. Guerra, dla zatarcia zbrodni, stara się pozbyć obu bandytów; jeden ginie, drugi ucieka do Francyi, a schwytany przy innéj okazyi, wyznaje zbrodnię i współudział Cencich. Guerra ratuje się ucieczką; matka, córka i dwaj synowie (Tomasz i małoletni Bernard) zostają uwięzieni i brani na tortury, któremi jednak nie można z nich wydobyć zeznania. Beatrycza, harda i milcząca, budzi powszechny podziw; wytrzymuje torturę, „dopiero gdy kat uciął jéj włosy, upadła na duchu i zeznała.” Mimo znakomitéj obrony sławnych adwokatów rzymskich, zapada na Cencich wyrok kary śmierci. Według pewnéj wersyi, papież, zmiękczony powszechnemi prośbami, chciał ułaskawić ojcobójczynię, ale

kilka zbrodni popełnionych naraz w Państwie kościelném, między niemi matkobójstwo, odstraszyło go od zlitowania. Matka i córka miały być stracone razem, Jakób osobno; Bernard został ułaskawiony. O 5-éj godzinie oznajmiono Lukrecyi i Beatryczy bliski koniec; o 8-ej odbyły spowiedź i przyjęły komunię; Lukrecya jako wdowa szła na stracenie w płaszczu czarnym i szarym welonie, Beatrycze miała na sobie płaszcz i welon popielate ze srebrnemi galonami na ramionach; z pod sukni wyzierały białe trzewiki. Pierwsza płakała, druga spokojna nie pozwoliła się wiązać: stanąwszy na rusztowaniu wymówiła głośno słowa: „Jest wolą bożą, aby to ciało było oddane zniszczeniu, a dusza wstąpiła do nieśmiertelności," — poczém szybko położyła głowę na pniu, aby niewidziano jéj nagich piersi i ramion. Cały Rzym wyległ na to widowisko, dzień był niezwykle skwarny, wielu zemdlało, kilkoro ludzi umarło z porażenia.

Taka jest legenda służąca za podstawę wszystkim poetom którzy losy Cencich wyzyskali do dramatów i powieści; w Anglii po Shelleyu odrobił je Walter Savage Landor 1853 r., we Włoszech Niccolini (Beatrice Cenci, tragedia. Firenze 1847); Guerazzi (*B. C., storia del secolo* XVI, Pisa 1854 — 2 *vol.*). Badania archiwalne rozbiły wiele złudzeń strojących Beatrycze aureolą męczeństwa; Bertoletti, a po nim ze zbytnią skapliwością Gebhart [1]) z pewnych szczegółów aktu oskarżenia odtworzyli jéj obraz nader niepochlebnie; portret w galeryi Barberinich, podanie o Gwidonie Renim który miał widzieć skazaną w drodze na rusztowanie i potém wymalować ją z pamięci są podobno nie autentyczne...; wszystko to nie obchodzi ani na przyszłość powinno obchodzić poetów, dla których Beatrycze z legendy przedstawia niezmierzoną otchłań tragizmu. Obaczmy jak ta legenda została zużyta w dwu wyżéj wymienionych sztukach francuskich:

„Gwido Reni" Bérauda jest pozbawiony wszelkiéj wartości literackiéj: samo postawienie tematu świadczy o pisarskiéj nieudolności i zupełnym braku zmysłu poetyckiego. Uciśniona cnota, bohaterstwo poświęcenia ocalone sztuką malarską, oto dążność dramatu wyrażona jak morał w bajce ostatnim wierszem:

Et la main du génie a sauvé la vertu.

Beatrycze jest skromna, pobożna, cierpliwa, pełna zaparcia; nie ojciec, bo to za straszne, ale wuj prześladuje ją i czyha na jéj wstyd dziewiczy; brat Bertold ratując siostrę zabija go u ołtarza w kaplicy Cencich, poczém ucieka i umiéra na obczyźnie! Beatrycze oskarżona o morder-

---

[1]) E. Gebhard: La vérité sur une famille tragique (Ètudes méridionales. La Renaissance italienne, Paris 1887).

stwo, milczy posłuszna zaklęciu matki i wzdragająca się wyznać przyczynę zabójstwa; jeden człowiek może ją ocalić: książe Spada, który był świadkiem naocznym morderstwa, ale on mszcząc się za odtrąconą pogardliwie miłość i pragnąc zagarnąć majątek Cencich, milczy. Sztuka rozpoczyna się sceną w pracowni Reniego; wchodzi Caracci, prawa dusza, rozgoryczona nikczemnościami wieku. Cała szkoła interesuje się żywo losom pięknéj Rzymianki; Caracci wierzy w jéj niewinność, Gwido wątpi. Ten pracuje nad dwoma obrazami: jeden przedstawia św. Zofię i jest przeznaczony do Watykanu, drugi jest kopią Madonny Rafaela z kaplicy Cencich, zamówioną dla księcia Spady; Caracci znów maluje dlań portrety Franciszka Cenciego, Beatryczy i Bertolda klęczących przed wielkim ołtarzem. Nie powtarzamy mozolnie skombinowanéj intrygi; poznanie Gwidona z Beatryczą następuje np. w ten sposób, że skazana chcąc zostawić swój portret na pamiątkę wiernéj piastunce, uzyskuje pozwolenie na to, aby malarz przybył do niéj do więzienia, gdzie przez całą długą scenę rozmawiają — o sztuce we Włoszech i Francyi; nawzajem on skłania papieża, że pozwala Beatryczy pozować do św. Zofii—w pracowni samego artysty... Tymczasem proces postępuje naturalną koleją; milczenie Spady, wyznanie Beatryczy głoszącéj się morderczynią sprowadza konieczność potępiającego wyroku. Ostatniéj nocy obaj artyści, doszedłszy nareszcie prawdy postanawiają ocalić skazaną wbrew jéj woli: malują aż do świtu — (malowanie obrazów nocą wyda się nieco dziwne, przypomnijmy, że i u Słowackiego Pietro Neri maluje przy świetle lampy...), a kiedy rano po ostatecznym wyroku pochód zstępuje do kaplicy i kiedy na ostatnie zapytanie książe Spada przysięga, że nie ma nic do wyznania, odsłaniają nagle wielki ołtarz, gdzie zamiast Madonny ukazują scenę jak Cenci pada pod nożem Bertolda, a książe Spada przypatruje się morderstwu. Na ten widok ogarnia go przerażenie, wyznaje tajemnicę, Beatrycze uniewinniona oddaje rękę Gwidonowi...

A teraz druga sztuka de Custine'a, z większą prawdą historyczną i duchową, z głębszym zmysłem artystycznym wykonana, ale przesadnie i wyszukanie okropna w myśl najkrzykliwszego romantyzmu, przytém pisana wierszem nader słabym. Postać Franciszka Cenciego jest oddana ze skrajnym brutalizmem; rozpustny i okrutny ojciec pastwi się nad synami, a pałając ku Beatryczy występną żądzą, na propozycyę kardynała Kamila, który prosi o jéj rękę dla siostrzeńca Leona, odpowiada uwiezieniem jéj wraz z macochą do zamku Petrella. Beatrycze w obawie zasadzek ojcowskich przygotowuje sobie odsiecz: Leon ma ją wyswobodzić przybywszy do obwarowanego zamku przez tajną furtkę. Tamtędy przybywa naprzód Fabrycyusz, brat Beatryczy

który zdołał umknąć przed okrucieństwem ojca, ale teraz ginie od jego sztyletu. Następnie zjawiają się Leon z bandytą Carlem; w téj chwili za sceną słychać jęk kobiecy i wybiega Beatrycze z bielizną w nieładzie i z zakrawionym nożem w ręku, za nią wlecze się Cenci, który ma jeszcze czas przekląć niebo, wyznać, że zhańbił córkę i przepowiedzieć, że wnet pójdzie za nim, poczém kona. Nadchodzi kardynał ze świtą, Beatrycze oddaje się w ręce sprawiedliwości. Ostatni akt przedstawia scenę w Watykanie. Naprzód Leon usłyszawszy o torturze Beatryczy oskarża się o wspólnictwo w zbrodni, papież go jednak ułaskawia; potém Beatrycze staje przed Klemensem z piękném słowem:

Je viens vous demandez,—si je suis criminelle,

a tu autor w zapale antyklerykalnym popełnia dziwactwo przeciwne przyzwoitości scenicznéj: oto odwróciwszy role każe bohaterce wygłosić reprymendę, w któréj papież jest oskarżony, że dawał się przekupywać złotem starego Cenciego i puszczał płazem jego zbrodnie — co wzrusza go tak głęboko, że pada Beatryczy do nóg i jako świętą prosi o rozgrzeszenie. I już ma ją ułaskawić, gdy wieść o nowéj zbrodni, oraz głosy ludu domagającego się srogiéj kary, zmuszają go do podpisania wyroku śmierci. Tu kończy się sztuka, autor dodał epilogiem scenę ludową: mieszczanie przypatrują się pochodowi skazańców, za którym niosą ciało Leona zabitego przez żandarma, gdy gwałtem chciał odbić ukochaną; z boku stoją Gwido Reni z Aretynem, pierwszy egzaltowany, drugi sceptyczny; scena zamyka się w kilku wierszach.

Jasno przedstawia się teraz stosunek tych dwu sztuk do tragedyi Słowackiego. Jeżeli prawdą jest, że utworem pisanym w jesieni 1832 roku po francusku była Beatryx, co zdają się potwierdzać urywki czterech scen 5-go aktu wydane przez p. W. Gasztowta [1]), to widoczna, że pomysłu do niéj dostarczyły owe świeżo wydobyte, po dziennikach i broszurach ogłaszane dokumenty, które równocześnie, bodaj w tych samych miesiącach natchnęły dwu autorów francuskich, poszukujących tematu *ultra*-romantycznego. Z de Custinem Słowacki stanowczo nie ma nic wspólnego: cała akcya przesunięta w inną chwilę, w inne miejsce, aktorowie w nich różni, dążności różne, nie mówiąc już o robocie

---

[1]) Oevres complètes de J. Słowacki, Traduction et préface, Paris 1870. Porów. t. I. str. 435—443.

Sc. 1 w więzieniu, Lukrecya, Beatryx, Tomasz, Azzo. Stróż donosi, że papież odrzucił prośbę o ułaskawienie.

Sc. 2. Proponuje Beatryczy truciznę.

Sc. 3. Giano prosi Tomasza o rękę siostry.

Sc. 4. Początek rozmowy kochanków.

scenicznéj, gdzie z jednéj strony wzorem jest Szekspir, z drugiéj Wiktor Hugo. Pomysł ostatniéj sceny ludowéj mógł u obu poetów wyniknąć z naturalnéj sytuacyi. Inna rzecz ze sztuką „Guido Reni.” Przypominamy, że już J. Szujski w sprawozdaniu z przedstawienia „Beatryczy” [1]), zapewne nie mając w ręku egzemplarza, przypuszczał tylko, iż Słowacki z niéj korzystał. W istocie uderzające jest podobieństwo motywu, którego żadna legenda nie wspomina, a który trudno, aby powstał samodzielnie. Jeżeli pomysł malowidła wykrywającego zbrodniarzy odnoszono do sceny rekonstrukcyi zbrodni w „Hamlecie”, z daleko większém prawdopodobieństwem można twierdzić, że go dostarczyła sztuka francuska. Że tam używają go przyjaciele skazanéj dla jéj ocalenia, tu zaś delator dla wydobycia zeznania z Cencich, to na wartość hypotezy nie wpływa. Uważajmy téż, że cała machinacya piekielna Piotra Neriego jest jakby epizodyczna, do dramatu integralnie nie należąca, wsunięta jakby z pokusy efektu scenicznego i nawet psująca jednolitość budowy; odrzućmy ją, a tragedya nic nie straci; dowód, że epizod ów jest zbyteczny. Nie potrzeba nawet przypuszczać, że Słowacki widział naocznie egzemplarz sztuki francuskiéj; siedząc w Genewie, uczęszczając pilnie do „Salon de lecture” (patrz „Listy”), musiał, jak to bywa, świeżo przybywszy z Paryża, interesować się wypadkami dnia w stolicy, którą opuścił, nie mógł zatém przeoczyć sprawozdań z przedstawienia „Gwidona Reniego”, które np. w dziennikach polityczno-literackich, jak „Constitutionnel” lub „Debaty”, stanowią obszerny felieton. Podwójne *fiasco* „Beatryczy” w Paryżu musiało go ochłodzić do projektu otwarcia złotych min w teatrze „Port St. Martin”; zresztą próbki języka w ułamku z czterech scen świadczą o wielkiéj nieśmiałości pisarza, nieumiejącego widocznie na obcym gruncie wystrzelić poetycką siłą. Podróż do Rzymu, widok portretu u Barberinich, wpływ cisnących się wspomnień, odnawia w nim po kilku latach pociąg do bladéj postaci, „jak posąg białego wstydu spokojnéj i rozpłakanéj”, i tak powstaje (podobno w r. 1840) ów poszarpany, lecz cudowny fragment, gdzie każdy okruch świeci iskrami geniuszu.

Szukając jego źródeł, zanadto zapomniano o wpływie legendy, którą przecież mnóstwo rysów wytłómaczyć można, nie uciekając się do sztucznych przypuszczeń. Że poeta znał ją dokładnie, że świadomie zmieniał tam, gdzie tego budowa sztuki wymagała, na to znajdujemy dowody na każdym kroku. Legenda powiada: „Zagrożona kazirodną miłością, pewnego dnia wleczona aż do łoża matki...”; oto, czém z prze-

---

[1]) „Przegląd Polski“ 1872, III, str. 310—314.

rażającym efektem dramatycznym rozpoczyna się akcya. Słowa Pietra Neriego:

> ...Cyt, dziś go spoiłem
> Blekotem — musi spać jak martwe drzewo...

Słowa matki:

> Lecz syn mój stchórzył... ja dobrze wiedziałam,
> Że syn mój stchórzy...

wyrzucenie trupa na ulicę — wszystko to rysy przeniesione z opowiadania. Potém mały Azo (lepiéj Azzo) skazany na przypatrywanie się egzekucyi, dzień skwarny, pochód penitentów, ów rzewny rys: „Rozpłakała się, gdy kat uciął włosy", przeniesiony z relacyi o torturze, wszystko nie pozwoli wątpić, że poeta był panem swego poetyckiego materyału. Scena została przeniesiona do Rzymu, dla zyskania jedności akcyi i wprowadzenia postaci Gianiego, czyli Gwidona Reniego; bandyci zastąpieni braćmi dla uszlachetnienia czynu i spotęgowania interesu; morderczynią jest sama skrzywdzona i obrażona dziewica — o ileż to tragiczniejsze od rzeczywistości! Chciano w Piotrze Nerim dopatrzéć się Jagona lub Franciszka Moora; zgoda jeszcze na drugiego: brzydki i złośliwy intrygant, czyha na ukochaną brata. Ależ ksiądz Pietro Neri to jest wyraźnie *monsignore* Guerra, ten, który kochał się w Beatryczy, był wspólnikiem zbrodni i uciekł po jéj wykryciu; u de Custine'a odpowiada mu szlachetny Leon, u Bérauda niegodziwy książę Spada.

Niezręcznością byłoby śledzić daléj genezę sztuki, traktowanéj z całą swobodą poetycką i wyszukiwać zbyt ścisłych podobieństw bądź z samém podaniem, bądź z jego opracowaniami scenicznemi, których wszystkich mógł Słowacki nie znać; jak już dziś z licznych badań i kombinacyi wnioskować można, była to natura artystyczna, poddająca się nadewszystko impulsom literackim, ale tak nadzwyczajnie wrażliwa i niecierpliwie samodzielna, że jeden podrzut wystarczał wyobraźni do puszczania się na bezgraniczne loty.

Edward Porębowicz.



KRONIKA ARTYSTYCZNA.

Najznamienniejsze zjawisko życia dni bieżących — to jakaś gorączkowa pogoń za coraz nowszemi hasłami i ideami, gonitwa bezustanna za coraz to świeższemi i silniejszemi wrażeniami, coby potrafiły rozgrzać stygnącą krew znudzonych i przywykłych do wszelkich nadzwyczajności dzieci schyłku stulecia.

I to poszukiwanie wrażeń nadzwyczajnych, niepowszednich, staje się dzisiaj chorobą niemal epidemiczną, owłada ono nietylko osobniki o przeczulonych nerwach, ale przejawia się coraz częściéj nawet na szerokich polach wielkich prądów umysłowych, ogarnia nawet dziedziny najwyższéj twórczości ludzkiéj.

Nietzsche, stwarzając swą teoryą „nadludzi", wyraził tendencyę całego pokolenia neurasteników dzisiejszych, którym już sprzykrzyło się cenić, myśléć i działać jak wszyscy ludzie. „Arystokratom ducha", przesubtylizowanym i przerafinowanym, trzeba wrażeń wprost sprzecznych z naszemi dawnemi tylko „ludzkiemi" pożądaniami. To co nas zachwyca — ich wstrętem przejmuje, jako zbyt znane, banalne; to co nas odstręcza swą plugawością—ich przeciwnie pociąga i czaruje.

Nie idzie tu bynajmniéj o prawdziwe zadowolenie etyczne lub estetyczne. Źródłem tych spaczonych poglądów jest chęć nadmierna, chorobliwa oryginalności jeszcze niewidzianéj, staranie się usilne o ekscentryczność, co by zwróciła uwagę tłumów, zadziwiła i oszołomiła.

I to niezdrowe pożądanie nadzwyczajnych pomysłów, niewidzianych jeszcze kombinacyi — najsmutniéj odbija się na współczesnéj

sztuce, literaturze i muzyce. Stawiając sobie za hasło reklamową dewizę kupczyka: „robić wszystko tak, ażeby efekt był największy, aby praca odrazu rzucała się w oczy," — dekadentyzm dzisiejszy, wyraz owéj gonitwy za taniemi efektami, nieobliczone przyniósł szkody sztuce prawdziwéj.

Spaczywszy przedewszystkiém dobre pojęcia estetyki, tradycyę prawdziwych wymagań sztuki, nic nowego nie dał jéj wzamian.

Jeśli istotnie szukanie dróg nowych, przebijanie nowych ścieżynek w nieznanych obszarach olbrzymie może przynieść korzyści, wybijając zdolności indywidualne, rozszerzając horyzont poglądów, przynosząc nowy element do sztuki lub nauki,—to trzeba jednakże aby ów ruch naprzód miał jakieś podstawy, jakieś zasady, aby opierał się na czémś więcéj niż na poszukiwaniu nieznanych jeszcze efektów. A dzisiejszy nowatorski ruch w sztuce albo stara się stanąć w bezwzględnéj sprzeczności ze wszystkiemi dogmatami dawnéj sztuki, albo co gorzéj, wydobywa na wierzch szczególiki drugorzędne, urozmaica kompozycyą efekcikami, co wprawdzie rzucają się w oczy, ale zatracają ogólny charakter obrazu, zaniedbują rysunek, poczucie formy i harmonii.

Artyści dzisiejsi zapominają, że często chcąc coś stworzyć, trzeba mieć myśl, technikę i cel jakiś na widoku.

Obraz nie może być dziełem jednostronném i tylko kolorystyczném lub tylko w rysunku utrzymaném. Powinien on zawrzéć w sobie wszystko, co daje dopiéro prawdziwe wrażenie piękna, przez połączenie wszystkich cząstek, które się nań składają. Imponowanie jedynie barwą, olśniewanie kakofonią kolorów co zdziwią, nie przystoi sztuce prawdziwéj.

Malarstwo, rzeźba, muzyka — toć to nie jakieś wcielenia zbytkownych wymagań zbogaconych bankierów, — ale kawałki duszy ludzkiéj, kawałki uczuć naszych, pragnień i dążeń, co nie dając się wypowiedziéć dostatecznie słowem, zamknięto w barwę, plastykę i ton.

Artysta malarz powinien pamiętać, żeby dzieło jego mówiło coś do widza, żeby jego produkcya nie była tylko fotografią przyrody, bez czucia i myśli, kawałkiem ziemi na któréj policzono źdźbła słomy i obrachowano wymiary zlepków ziemi...

W każdy ton, w każdą grudkę farby — nie mówiąc już o całości, o kompozycyi, — w każde pociągnięcie pędzla, artysta jakąś myśl włożyć może, jeśli myśli i czuje, jeśli jest prawdziwym „artystą," jeśli mózg jego i serce drga w chwili tworzenia inném poczuciem, prócz chęci zamalowania kawałka płótna, co by się prędko sprzedać dało.

I stając przed obrazem widz powinien odczuć to, czém drgał artysta - poeta gdy w pracowni swéj mozolnym nieraz trudem stwarzał dzieło, w które włożył myśl swą, swe pragnienia i dążenia, swą radość lub swój ból serdeczny...

I w takich jedynie warunkach staje przed nami dzieło prawdziwe; tylko wtedy obraz mówi i żyje, gdy odrzuciwszy na bok wszystkie efekta tandetnéj wartości, artysta staje przed płótnem, aby w nie wlać cząstkę siebie, nie zaś szukać blichtru zewnętrznéj migotliwéj szaty, bezdusznéj, błyszczącéj fałszywemi blaski, przynęty na spaczone gusta ekscentryków...

I gdybyśmy stanęli w salonach artystycznych wobec setek tam wystawionych „dzieł sztuki", to ten rozłam pomiędzy sztuką prawdziwą a lichą, na efekt obliczoną produkcyą, odrazuby nas uderzył.

Obok rzeczywiście skończonego obrazu, pełnego spokoju, siły, jakiegoś pietyzmu dla sztuki, obok dzieła co myśl orzeźwia, uszlachetnia, podnosi, widzimy znowu jakąś mazaninę plam kolorowych, o błyszczących, kontrastycznych tonach, bez rysunku, bez myśli, namalowaną w nadziei wydobycia jakichś niewidzianych jeszcze efektów.

Lub znowu obok prawdziwie rozlegle pojętego przedmiotu, około pełnego siły i energii pędzla, co szeroko kréśli barwne, wspaniałe tony i linie, widzimy robotę nudy więziennéj, jakąś mozajkę plamek i szczególików, dającą drobnostki drugo i trzecio rzędne, zamiast wrażenia ogólnego, rozstrzelając uwagę na podziwianie okruszyn chleba, lub szparki w podłodze...

Nigdzie zaś dosadniéj nie biła w oczy ta różnica pomiędzy sztuką istotną, sztuką dawną a przeważającą obecnie „sztuczką" dzisiejszą, jak na wystawie portretów, urządzonéj przez ruchliwy zarząd Salonu artystycznego.

Z mistrzów prawdziwych, staréj dobréj szkoły, widzimy tu prace Simler'a, Rodakowskiego, Kaplińskiego; obok nich pokrewne sposobem malowania zwracają uwagę widza portrety pędzla Murzynowskiego, Leopolskiego, Horowitza, Mehoffera i Wyczółkowskiego.

Prawie wszyscy ci malarze tak w wykonaniu, w technicznêm opracowaniu, zarówno jak i w kompozycyi odbijają od całéj falangi dzisiejszych portrecistów rysunkiem wybornym, sumiennym, co o długich pracowitych studyach mówi, kolorytem barwnym, silnym, ale nie krzyczącym, kompozycyą, pełną myśli i spokoju, techniką skromną, nie ubiegającą się za efektami.

Najwybitniéj cechy te łączy w sobie wielki portret Simlera, przedstawiający mężczyznę stojącego w futrze. Jestto jeden z najlepszych portretów w Salonie. W każdym ruchu pędzla znać tu mistrza.

Rysunek doskonały, kompozycya wyborna, niewyszukana, a malująca doskonale charakter portretowanego. Czuć, że zanim malarz wziął się do pędzla, starał się uchwycić znamienne rysy psychologiczne portretowanego; znać, że postać jego wbił sobie w pamięć, przefiltrował przez swą artystyczną duszę, aby uchwyciwszy podobieństwo wlać w twarz nietylko fotograficzną dokładność w wystudyowaniu jakichś fałdek lub pukla włosów, ale starał się dać téj twarzy myśl, wyraz, coby odzwierciadlał charakter, usposobienie człowieka, którego portretował. Nie ma tu gonitwy za efektami barwy, nie ma tu rozstrzelenia się w szczególikach i drobnostkach, a jednak technika pełna siły i charakteru, przy spokojném, szerokiém traktowaniu, przy myśli w wykonaniu i kompozycyi, — pozwoliła oddać nawet najbardziéj drobiazgowe szczególiki, stwarzając portret skończony w najdrobniejszéj cząstce, a pomimo tego nie każący widzowi patrzéć naprzód na ornamentacye kominka lub rysunek fotelu, lecz mimowoli skupiający wzrok na wspaniałéj postawie, imponującéj sile myśli, co bije z téj szlachetnéj głowy, tak świetnie wytoczonéj. Z portretu tego widzi się od razu artystę prawdziwego, artystę co czuł i myślał, wsparłszy polot ducha potężną i sumienną techniką, dbałością drobiazgową w wykończeniu, studyami wytrawnemi nad rysunkiem i formą. I dwa drugie portrety Simlera: p. E. i dziewczynki, temiż samemi odznaczają się zaletami. Pełne finezyi, konsekwentne w upozowaniu, nie są to manekiny z poprzyczepianemi do torsu fotograficznemi odbitkami. Ci ludzie żyją, myślą, ich pragnienia, ich charakter tłomaczy się widzowi z ich postaci. To nie jest upozowanie przypadkowe, ustawienie, gdzie w danéj chwili snop światła jakieś szczególne, specyalne kładzie blaski i cienie, co może dadzą portret nowy, o niewidzianych jeszcze tonach i efektach. To upozowanie Simlerowskie, — to ustawienie psychologiczne, że się tak wyrażę, ustawienie co daje charakter, co tłomaczy nam niemal życie portretowanych, to owoc długiego namysłu malarza, pracy mózgu i uczucia, co surowy materyał przepuściło przez filtr artystycznych wymagań, dając dzieło pełne myśli, harmonii, siły i prawdy. Podobnież i portrety Rodakowskiego (portret mal. Kaplińskiego) i Kaplińskiego portret damy, odznaczają się przedewszystkiém bezpretensyonalnością, skromnością w kolorycie i poszanowaniem rysunku, doprowadzonego do doskonałości niemal. W portrecie Rodakowskiego, czoło portretowanego tak szeroko traktowane, tak śmiało płaszczyznami kréślone, to nie świetlna plama, farba i nic więcéj; pod tą plamą czuje się czaszkę, czuć myśl. Tu twarz się nie rozlewa, nie zapada błyskotliwemi wibrystycznemi plamami, tu rysunek sumienny wydobywa na wierzch kardynalne szczegóły anatomii twarzy, tak że gdybyśmy

zakryli resztę twarzy, ujrzelibyśmy w każdym kawałku ciała to, czém być ono powinno, nie zaś płótno zamalowane w téj lub innéj tonacyi.

Taż sama sumienność rysunku zwraca uwagę widza w harmonii linii ramion damy w narzutce pędzla Kuplińskiego. Ręce są niewidoczne, a jak się jednak dają odczuć pod ciężkiemi fałdami aksamitnéj narzutki! W tym samym stylu mamy dobry choć nieco twardy i surowy portret Murzynowskiego oraz portret Leopolskiego, traktowany szeroko, sumiennie, nieco znów za realistycznie, w każdym razie starą dobrą szkołą, pełną rysunku i poczucia linii. I to są takie zalety, które odznaczają portrety Horowitza, z których najlepszym jest portret damy w niebieskiéj sukni, słabszym zaś nieco portret damy stojącéj w białéj sukni, nieco chwiejnie postawionéj i zbyt szaréj w tonacyi. Przepysznym za to jest pierwszy z tych dwóch portretów, wykończony nader starannie, wspaniały w kolorycie, o doskonałym rysunku.

Mehoffera, portret rzeźbiarza Laszczki, wzorowany snać na starych mistrzach dobréj szkoły, szeroko traktowany, spokojny w kolorycie, bardzo charakterystyczny i prawdziwy, jest nieco zepsuty przez niepotrzebne nagromadzenie różnych przedmiotów i czerwoną draperyę rwącą tło, odrywając wzrok od samego portretu ze szkodą prawdziwą dla widza. Takie właśnie niepotrzebne dodatki, mające służyć nieraz do wydobycia świetności tonu głównéj figury, do jéj uplastycznienia, wszelkie podobne *repoussoir*'y są w większéj części zbyteczne, a nawet szkodliwe. Ten portret skromny, doskonale malowany, pełen życia i uczucia traci bardzo przez tę draperyę rozrywającą niemal płynące odeń wrażenie spokoju i powagi.

Najlepiéj poucza, co może dobry rysunek, poczucie formy i spokojne, pełne barwności jednak traktowanie — portret Owidzkiego pędzla Wyczołkowskiego. Poza niedbała, rzucona, przez doskonały rysunek, przez myśl co w tym portrecie przebija, tworzy jednak dzieło sztuki prawdziwéj. Jest to portret doskonały nawet w téj nieco śmiesznéj kompozycyi, rozświetlony jednak sposobem malarzy-efekcistów, upstrzony plamkami i światełkami byłby tylko niesmaczną szarżą.

Czachórski dał trzy portrety z który jeden, damy, nieco za twardy, dobrze jednak jak zawsze malowany. O wiele lepsze są dwa doskonałe portrety męzkie, z których jeden szczególnie znakomicie jest wykończony.

Antoni Kamieński w portrecie dr. M. bardzo dobrym, świetnie rysowanym, zwycięsko pokonywa trudności portretu pośmiertnego z fotografii. Téj ostatniéj przyczynie przypisać też należy mniejszą siłę

téj pracy p. Kamieńskiego, tak wybitnie wyróżniającego się wśród naszéj artystycznéj drużyny swą fantazyą i prawdziwie niezrównanym polotem myśli.

Siłą za to imponuje portret Z. Andrychewicza (portret ojca autora). Zwraca on odrazu uwagę widza energią malowania, głową pełną charakteru, mocy i myśli głębokiéj, wychodzącą z ram i szarego powszedniego tła. Nie ma tu szukania efektów, portret spokojny, poważny w kolorycie, daje jednak poczucie olbrzymiéj siły w téj głowie znakomicie oświetlonéj, żyjącéj, o liniach energicznych, prawdziwych, gdzie pod świetnością barwy czuje się kość i ciało.

Dobre bardzo, sumiennie rysowane i malowane są portrety p. Szyndlera, z których wyróżnia się finezyą portret p. K., utrzymany w stylu główek Greuze'a. Głowa prof. Gersona odrazu zdradza autora rysunkiem i kolorytem; dobrém studyum jest portret p. Gażycz, pełen energii, szeroko traktowany, za brutalny nieco.

Pani Wasilkowska powinna chyba tylko pastele robić; chociaż jéj portret olejny dr. K. ma silne efekta światła i koloru, przy prawdziwie energiczném zacięciu w malowaniu, są to jednak sztuczki techniczne nie dające silniejszego wrażenia całości. Złe upozowanie pogarsza bardzo ten zkąd inąd dość efektowny portret; jednakże daleko więcéj finezyi, daleko bardziéj żywe tony, daleko więcéj temperamentu i kolorytu mają jéj pastele. W obrazie olejnym trzeba się wytłomaczyć ze wszystkiego: z każdego półtonu, z każdego pociągnięcia pędzla; pastel znacznie więcéj zostawia swobody; powiewność, miękkość tonu, jakieś niedomówienia dodają nawet pastelowi więcéj uroku i uczucia. I pastele p. Wasilkowskiéj mają właśnie tę zaletę: są pełne miękkich, miłych dla oka tonów, umiejętnie podniesionych i wyzyskanych przez efektowne tła, nie pozbawionych jednak siły i temperamentu, jak w portretach pp. H. lub w portrecie damy. Nieco słabszym, bez energii, zanadto szkicowym jest portret p. Was., rzeźbiarza, kreacyi tejże artystki.

Milutkim jest portrecik w *plain air* S. Wolskiego, bardzo starannie narysowany, coby się nie dało powiedziéć o portrecie p. Alchimowicza, malowanym szeroko, śmiało, o zaniedbanym jednak rysunku, ujawniającym się w nieprawdopodobnie miniaturowych rękach.

Podkowińskiego portret damy nie należy do najlepszych dzieł jego. Widzieliśmy przepyszny portret tego nieodżałowanego artysty daleko subtelniejszy i świetniejszy. Ten który się obecnie znajduje w Salonie robi wrażenie notatki artystycznéj, rzuconéj w chwili pierwszego wrażenia, zostawionéj do późniejszego opracowania, doskonale

narysowana postać stoi jednak na fałszywie perspektywicznie wykreślonéj posadzce.

Portret p. Wiśniewskiego wskazuje jasno złe strony nowoczesnéj gonitwy za efektami światła. Narysowany dobrze, prawidłowo, traci siłę, ekspresyę i uczucie przez malowanie plamami, wyszukiwanie półświatełek, co dają fałszywe wrażenie siły i świetności, niknące przy uważniejszéj obserwacyi.

Ten sam błąd mają na sumieniu pp. Badowski, Lentz i Szwojnicki. O dwóch pierwszych zaznaczyć przedewszystkiém trzeba, że malują bezprzecznie bardzo efektownie, z siłą i wyrazem, portrety ich mają dużo charakteru — ale rażą brutalnością, brakiem spokoju i harmonii. Wykończone nieraz bardzo starannie z wielkim nakładem pracy, portrety ich jednak odpychają od siebie brakiem poczucia artystycznego i zaniedbaniem rysunkowém.

Artystom téj miary, co p. Badowski, nie wolno zapominać o formach, gonić za taniemi efektami, za sztucznemi uwypukleniami przez jaskrawe świetlne plamy, z zapomnieniem zupełném prawidłowości rysunku i harmonii linii. Portrety p. Badowskiego wskazują artystę wyrobionego, co dużo wié, dużo umié, ale tę umiejętność z własną i sztuki szkodą wyzyskuje, niestety, na drobne efekciki, zapominając zupełnie o rysunku. Takiéj ręki, jak na bardzo skądinąd efektownym portrecie staréj damy, nie wolno malować p. Badowskiemu; nie wolno téż sadzać portretowanego w fotel gdzie pół ciała ginie, zapada się, ubranie samo zaś zostaje. Takiego płaskiego rysunku, takiego zatracenia poczucia, że pod ubraniem powinno być ciało, nie przebacza się, podobno, początkującemu nawet artyście.

Jednostronność w twórczości podkopać może największy nawet talent. Artystyczna działalność to jak brylant co aby ognie dawał, ze wszystkich stron oszlifowanym być musi. Piękna, efektowna oprawa nie da ogni, zatraconych przez niedokładne obrobienie dyamentu. I p. Lentz nie doszliwuje jednéj ze ścianek swéj artystycznéj twórczości. Jego portret daje świadectwo dużéj pracy, silenia się na malowanie szerokie, efektowne, przy zaniedbaniu jednak rysunku. Zbyt téż dużo u niego brutalności, szorstkości nieprzyjemnéj, co osłabia silnie wrażenie jakie wywierają jego nieraz bardzo barwnie i świetlnie malowane portrety.

I p. Szwojnicki, dając w portrecie swéj matki pracę sumiennie wystudyowaną, nieco bladą w kolorycie, może za mało charakterystyczną, zatraca siłę i wrażenie na widzu przez poszukiwanie Ameryki w drobnostkach trzeciorzędnych. Głowa mężczyzny tegoż autora o wiele słabsza, twarz nie ma kości, same plamy, bez charakteru i myśli.

Anny Bilińskiéj portret kobiéty jest raczéj studyum o szerokiém zacięciu, pełnym w kolorycie, dobrze narysowanym; dużo téż pewności w malowaniu, finezyi i temperamentu ma portret W. Szymanowskiego, malowany jednak w niekorzystnéj pozie, na nieodpowiedniém tle. Zaniedbanie rysunku, brak poczucia formy, płaskie modelowanie — oto znowu wspólne wady pp. Millera, Heimana, Wiesiołowskiéj, Dawidowicza i Piątkowskiego. P. Millera portret młodéj dziewczyny razi brakiem rysunku, co dziwi niezmiernie wobec pewności i poprawności malowania; p. Heiman portret przy sumienném wystudyowaniu koronki sukni jest nieprawdopodobnie płasko malowany. Ręce jak z ciasta, bezwładne, nieżywe, są poprzyczepiane do rękawów jedynie, biust nie ma ani jednéj prawidłowéj linii, wskazuje przytém na zapomnienie pewnych prawd anatomicznych. Toż samo p. Piątkowski; jego prace robią wrażenie zlepków niesłychanie płaskich, źle w dodatku dopasowanych do siebie. Biała suknia na jednym z jego portretów zdaje się wprost wisiéć w powietrzu za sprawą jakichś spirystycznych czarów, wraz z głową bez wyrazu i życia, niby przypadkiem do niéj doczepioną. Portret p. Wiesiołowskiéj to znowu błyskotliwa plama bez rysunku i konsekwencyi. P. Dawidowicz wysunął w swym portrecie fotel tak daleko na pierwszy plan, że widz mimowoli naprzód nań zwrócić musi uwagę, a późniéj dopiéro doszukiwać się postaci portretowanego, źle usadzonéj, jeszcze gorzéj malowanéj.

Ogólne wrażenie, jakie z Salonu wynieść można, jest to, że większość artystów dzisiejszych pracuje na efekt jedynie, bez gruntownych studyów, goniąc za wrażeniem chwilowém silnych plam świetlnych, brutalnych, oszałamiających widza swym realizmem, lub znowu zadziwiając go drobiazgową robotą szczególików, zapominając jednak zupełnie, że wywrzéć powinna wrażenie nie cząstka, lecz całość, że od dzieł sztuki wymaga się czegoś więcéj niźli karkołomnych prób techniki nowatorskiéj.

Tą drogą idąc daléj, sztuka nasza sama się przeżyje, do historyi ani jednéj nie dołączając nowéj i pamiętnéj kartki.

Nieposzanowanie formy, zaniedbanie rysunku i harmonii, brutalność kolorytu—oto wspólne wady większéj części naszych współczesnych portrecistów, nie mówiąc już o tych, co malują portrety jedynie dlatego, że jakiś zabłąkany amator tego od nich zażądał.

Przechodząc z wystawy portretów do Salonu Krywulta, trafiamy na zbiorową wystawę prac p. Masłowskiego.

Nic tak nie daje obrazu psychologicznego artysty, jak możność zestawienia prac z różnych epok jego artystycznéj działalności. Widzimy wtedy pierwsze prace młodości, nieraz nieumiejętne, bez

doświadczenia lat dojrzałych malowane, pełne natomiast czucia i myśli, pełne pulsującego w nich życia, wyrwane wprost z duszy artysty, rzucane na płótno w chwilach prawdziwego natchnienia. Późniéj, z wiekiem i nabytém doświadczeniem przychodzi rozwój zupełny talentu, zapanowanie nad formą, pełniejsza kompozycya, wyrafinowanie w tonach, głębszość myśli i tendencyi.

Częstokroć jednak żałować trzeba produkcyi młodzieńczych, stojąc wobec zrutynowanych, szablonowych dzieł dojrzałego artysty. Żal nam tych prac pierwszych, pełnych ognia i temperamentu, pomimo swych usterek, drgających dobrze odrazu tą poezyą, rozwianą w latach późniejszych przez chłodną robotę człowieka „co robi majątek.“

Są jednak artyści, co od lat najmłodszych rozwijają się ciągle, zawsze gnani jednym biczem natchnienia niewyczerpanego, ognia co nie stygnie, ludzie co szukają ciągłych udoskonaleń, coraz wyżéj piąc się po szczeblach twórczości, wiecznie pełni młodzieńczego polotu i energii, nie ustając w pracy, starając się dostosować do ostatnich wymagań chwili.

Do takich ludzi, co zda się boją, aby ich wstecznikami nie nazwano, do takich artystów, co zawsze chcą być aktualnemi, należy p. Masłowski. A jednak czy nie wypadnie żałować dawnych prac jego wobec kierunku nowego, w jakim kroczy on dzisiaj?

Rzućmy okiem na dawniejsze jego produkcye. To artysta-poeta rozkochany w przyrodzie, odczuwający jéj uroki, pełne wspaniałych barw zmierzchy i zachody słońca, odszukujący poezyą smętną i prostą zaułków leśnych, drzewinek drobnolistnych co się w zwierciadle wody przeglądają, ustroni cichych, pełnych cienia i czaru, — to znowu bujający wśród olbrzymich stepowych przestrzeni, pełnych powietrza, niezmierzonych jak nieskończoność sama.

I w każdym z obrazów Masłowskiego taka szczera, prosta, serdeczna nuta się przebija, że obraz jego chwyta widza za serce i stoi się przed nim lżéj oddychając, rozumiejąc jego bohaterów, odczuwając i przeżywając wrażenia co wstrząsały duszę artysty, gdy malował te obrazy. Spójrzmy na „Pastwisko.” Wiele tu spokoju, przedwieczornéj ciszy, wiele poezyi, wiele uczucia, wiele prawdy w postaciach tych trzech leżących chłopków. I technika nic do życzenia nie pozostawia. Malowane to szeroko, wdzięcznie, z uczuciem głębokiém, bez wysileń i sztucznych efektów, a jednak jak to do duszy przemawia, jakie miłe kojące robi wrażenie! Albo ta „Duma,” ileż tu myśli, jaki rzewny wdzięk płynie z tego obrazu.

„Las” wyrwany z natury, wsadzony w ramy, tak prawdziwy, że by się pod drzewem tém odpocząć chciało; co za przezrocze, jaka

wspaniała perspektywa, ile powietrza w tym obrazku, zarówno jak w pracy nowszéj, ale utrzymanéj w myśli dawnéj, „Poranek".

Ten „Pocztylion" to kapitalny obraz tak w kolorycie pełnym, soczystym, w spokojnych tonach utrzymanym, jak i w kompozycyi miłéj, wdzięcznéj. „Dolina rzeki Prędki" zachwyca poprostu. Ta ustroń cicha, do marzeń wiośnianych zda się stworzona, taką prostotą drga pod pędzlem Masłowskiego, że... że przykro jest doprawdy oderwawszy od niéj oczy, spojrzeć na „Porwanie..."

Tu zmiana nagła. Ten sam wytrawny, świetny w kolorycie ciepłym, spokojnym malarz, pełen poezyi i finezyi w tylu dawniejszych utworach, nie chcąc zostać w tyle za biegnącemi naprzód w pogoni za utopią młodzikami, porwać się daje niezdrowym prądom chwili, chce być aktualnym, zrywa sam ze sobą, indywidualność swą zatraca dla mody i staje się impresyonistą malującym krzyczącemi plamami, niewytłomaczonemi, chybionemi, wprost przykremi dla oka. Autor tak kapitalnéj rzeczy jak „Taniec Kozaków", nie potrzebował karykaturalnéj kakofonii barw dla oddania ruchu. Wszak w tym obrazie tańczący trepaka kozak tańczy go naprawdę, lada chwila skra poleci od uderzonego podkówką kamienia, za chwilę zmęczony szalonym pląsem kozak upadnie na trawę; a wszystko to tak piękne, tak prawdziwe, wydobyte jednak zwyklejszemi środkami. Po cóż to przebarwienie, po co te czerwoności, te fiolety, po co to patrzenie na naturę przez jakieś specyalne szkła, kiedy się ją tak dobrze czuło i widziało własném okiem artysty i poety?

Zapewne jest tam ruch, konie pędzą, ale czy to konie te różnokolorowe plamy o czerwonych zaciekach, na których siedzą inne plamy o tychże tonach, z takiemiż smugami?

Albo ten „Spór o granicę." Co tu prawdy, ile tu studyów, ile myśli, zmarnowanéj w nienaturalnych kolorytach, niemiłych, dziwnych, nieswojskich. Ci chłopi tacy nasi, to nie nasi. Oświetla ich nie nasze słonko poczciwe, ale jakieś fantastyczne nieznane światło sztucznie wywołane, jakieś chore słońce cywilizacyi w rozkładzie.

Masłowski przez tę gonitwę za efektem nadzwyczajnym, zatraca poczucie prawdy, nawet i ta zieloność co za chłopami rozpościera się, to nie przezrocze liści, po za któremi jak w dawniejszych jego pracach widz czuje hen dalcko ciągnące się łany,—tu tym razem, to zapora nie do przebycia, to ściana niewzruszona, to plama tylko, ale nie ogród.

Nie miłym też jest duplikat „Mickiewicza i Maryli", malowany nader gorąco, z dobrém drzewem, nieco za metalicznie świecącém w odblaskach purpurowych zachodu; dobrą jest bardzo woda, wspomnienie dawnéj techniki autora.

Ale nie...

Masłowski nam wróci. Nie chce mi się wierzyć, aby tak inteligentny, tak uczuciowy artysta trwał daléj w swém omamieniu, aby szedł dłużéj tą nową ścieżką, na którą ze szkodą dla sztuki prawdziwéj nieopatrznie się zabłąkał...

Nie mogę wierzyć, aby ten artysta, twórca tylu świetnych rzeczy, tylu przepięknych obrazów i akwarel, poszedł drogą tych, co nie mając nic: ani talentu, ani umiejętności, chcą łatać braki, łapiąc publiczność na lep nadzwyczajnych pomysłów.

Zapewne talent prawdziwy i na téj drodze zrobić coś może, gdy przesączywszy przez filtr artystycznéj duszy wymagania nowéj techniki, zastosowywać ją zechce. Przykładem Wyczółkowskiego „Wesołe pacholęta"; ale p. Masłowski robi gorzéj, — on bierze receptę modernistyczną co do słowa i maluje kontrastami barw z całym zapałem swéj artystycznéj duszy, grzebiąc całą świetną swą przeszłość.

Miejmy nadzieję jednak, że rzuci te nowomodne pędzlunki i da nam znowu taką „Maryś," takich „Pocztylionów," takich „Kozaków" lub takie „Pastwiska", jakie nam dawniéj dawał, że zajmie nanowo w naszéj artystycznéj drużynie to wybitne miejsce, które mu się słusznie należy, a które samowolnie opuścił w chwilowéj, chcę wierzyć, fantazyi, gonienia za efektem i nowością.

O wystawie Zachęty Sztuk Pięknych kilka słów zaledwie powiedzieć mogę. Brak miejsca odłożyć mi każe na czas inny obszerniejsze o znajdujących się tam obrazach sprawozdanie.

Nie można jednak pominąć milczeniem kilku ostatnio nadesłanych utworów, oraz obrazu Fr. Żmurki „Wspomnienia grzesznika." Obraz ten przedewszystkiém wskazuje pewien ujemny zwrot w twórczości autora. Porzuciwszy dawny swój koloryt, Żmurko chciał być efektownym, chciał bić barwą w oczy, chciał udoskonalić się i... zatracił to co w pewnéj mierze indywidualnym go robiło,—zamiast dawnych nieco monotonnych i przyćmionych tonów, co jednak lepiéj odpowiadały rodzajowi jego kompozycyi, dał obraz pełen krzyczących, ostrych barw; to przecież nie ratuje koloryzacyi zawsze ponuréj, jakimś zimowym chłodem wiejącéj.

Te symboliczne postaci, ubrane w efektowne dekoracyjne draperye, o istotnie miękkich, wytwornych tonach,—odcinają się jednak na groźném, pochmurném niebie jaskrawemi, niemiłemi barwami, które oświeca jakby na urągowisko dalszym planom, jakieś greckie, pełne ciepła słońce...

Kompozycya sama wskazuje wyraźnie zlecenie obstalunkowe, czuć tu jakieś skrępowanie myśli, nagromadzenie postaci, bądź żądane

grzechy wyobrażać mających, ale z których żaden za siebie nie mówi... chyba łakomstwo, pożerające farby, i chciwość cisnąca złoto do łona.

Postać starca skomponowana konsekwetnie, jest jedynie dobrą w tym obrazie, którego efekt ogólny silnie osłabia banalne, wiszące w powietrzu z nieodzowną kosą i klepsydrą w ręku uosobienie czasu.

Drzewo po za starcem, malowane zbyt płasko i pobieżnie, postaci dalsze, zgrupowane razem, dość szkicowo traktowane, wskazują jasno że autorowi szło tu o jedno: o podniesienie ubogiego, ciemnego kolorytu efektownemi draperyami, dla których wszystko poświęcił. I otrzymał wzamian parę dobrze wystudyowanych fałd, ale zatracił myśl całą obrazu.

Wogólności lepszym, więcéj do jego talentu dostosowanym był koloryt dawnych Żmurki obrazów,—nie powiodła mu się ta próba, lepiéj więc za przykładem tego starca we wspaniałym futrzanym płaszczu, przypomniéć sobie dawne grzechy... i do nich powrócić...

Z pomiędzy reszty wystawionych obrazów, na dwa portrety p. Lentza zwrócić muszę uwagę.

O wiele lepsze od wystawionego w Salonie artystycznym portretu, obie te kompozycye wskazują pewien zwrót ku lepszemu twórczości autora. Jeden z nich (portret mężczyzny stojącego) malowany z siłą, rysowany poprawnie, ma dużo bardzo charakteru w tém traktowaniu szerokiém, o które usilnie stara się p. Lentz. Uniknął tu téż autor przeszarżowania efekcikami świetlnemi, dał więcéj płaszczyzn, zamiast plamek wibrystycznych — słowem stworzył rzecz dobrą, na rzetelne uznanie zasługującą. Dobrym téż jest drugi portret (p. G.), ręce tylko są nieco za realistycznie traktowane, zbyt téż dużo półświatełek na twarzy i ubraniu.

P. W. Wielogłowskiego „Polowanie *par force* na jelenia”, to tuzinkowy, niby sportowy obrazek, jakich setki sprzedają wędrowni kramarze w niemieckich oleodrukowych odbitkach.

Bardzo dużo uczucia, spokoju, staranności w malowaniu i studyowaniu ma pejzażyk Wankego „Przed burzą”. Burza tam istotnie nadciąga w téj groźnéj chmurze, co się na horyzoncie kotłuje, zaciemniając i ponuro oświecając cały krajobraz.

„Rybacy” p. Kędzierskiego są jakby pamięciowym fragmentem dawniéj widzianego pejzażu. Zapomnienia i niedokładności autor podociągał efektownemi plamami, któremi tak przebarwił swój obraz, że jest niemal niezrozumiały.

Pawliszaka „Szeik Barbaszytów” jest jednym z wielu obrazków bez głębszéj myśli i celu. Kawałek płótna zapełnia tu szczęśliwie

grupa kilku konnych w dobrym kolorycie, barwnie utrzymanych, traktowanych jednak nieco szkicowo. Takie obrazki, zarówno jak „Polowanie *par force...*” chybiają celu. Po co malować mając talent i pretensyę do artyzmu takie wykrawki scen banalnych, które nic o indywidualności autora nie mówią, na które szkoda tylko czasu i studyów. Od artysty wymaga się dania myśli, idei jakiéjś, zamkniętéj w barwy i kształty, nie zaś koloryzowania mniéj lub więcéj szczęśliwego epizodów zdjętych momentalnym aparatem fotograficznym!

F. Jasieńskiego „Zadymka” jest studyum dobrze mówiącém o pracowitości młodego artysty.

P. Wasilkowskiéj dwa portrety pastelowe odrazu rzucają się w oczy. Bardzo miłe w kolorycie, mają wielką miękkość i barwność tonów, szczególnie w traktowaniu sukni, grzeszą zaś nieco drobnemi usterkami rysunkowemi.

P. Badowskiego portret mężczyzny jest za to niemiły w tonie i bardzo słabo narysowany.

Rapacki wystawia trzy pejzaże, z których najlepszym jest „Droga do Hall w zimie” pełna prawdy i subtelności w malowaniu.

Dziwi za to Chełmińskiego „Przejście wpław armii Napoleona.” Porywając się na obraz niemal historyczny, autor powinien był pamiętać, że nie dość jest przerysować mundur lub dać sylwetkę czegoś siedzącego na koniu o potwornym łbie, czegoś co ma być Napoleonem dlatego, że ma słynny trójgraniasty kapelusz na głowie; nie dość jest wziąć jednego konia o potwornéj, jak powiedziałem, głowie i malować go raz na siwo, to znowu na gniado, aby dać obraz przejścia armii, aby dać ruch, życie i prawdę.

Wszak ci wojacy są wprost dziwni ze swémi uśmiechniętemi zadowolonemi minami, gdy po szyję siedzą w wodzie, i to zimnéj wodzie! Wierzę w zapał armii małego kaprala, ale wątpię aby szedł tak daleko, żeby ogrzewał krew wojska nawet w czasie takich przymusowych kąpieli.

Zresztą, pomijając te okoliczności, widzimy wszędzie niemal jedną twarz, tu z wąsami tu znowu bez; autor nie silił się na rozmaitość, lecz i to mu przebaczyć można; ale czy jest do wybaczenia nieznajomość rysunku i perspektywy dla malarza dającego tak wiele wymagający obraz?

Żeby skończyć z malarstwem muszę jeszcze zanotować dwie śmiałe ale niezrozumiałe fantazye p. Ed. Okunia. Malowane rzutnie, z pewném zaniedbaniem rysunkowém, obie te postaci kobiece dobrze odbijają od złotawego tła, podniesionego zręcznie przez efektowne draperye.

A. Kurzawa przypomniał się ogółowi nową, długie godziny pracy pochłaniającą rzeźbą „Pierwsza garść Bogu.”

Stojąc przed tą postacią chłopa, co zdjąwszy kapelusz, wzniósł oczy do nieba i z modlitwą na ustach, w roztwartą skibę matki-ziemi pierwszą garść ziarna rzuca, — mimowoli smutne przychodzą myśli do głowy.

Widzi się tu przed sobą dzieło człowieka co czuje, co rozumie, — co odczuwa artyzm całą duszą, człowieka co jest artystą w każdym calu, człowieka, co tworząc te postaci, szmat swéj indywidualności w niéj zostawił, pojmując, rozumiejąc jak nie każdy z nas zrozumie to uczucie, które miéć musi chłop, dziecię natury, gdy wyszedłszy rankiem na pierwszy siew, błaga Niebiosa o plon obfity...

I jako myśl, jako skomponowanie, jako treść, praca ta jest kapitalną. Taką rzecz mógł stworzyć tylko ten, co się urodził wśród tych ludzi, co jak oni żył tém życiem pracy ciężkiéj nad czarną ziemią, kroplami potu pokoleń całych skropioną. I jest tam siła, moc, co imponuje. Jest tam jakiś powiew geniusza... o złamanych skrzydłach, niestety.

Jeślibym miał powiedziéć całą prawdę o pracy tego dzisiaj schorowanego, złamanego życiem artysty—tobym rzekł—patrzcie się tylko na tę rękę prawą i myślcie o całości, nie patrząc się na nią.

Myśl jest przepyszna, ręka jako wykonanie jest niemal doskonałością.

Kurzawa postać tę sklecał powoli, mozolnie, robił ją kawałkami, które następnie dopasowywał i zlepiał. I lepianką świetnych szczegółów jest ten siewca. Ale całość szwankuje. Nieproporcyonalność na każdym uderza kroku.

Nie ma ogarnięcia całości, w technice wyrobienia bawiącego się szczególikami artysty, a nie mogącego już dziś niestety ogarnąć całości.

W każdym razie, pomimo licznych wad, pomimo nawet nieco karykaturalnéj całości tego chłopa, zbyt grubego na zbyt nizkich nogach, pomimo wszystkich usterek, „Siewca” jest dziełem nietuzinkowém, wobec którego bledną lepianki bezmyślne; ginąc w cieniu tego olbrzyma, od którego bije moc i siła prawdziwego natchnienia, poryw szczeréj poezyi ludowéj, myśl głęboka spaczona wadliwą, chorobliwą techniką, co daje olbrzymie wady obok genialnych zalet.

Kończąc swój przegląd, nie mogę się powstrzymać od powiedzenia słówka o wystawie afiszów. Wszechwładna dziś reklama na każdym rogu ulicy, na każdym skrawku ściany rozlepia olbrzymie, pstre

plakaty, które jak u nas, mogą wprost do rozpaczy doprowadzić czułych na piękno widzów.

Przyczyna?

Prosta! Oto nikt z naszych artystów zdecydować się nie może na namalowanie afisza, jakby dobrze skomponowany i artystycznie wykonany plakat ubliżał jego artystycznej działalności i godności.

Otóż wystawa afiszów pokazała nam czém są zagraniczne afisze, jacy artyści zajmują się ich malowaniem i jak piękne tworzą rzeczy.

Miejmy więc nadzieję, że lekcya ta posłuży, że nakoniec pojmą i u nas, iż po afisz iść można do „artysty-malarza", a ten odmówić nie powinien o ile jest artystą prawdziwym, dla którego każda praca może być polem do dzieła iście artystycznego.

Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki.



Nowe studyum o Ibsenie.

Wpływ Ibsena na literaturę naszą nie pozostawił — przynajmniéj dotąd—wybitnych śladów. Pomijając nieudatne próby w tym kierunku — mielibyśmy właściwie tylko jako dzieło do zaznaczenia, którego układ sceniczny, ton i pełnia dyalogu—wskazują niewątpliwie pewne pokrewieństwo duchowe z utworami Ibsena. Dziełem tém jest „Jakób Warka" D. Zglińskiego. Zresztą przeminął „kult Ibsena" (jeśli u nas o jakimkolwiek „kulcie" literackim może być mowa) prawie niepostrzeżenie, pozostawiwszy po sobie spalony do szczypty kadzideł w formie mniéj lub więcéj dobrych studyów o Ibsenie: W. Engeströma, J. Krauasharowéj (w „Prawdzie" z r. 1887); dr. S. Wollenera (Lwów 1888); W. Marrenowéj, dr. H. Biegeleisena (1891), J. I Zielińskiego, W. Bogusławskiego (1891) i in. Powiadam „kadzideł," pomimo, że niektórzy z autorów powyższych, mówili o „szkodliwym" wpływie Ibsena i wypowiadali wojnę zaciętą jego „szkole"; gdyż po za frazesem o téj rzekoméj szkodliwości, krył się u wszystkich podziw i uznanie dla niepospolitego talentu znakomitego poety norweskiego; ba, nie pomówi mnie chyba o przesąd nikt, gdy rzeknę, że ci właśnie autorowie, którzy najbardziéj wystąpili u nas przeciwko Ibsenowi — jak najbardziéj przyczynili się do rozpowszechnienia znajomości dzieł jego i spopularyzowania jego imienia, a to dzięki nietajonemu podziwowi, z jakim w rozprawach swoich uchylali czoła przed potężnym geniuszem samotnika z Skien.

I dziwić się temu trudno. Po wielkich pieśniarzach romantyzmu— nie było poety, któryby tak umiał trafić w strunę drgającą życia spółczesnego, poruszyć najżywotniejsze zagadnienia społeczne, dotknąć najboleśniejszych ran, niezabliźnionych jeszcze z czasów wielkiego przewrotu myśli i ducha—jak Ibsen. Nie było poety, któryby tak trafnie i świetnie w dziełach swoich przedstawił wszystkie, małe czy wielkie, rzewne czy śmieszne, ale rzeczywiste, duchowi epoki odpowiednie tęsknoty współczesnéj klasy rządzącéj. Téj klasy, która po wiekach upokorzenia dorwała się nareszcie władzy w dziedzinie ekonomii i filozofii i na każdéj z nich wycisnęła niezatarte piętno swojego władztwa:—manczesteryzm i liberalizm materyalistyczny.

Henryk Ibsen, to jeden z najwybitniejszych — a raczéj najwybitniejszy przedstawiciel kierunku mieszczańskiego w literaturze. Liberalizm jego wyższy jest znacznie od tego, który wyznają urzędowi teoretycy mieszczaństwa w swoich teoryach filozoficzno-społecznych; urządzenia społeczne klasy, z któréj sam wyrósł, nie są dla niego przedmiotem bezwzględnéj czci i hołdu; owszem najwybitniejsze dzieła jego zawierają gryzącą krytykę całego ustroju mieszczańskiego, w któréj Ibsen chętnie obnaża mieszczańskie „ideały" z kłamliwych osłonek, ukazując w wstrętnéj nieco brzydocie; mimo to jednak autor „Dzikiéj kaczki" nie przekracza nigdzie w krytyce swojéj granic, zakréślonych programem liberalizmu, choć nadaje sobie pozór zacietrzewionego radykała; a gdy w ciasnych ramach mieszczańskiego zakresu pojęć i myśli tchu mu zabraknie — zręcznym lub rozpaczliwym rzutem tonie w mgłach nieuchwytnych mistycyzmu i szuka rozwiązania bolesnych zagadek w tajemnych krużgankach domysłów—o czwartym wymiarze! Naturalną jest rzeczą, że w takich warunkach, radykalizm Ibsena zmienia się wobec niemożności rozwiązania dręczących go zagadnień— w ponury, beznadziejny pesymizm, przejmujący zgrozą naszych, zwłaszcza, krytyków Ibsena. Pesymizm ten nie jest atoli konsekwencyą jakiegoś poglądu filozoficznego; nie nirwana jest jego celem, ani miłość ogólno-ludzka (Shelley'a) jego źródłem; jest on raczéj wynikiem oburzenia na głupotę czy nikczemność ludzką w tych granicach, w których Ibsen ludzkość widzi zamkniętą: a więc w mieszczaństwie współczesném. Na nikczemność tę, zdaniem poety, nie masz rady w naszym świecie; chyba gdzieś w nadziemskich regionach szukaćby trzeba przeciwko niéj pomocy. Ten „pesymizm z oburzenia"—jak go właśnie nazwał Brandes, jest sympatycznym objawem szlachetnych porywów poety i dowodem, że mu ciasny okrąg poglądu mieszczańskiego na świat nie wystarcza, ale groźnym pesymizm ten nie jest i śmieszną jest trwoga owych pogromców Ibsena, którzy z drżeniem ostrzegają poczci-

wą publiczność przed zgubnym jadem zwątpienia, sączącym się z dzieł poety fiordów i borów norweskich.

Nie jest wolny od téj dreszczem przejmującéj zgrozy i dr. Ludomir German, autor najświeższego w polskim języku studyum o Henryku Ibsenie (Lwów, 1895). Dla niego jest autor „Peer Gynta” zimnym, strasznym w obojętności swojéj chirurgiem, „który bierze pod mikroskop i pod nóż jakiś objaw życia i poczyna go badać niby spokojnie, niby tylko jako baczny spostrzegacz; zdejmuje z niego tę zewnętrzną powłokę, którą świat zwykle tylko widzi i ocenia, bada drgania muskułów i nerwów i stara się dojść, skąd te ruchy pochodzą, jaki ich powód i jakie wywołują skutki.” W ciągu téj badawczéj pracy, zda się, jakby powstawała w nim namiętność do dalszego sekcyonowania, nie odkłada więc noża, ale tnie nim daléj i kraje żywe ciało; kiedy mu się zdaje, że jest już psychologiem, że już bada tajemnicze ludzkiéj duszy głębiny,—on zawsze (zdaniem d-ra Germana) jest tylko jeszcze anatomem, a co najwyżéj patologiem! — Pesymizm Ibsena, to sobie najzwyklejszy *spleen*: „społeczne i towarzyskie stosunki Chrystyanii z jednéj, a osobiste stosunki z drugiéj strony i zawody spowodowały ten bujny rozrost pesymizmu.” W dramatach swoich stawia on zawsze pewne tezy z góry obmyślane, które potem logicznie przeprowadza etc. Słowem dr. German widzi w Ibsenie świadomego szerzyciela pesymizmu, który dla zohydzenia nam urządzeń i ludzi sympatycznych i odpowiadających naszym pojęciom, posługuje się złośliwym fortelem, polegającym na tém, że to, „co najbardziéj zohydzić pragnie, w najpiękniejsze ubiera przymioty, aby tém jaskrawiéj okazać ich nicość wewnętrzną i nicość tych przymiotów i wszystkiego, co się w ludziach ceni i szanuje.”

To z gruntu fałszywe pojęcie, jakie dr. German ma o pesymizmie Ibsena—stanowi tło całéj jego rozprawy, w któréj poddaje sumiennemu rozbiorowi utwory norweskiego pisarza. Nie dziw, że na takiém tle, zarówno poglądy Ibsena, jak i jego twórczość poetycka nabierają szczególnéj barwy. I choćbym chciał studyum d-ra Germana uznać za dzieło rzeczywiście sumiennych badań — sądów w niém zawartych w żaden sposób podzielić bym nie mógł.

Jak wszyscy przeciwnicy téj szkoły, któréj najwybitniejszym wyobrazicielem w literaturze współczesnéj jest Ibsen, nie zapomniał dr. German zastrzedz się stanowczo przeciwko mniemaniu, jakoby lekceważył sobie lub choćby tylko nie dość wysoko cenił talent znakomitego poety. I pod tym względem przyznać trzeba, że dr. German umié „oddać cesarzowi, co cesarskie.” Jest tedy Ibsen dla niego „pisarzem głębokim, wielkim obserwatorem i nader zdolnym w charakte-

rystyce (*sic*), a przytém zapalonym szermierzem prawdy i „wewnętrznego oswobodzenia się”, szermierzem wolności woli (?), posiadającym pióro pełne gryzącéj, zjadliwéj ironii.” Wielką zaletą Ibsena i dowodem jego wysokiego uzdolnienia dramatycznego jest, że chociaż stawia sobie pewną tezę z góry (cytuję słowa dra Germana) — mniejsza na razie o to, dobrą, czy nie, prawdziwą, czy nie, paradoksalną, czy uzasadnioną — jednak mimo całéj konsekwencyi budowy dramatu, umié on postacie swoje przedstawiać z różnych stron, nadawać im cechy takie, że nietylko téj jednéj tezie służą, że nie stają się maryonetkami w służbie tendencyi, ale są ludźmi. A co więcéj, ludzi tych nie daje gotowych na scenę, ale każe im się w danéj sytuacyi rozwijać, rosnąć lub maleć, tak, że przyznać trzeba, iż z ludźmi o danych tych właściwościach, które dał im poeta, w danych sytuacyach istotnie to stać się musiało, co się stało...” Zaleta ta jest cechą talentu Ibsena.

Z tym sądem o Ibsenie niezawodnie zgodzi się każdy znawca dzieł jego, bez względu na to, czy z ideami wyrażonemi w nich się solidaryzuje lub je potępia. Jakąż jednak wartość będzie dla niego miał sąd ten, skoro o kilka stronnic zaledwie przed tém dr. German tak charakteryzuje twórczość pisarską Ibsena: „Poezya jego ma wszystkie cechy poezyi emigranckiéj: żal, uprzedzenie niezwalczone, wysoki piedestał sędziego — tak wysoki i od narodu swego daleki, że chociaż chce prawdy dojrzéć, popada w błędy — pisanie raczéj na domysł, zaciekanie się we własnéj fantazyi, niepodsycanéj obrazami ojczyzny, rozlubowanie się w utworach téj fantazyi, odrywanych coraz bardziéj od świata rzeczywistego, a stąd przejście w świat mistycyzmu lub — jak nowszy termin chce — symbolizmu. Dodajmy do tego zaprawę goryczy i metodę obserwacyi niby naturalistycznéj, a będziemy mieli ogólną charakterystykę utworów Ibsena.”

Nie jedyna to sprzeczność w sądach dra Germana o Ibsenie; zrozumiała jednak wobec mylnego pojęcia jego o pobudkach całéj twórczości i głębokości przekonań poety norweskiego.

Dla dra Germana nie istnieje wcale Ibsen-myśliciel, szarpiący łono swe ze zwątpienia, wijący się z bólu nad niemożnością rozwiązania dręczących go zagadnień, borykający się z zaporami mieszczańskich poglądów na świat i ludzi a nie umiejący ich przeskoczyć. Rozpaczliwa ucieczka poety w krainę ułudy mistycznéj, szukanie tam ukojenia i zaspokojenia pytań, na które w granicach ciasnego materyalizmu burżuazyjnego nie mógł znaleźć odpowiedzi — oto w oczach dra Germana wynik zbytniego „rozlubowania w utworach fantazyi.” Nie dziw też, że w ramach takiego pojęcia twórczości krytyka poszczególnych utworów jego, pomimo sumiennych usiłowań, niezawsze okazała się trafną.

Charakteryzując swoją twórczość, Ibsen sam bardzo trafnie określił ją w słowach: „Ja zadaję tylko pytania — odpowiedź nie do mnie należy.” Zdanie to doskonale da się zastosować do wszystkich dramatów Ibsena, w których dopatrzéć się można bodaj najlżejszéj aluzyi do stosunków współczesnych, a więc nawet do jego poematów dramatycznych, jak „Brand”, „Peer Gynt” i „Cezar i Galilejczyk.” Ktoby dramata Ibsena chciał brać takiemi, jakiemi się one na pierwszy rzut oka przedstawiają widzom lub czytelnikom, to znaczy, ktoby chciał zdania i maksymy, wygłaszane przez postaci sceniczne, uważać za żywe słowo samego poety, znalazłby się w labiryncie najdziwniejszych sprzeczności, z którychby nie mógł się wydostać, tak samo, jak nie mógł się z nich wydostać dr. German. Konieczną bowiem jest rzeczą uprzytomnić sobie i pamiętać o tém dobrze, że Ibsen jest „poetą problemów”, jak nim musi być każdy poeta-myśliciel, ale nie jest propagatorom tendencyi społecznych, ani filozoficznych, a tém mniéj politycznych. Od Björnsena i jego adherentów odróżnia go wybitnie obiektywny spokój obserwatora, który zjawisko dane widzi i reprodukuje z artyzmem niepospolitym, ale się do niego ani nie zapala, ani nad nim nie załamuje rąk. Wykazuje on je tylko z uśmiechem gorzkiego politowania, w którym kryje się oburzenie myśliciela na małostkowe zabiegi ludzi codziennych, ale nie ma w tém oburzeniu apostolstwa poprawy, jest owszem rezygnacya pesymistyczna, wypływająca z poglądu poety na świat i ludzi, zawartego w ramach, które określiłem już powyżéj.

Jeżeli więc bohater poematu dramatycznego „Brand” wygłasza zasady bezwzględnéj supremacyi woli nad uczuciem, tchnące już nie abnegacyą, ale dzikiém okrucieństwem, jeśli woła. „że serce nasze to świat wrogi, który nam zagraża, a kto przeciwko niemu walkę toczy, ten zwyciężyć musi” (akt II, scena 2), lub gdy jako zasadę stawia zdanie, że „gdzie siły nie ma, nie ma powołania” (ibidem), albo wreszcie wartość życia widzi w zupełném zrzeczeniu się wszystkich nadziei i uciech — nie znaczy to jeszcze, iżby poeta sam propagował jego poglądy, pomimo, że obok zdań w rodzaju powyższych, wkłada bohaterowi swemu w usta prawdziwe perły mądrości, sprzeciwiające się im nawet niejednokrotnie.

Podobnież i „Peer Gynt”, który wedle własnego objaśnienia autora ma być personifikacyą narodu norweskiego, chorującego na „nadmiar fantazyi”, nie może uchodzić za wyraz zapatrywań poety na życie i zadania narodu; tak samo, jak Julian Apostata w „Cesarzu i Galilejczyku” nie wypowiada przekonań autora, jakkolwiek skąd inąd wiadomo, że Ibsen w chrystyanizmie widzi zaporę kultury.

Do najdziwniejszych atoli rezultatów doprowadziło ogół krytyków owo fałszywe tłómaczenie intencyi autora, gdy przedmiotem ich dociekań stały się t. zw. dramata i komedye spółczesne Ibsena. Jakież to oskarżenia miotano na autora „Nory” za to, że dramatem swym dał pobudkę do dziwacznego ruchu emancypacyjnego wśród kobiet. Wszak są do dziś dnia pisarze, którzy Ibsenowi zarzucają winę wszystkich zboczeń i dziwactw, zabarwiających dzisiejszą t. zw. „sprawę kobiecą.” W pierwszym rzędzie należy do nich autor potężnego protestu przeciwko powadze wpływu niewieściego na życie publiczne, znakomity poeta szwedzki, August Strindberg, który w swéj „Spowiedzi głupca” wprost oskarża Ibsena o deprowacyę kobiet skandynawskich. Jak gdyby autor „Nory” w całym szeregu dramatów późniejszych, począwszy od „Dzikiéj kaczki” i „Oblubienicy morza”, a skończywszy na „Heddzie Gabler”, „Mistrzu Solnessie” i „Małym Eyolfie”, nie był dosadnie wykazał tym, którzy koniecznie chcą dopatrywać się w dramatach jego propagandy pewnych idei, że zna on także kobiety inne, niźli „Nora”, i stosunki domowe, w których złym duchem jest nie mężczyzna-tyran”, ale „demoniczna” niewiasta, poświęcająca dla chimer swoich życie rzekomo uwielbionego mężczyzny lub nie umiejąca niskich instynktów swoich wznieść nad poziom małostkowego przywiązania do lalek („Solness”); kobieta, która dla upodobań estetycznych z odrażającym egoizmem rzuca na pastwę śmierci człowieka, wyższego od siebie, dla tego tylko, że jego wyższość ją przygniata („Hedda Gabler”), albo za miłość i przywiązanie serdeczne odpłaca mu czarną niewdzięcznością („Oblubienica morza”), a jeśli miłością za miłość odpłaca, to po za czysto zmysłowym popędem fizycznym innego uczucia nie zna i na inne zdobyć się nie umie („Mały Eyolf”). Czyż nie należałoby temi typami kobiecemi przynajmniéj zrównoważyć „grzechu”, jaki popełnił Ibsen końcową, psychologicznie nieumotywowaną, a technicznie wprost nieudolną sceną dramatu „Dom lalki, czyli Nora”, gdzie kobieta, popełniwszy z miłości dla męża fałszerstwo wekslu i naraziwszy w ten sposób jego dobre imię, oburza się w dodatku na niewdzięcznika, który w pierwszém uniesieniu, zamiast całować ją po rękach za czyn bohaterski, wyrzuca jéj nieoględność, która omal nie złamała im obojgu życia? Zresztą wolno nam dzisiaj przypuścić, że cały ten zwrot w dramacie Ibsena nie był czém inném, tylko złośliwym żartem ze społeczności, która stworzyła sobie instytucyę małżeństwa, opartego na zasadzie zbliżonéj do niewolnictwa, a pełnéj obłudy i kłamstwa; żartem tém złośliwszym, że sam autor jego nie widział możności wybrnięcia z tego bagna moralnego, gdyż sam po za otaczające je wały społeczne nie sięgał okiem; żartem wreszcie, wypływającym ze szczerego oburzenia poety, przesią-

kniętego beznadziejnym pesymizmem, t. j. z owego właśnie „pesymizmu z oburzenia” (*Entrüstungs-Pessimismus*), o którym wspomina Brandes.

Tego jednak nie wiedział dr. German, gdy pisał swoje studyum, to téż biednego Ibsena spotkał w niém nowy cios w formie zarzutu, że on to dopuścił się zbrodni, wywołując aberracyę emancypacyjną w umysłach niewiast, których zadaniem jest pielęgnowanie mężów i przyrządzanie im obiadów, słowem staranie o przypodobanie się swoim panom i władcom. W oczach d-ra Germana dzieje się zresztą mężowi Nory Torvaldowi, niesłychana krzywda ze strony autora, ponieważ tenże w téj jednostce „nadzwyczajnie sympatycznéj”, będącéj typem „uczciwego i prawego mężczyzny”, „szanowanéj powszechnie dla nieskazitelnego charakteru”, „nie cierpiącéj żadnego fałszu”, „lękającéj się długu” (*sic*! cytuję ciągle te epiteta *ornantia* z studyum d-ra Germana), „wykształconéj wysoko, mającéj téż wstręt do wszystkiego, co nie piękne, co brudne i podłe”—w jednostce „któréj obecność człowieka nieczystego charakteru sprawia prócz obrzydzenia moralnego także jakąś dolegliwość fizyczną” — wykrył jedną nie tyle (dla d-ra Germana) szpetną ile ośmieszającą (skutkiem niepoczciwych intencyi poety) wadę, a tą jest — że użyję najtrafniejszego określenia:—bezgraniczne filisterstwo zacnego Torvalda.

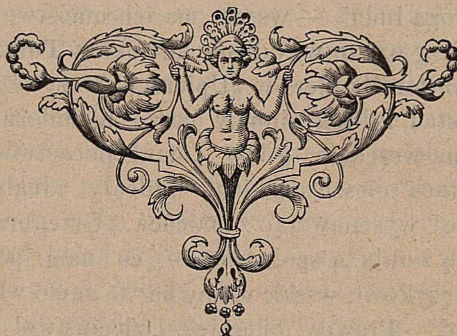
Owóż ta właśnie krzywda, któréj się Ibsen wiele dopuszcza na swych „bohaterach”—podnosi znaczenie jego dramatów; wskazuje ona bowiem, że poeta nie potrzebuje szukać anormalnych objawów obłudy ludzkiéj; że wystarcza mu rzucić okiem na „najpoczciwsze” podpory dzisiejszego społeczeństwa, aby w nich i naokoło nich odkryć całe bagno kłamstwa, osłonięte płaszczem filisterskiéj dobroduszności. I nie potrzeba mu nawet sięgać aż po takie wydatne filary mieszczańskiego „porządku” jak konsul Bernik z „Podpór społeczeństwa,” lub burmistrz Stockmann „z Wroga ludu” — wszak ma ich mnóstwo całe pod ręką, gdziekolwiek spojrzy czy to w rodzinie adwokata Torvalda, czy szambelana Alvinga (pastor Manders w „Upiorach”); czy téż u stolika dziennikarskiego (Haustad, Billing) lub w biurze technicznéw (budowniczy Solness) — słowem wszędzie, gdzie „ideał poczciwości” zapanował w sercach i umysłach mieszczańskich. „Ideały, ideały!”—woła Ibsen w „Dzikiéj kaczce” wyśmiewając zapaleńca, „Grzegorza Werle, który chce podjąć walkę z obłudą społeczną — „co nam po tych słowach, obcych naszemu językowi; wszak mamy na to samo własne trafne wyrażenie: kłamstwa!” Prawdy chcecie? Dzieciństwo! prawdy nie ma między wami; wszak widzicie, że to, co wam się prawdą wydaje —

kłamstwem jest i obłudą; — po cóż się tedy łudzić, skoro wiemy wszyscy, że wszystko jest marnością?

Oto „teza", którą Ibsen przeprowadza—że użyję słów dr. Germana—w swoich dramatach, owa teza, któréj w każdym jego utworze z osobna poszukują pilnie a zwykle daremnie jego krytycy, łamiąc sobie głowę nad niewytłomaczonemi „przeskokami" poety od romantycznéj legendy do satyry społecznéj, od komedyi obyczajowéj do alegoryi mistycznych; a zapominając o tém, że mimo tych zwrotów w twórczości Ibsena, nie zaciera się przez nie, ani w nich: indywidualność poety, co najwyżéj może, zmienia się jego *credo*—wiara w zwycięstwo dobréj sprawy (którą może żywił w młodości), malejąc i przechodząc w końcu w zwątpienie.

Studyum d-ra Germana wyróżnia się z całego szeregu podobnych prac tém, że autor nie poprzestaje na zdaniu innych krytyków, lecz sam szuka uzasadnienia dla sądów swoich o Ibsenie i jego twórczości w utworach poety norweskiego. Sądy te mogą być mylne lub nieścisłe; ale sumienności odmówić im nie można. Sumienność zaś jest zaletą, niestety, obecnie rzadką w krytyce twórczości poetyckiéj, że liczyć się z nią i cenić ją wysoko należy. Książka d-ra Germana posiada oprócz tego i tę ważną zaletę, że mimo zbytniego może przeładowania wyjątkami z dramatów Ibsena, podanym w niezbyt starannym przekładzie, czyta się ją z zajęciem i może ona czytelnikowi, nie obeznanemu z dziełami poety, dać jeśli nie trafny, to w każdym razie wyczerpujący obraz twórczości znakomitego poety.

Dr. Ignacy Suesser.



Ścizna poprzednika.

Konwencya narodowa, po uchwaleniu w d. 25 października 1795 r. ustawy ogólnéj o wychowaniu publiczném i wydaniu dekretów dotyczących organizacyi instytutu Francyi, szkół wyższych fachowych i centralnych, rozwiązała się nazajutrz. Nowy parlament, złożony z senatu (250 członków) i rady pięciuset, rozpoczął czynności d. 30 tegoż miesiąca. W początkach listopada ustąpił wreszcie komitet ocalenia publicznego; władzę wykonawczą objął po nim dyrektoryat, który wkrótce przeobrazić się miał na konsulat, jako przejście do dyktatury napoleońskiéj i pierwszego cesarstwa.

Przewrot się dokonał; rewolucya wyrzekła ostatnie swoje słowo. Zamknęły się roczniki wieku XVIII. Jesień 1795 r. jest zatem najodpowiedniejszą chwilą do ocenienia plonów, przekazanych w spuściznie naszemu stuleciu przez wulkaniczne wybuchy jego poprzednika — od r. 1789.

Orężnie Francya zwyciężyła stanowczo. Wynik jéj wysileń wojskowych, w celu stawienia czoła Europie skoalizowanéj, wyraził się w tém, że rzeczpospolita faktycznie zdobyła sobie ową granicę „naturalną", która na mocy jednomyślnego postanowienia konwencyi z d. 1 października, zwać się będzie granicą „konstytucyjną." Bieg Renu oddzielać odtąd ma „na wieczne czasy" posiadłości Francyi od dzierżaw jéj sąsiadów wschodnich. Belgię, Sabaudyę, Nizzę przypuszczono do jedności państwowéj; Holandya i prowincye nadreńskie, zagarnięte

prawem podboju, oraz kilka drobniejszych kawałków ziemi kresowéj, odciętych od Piemontu i Hiszpanii, oczekiwać jeszcze muszą na ostateczne rozstrzygnięcie swych losów z Paryża. Przestano i tu i tam oglądać się na mocarstwa sprzymierzone, odkąd znikła wszelka nadzieja zbrojnego poskromienia republikanów nadsekwańskich. Jakoż niezadługo zewsząd posypały się oferty zgody i pokoju. Holandya zniosła u siebie stadhuderat, oddając wszystkie swe siły do rozporządzenia zwycięzców. Sardynia poprosiła o pardon. Hiszpania opłaciła otrzymane cięgi ustępstwem części wyspy San-Domingo. Najdotkliwszy atoli cios spadł na koalicyę ze strony Prus, kiedy się dowiedziano, że traktatem przez połowę sekretnym, zawartym z rzecząpospolitą w Bazylei (5 kwietnia 1795), „wiarołomny ten sojusznik", jak go od lat dwóch stale nazywano w Londynie i Petersburgu, zawarował sobie i Niemcom północnym neutralność w zamian za przyrzeczone Francyi ustępstwo lewego brzegu Renu. Na placu pozostawały jeszcze jedynie Austrya i Anglia, ale i one od niejakiego czasu większą bez porównania ufność pokładały w nieuniknionych, jak zapewniano, wewnętrznych klęskach Francyi, niżli w trwałości i spoistości zaczepnych działań wojsk swych uszczuplonych i wodzów zdemoralizowanych [1]).

Rachuby na domowego wroga rewolucyi nie były całkiem płonne. Konwencya, zanim się rozwiązała, miała przed sobą do spełnienia zadanie stokroć cięższe jeszcze być może od tego, jakie wypływało z potrzeby zasłonięcia Francyi od obcego najazdu. Katylina ciągle stał u wrót, pomimo, że od dawna stracono i Marata i Dantona i Robespierre'a. Dwory zagraniczne widziały z daleka nowe to widmo. Cesarzowa Katarzyna, w instrukcyach i listach do swego ambasadora w Berlinie (Alopeusa, następnie Kołyczewa) nie przestawała wykazywać, w celu odciągnięcia króla pruskiego od bratania się „z rozbójnikam i królobójcami", że zasada republikańska sama z siebie jest czcza, zwodnicza, omylna, zgubna, „témbardziéj — pisała — u narodów tak zapalnych i zmiennych, jak Francuzi." Republika nigdy nie zdoła zapobiedz w swém łonie pokusom, od jakich wolni są wierni poddani monarchów. A więc „zarówno zdrowy rozsądek, jak i dobrze zrozumiany interes rządów ustalonych, zabraniają popierać dzieło obłąkania i okrucieństwa ludu francuskiego, zabraniają pomagać mu przy wznoszeniu gmachu skazanego od posad na upadek i ruinę." Gabinet pruski pozostał wprawdzie nieczuły na te wywody; Haugwitz odpowiadał stale Alopeusowi i Kołyczewowi, że skoro tak jest w istocie, skoro budowa rewolucyjna we Francyi runie niechybnie sama przez się, to Prusy nie

---

[1]) Thugut: „Vertrauliche Briefe", I, 220 i nast.

widzą żadnego dobrego powodu wysyłać nad Sekwanę wojsk, tak bardzo potrzebnych i pożytecznych nad Wisłą... [1]). Za to Anglia najzupełniéj właściwie i dokładnie chwytała sens upomnień i przestróg źle dosłyszanych i odepchniętych w Berlinie. Jéj namowy, jéj złoto raz jeszcze rozlały się potokami po zaułkach paryskich i po „bezdennych" kieszeniach emigrantów, awanturników, jurgieltników, szukających we Francyi dawnych fortun do odzyskania lub nowych do zdobycia. Na przekupstwa i poduszczania, konwencya dopóki mogła, odpowiadała gilotyną, prochem, masowém zatapianiem statków więziennych i przewozowych. Ale rozumiała, że nie starczy jéj tych środków na długo. Kraj był zniechęcony, zmęczony; tymczasem ją samą nurtowała i wycieńczała najcięższa z odwiecznych chorób ludzkości: absolutyzm woli [2]).

Złagodzić, ograniczyć skutki własnéj wszechmocy—problemat to równie trudny, jak i kwadratura koła. Za życia konwencya nie próbowała go nawet podnosić. Ale oto zbliżał się kres jéj pełnomocnictw. Jakże teraz zabezpieczyć Francyę od dalszych następstw, zwłaszcza zaś od powtórzenia się w innych rękach, pod cudzém, niedającém się przewidzieć przewodnictwem, prawnego owego bezprawia zwierzchniczego, pod którego ciężarem załamywały się niemal codzień podwaliny i pękały ściany Rzeczypospolitéj? — Widocznie kopuła urządzeń publicznych była za masywna, za jednorodna; należało ją ociosać, należało wiązadło jéj tak usubtelnić, tak zrównoważyć, ażeby same siebie strzedz mogły od przeładowania i nadmiaru nacisku... Uczynić to mogła jedynie nowa konstytucya, różna od organicznego prawa z r. 1791 o tyle, iżby po przerobieniu dachu reprezentacyjnego i wieżyc rządowych, pozostały niższe piętra — nietknięte. Wydział, zajmujący się opracowaniem oryginalnéj téj łataniny, przedstawił konwencyi swój referat w połowie czerwca. Cały ładunek pomysłu wymierzony był przeciwko samowładztwu przyszłego przedstawicielstwa narodowego. Ponieważ naczelne kierownictwo jednego ciała reprezentacyjnego pozwalało jego przelewnéj większości wyjmować z pod prawa i skazywać na śmierć nawet te w niém mniejszości, które wczoraj jeszcze stały u steru, przeto prawodawcy z r. 1795 pragnęli zamknąć w literze przepisu takie rękojmie, ażeby najliczniejsze i najwpływowsze bodaj stronnictwo nie miało możności skazywania swych przeciwników „na milczenie..." W tym celu wyodrębniono najpierw władzę wykonawczą od ustawodawczéj; podzielono następnie tę drugą na dwie części, sprzę-

---

[1]) T. Martens, VI, 171—173.

[2]) Sorel, IV, 349 i nast.

żone z sobą w ten sposób, aby mitygując się wzajemnie, pozwalały władzy wykonawczéj ruszać się, postępować naprzód... Według czyjéj wskazówki? W tém sęk — w tém i luka. Cała administracya skupiała się w ręku pięciu dyrektorów, powoływanych z pomocą misternie skombinowanéj dwustopniowéj elekcyi przez parlament, ale od niego niezawisłych i odpowiadających w razie zgóry określonych zboczeń jedynie przed trybunałem najwyższym, przez reprezentacyę zwołanym; nawzajem, dyrektorowie nie posiadali najmniejszego wpływu na bieg akcyi ustawodawczéj, nie brali żadnego w niéj udziału. Inicyatywa pod tym względem spoczywała niepodzielnie w radzie pięciuset, zanoszącéj uchwalone przez siebie prawa do sankcyi rady „starszych,” czyli senatu, i już następnie usuniętéj, równie jak i senat, od wszelkiéj kontroli i głosu w trakcie stosowania wniosków przyjętych. Nie trudno było spostrzedz, gdzie w tym projekcie spoczywał punkt ciężkości i czém się kryła jego słaba strona, — skoro dyrektoryat stawał się w tym mechanizmie sprężyną ruchów sięgających aż do możliwości zamachu na całość systemu, zwłaszcza w razie zapewnionéj swobody wyborów powszechnych. Bądź co bądź, referat konstytucyjny przyjęto wszędzie z zapałem niekłamanym. Szczególnie w obozach pobitych: żyrondystowskich, mieszczańsko-republikańskich, umiarkowanie monarchicznych i nawet wśród rozbitków emigracyjnych, utrzymywanych na żołdzie postronnym. Nadziejom obudzonym konwencya szybko kres położyła. W końcu lipca nadbiegły wieści o pobiciu przez Hoche'a ostatniéj, sporządzonéj przez Anglię wyprawy szlacheckiéj na pobrzeża Wandei; ośmieliły one prawodawców paryskich do zrobienia kroku rzeczywiście hazardownego, do opatrzenia konstytucyi przypiskiem, głoszącym, że dwie trzecie przyszłych deputowanych wylosowane zostaną z ogólnéj liczby członków konwencyi. Podany w téj formie do zatwierdzenia ludowi szemat konstytucyjny, prowincya przyjęła bez szemrania, trzymana zawsze w twardych karbach komisarzów rządu centralnego; ale ludność Paryża, dla któréj, jak zapewniają podania, Pitt wytrząsnąć kazał z kiesek skarbowych resztki fałszywych asygnatek francuskich, uderzyła—po zwyczaju—we dzwony i poskoczyła ku Tuileryom... Przyjęto ją niegościnnie, z odległości niemal arystokratycznéj, w sposób niebywały od czasów jak rewolucya rewolucyą: kartaczami. Młody komendant wojskowego otoczenia konwencyi, mianowany na miejsce Barrasa, jenerał Bonaparte, położył trupem, w ciągu jednego dnia (13 vendemiaire'a — 4 października), w dwójnasób więcéj obywateli, niż ich pochłonęły zakładziny pierwszéj Rzeczypospolitéj, od daty zburzenia Bastylii... Ogromnie się to podobało Europie. I lubo w miesiąc później pomalowana na nowy konstytucyjny kolor konwen-

cya wezwała do dyrektoryatu samych tylko królobójców (Larevellière-Lepaux 533 głosy, Reubell 422, Letourneur 401, Barras 335, Carnot w ponowném głosowaniu, po odmowie Sieyèsa — 520 gł.), to jednak nawet król angielski przysłał powiedzieć ludziom tak przyzwoitym, że gotów jest z nimi zawiązać rokowania o zawieszenie broni. Co prawda, jedna Anglia ze wszystkich sprzymierzeńców miała z czém do tych rokowań przystąpić, jéj jednéj okroiło się w wojnie parę setek kilometrów ziemi francuskiéj na dalekim Wschodzie, z nią jedną flota Rzeczypospolitej, po doznanych klęskach, mierzyć się jeszcze mogła, aczkolwiek do współki już tylko z „niedobrowolnie zjednoczonemi" eskadrami hiszpańskiemi i batawskiemi [1]).

Ocalona w krwawém starciu arka przymierza między staremi i nowemi czasy, między dogorywającą w robespierrowskim popiele iskrą twórczości rewolucyjnéj a pierwszém błyśnięciem krzesiwka na karabinie militaryzmu napoleońskiego,—cóż naprawdę w sobie zawiérała i co przynosiła pod koniec r. 1795 na pożytek ocalonéj „cudzym kosztem" Francyi, a przez nią na pożytek Europy i reszty świata? — Dawniejsi francuscy historycy rewolucyi, Blanc, Michelet, Quinet, upowszechnili mniemanie, jakoby przewrót 1789 — 95 nie tylko zapoczątkował czwarty zrzędu okres dziejów powszechnych (po starożytności, po wiekach średnich po t. zw. czasach „nowożytnych"), ale téż rozsnuł przed nim wszystkie zasadnicze wątki postępu i przyszłości najdalszéj. Prace badaczów późniejszych za daleko znowu posunęły się w kierunku odwrotnym; Carlyle przez wygórowany purytański subiektywizm, Taine przez drobiazgowy obiektywizm reporterski zapędzili całe to morze cierpień i poświęceń na jakieś bagniska „demonizmu," na jakieś suche piaski teoretycznego wyjałowienia. Wobec ich sieczki kazuistycznéj lub erudycyjno-protokularnéj, już i wielostronnie niegdyś rozpłynięty eklektyzm i oportunizm Thiersa przybiera wdzięczną postać pewnej wiarogodności. Rzeczywistość pełna wraca dopiéro z powrotem do zaniechanéj tradycyi Guizot'ów i Tocqueville'ów, do ich racyonalizmu dogmatycznego, do ich ożywczéj metody porównawczéj. Najskromniejszy rzut „względnych," uwzględniających tych świateł na stosunki miejsc i czasów, nie podnosi wprawdzie sprawy do wyżyn ponownego objawienia na wyspie Patmos, ale téż i nie spycha jéj do pieczar przedhistorycznego zdziczenia i zamętnéj potworności. Ludzkie to są rzeczy i ziemskie ich koleje, - nie powszednie wszakże, nie powtarzające się za każdém przesileniem dnia z nocą, za każdą zmianą panowania.

---

[1]) Sybel, „Geschichte der Revolutions-zeit", t. III, str. 357 i nast.

Wyobrażenia o treści reform społecznych, prawno-politycznych i religijnych, dokonanych nad Sekwaną pod koniec wieku XVIII-go, nie były wyłącznym udziałem Francyi; w Europie zachodniéj uwaga światłych i czujnych rządów obudzona została w tym kierunku znacznie wcześniéj i wyraziła się w szeregu mniéj lub więcéj doniosłych i szybkich ulepszeń, z których część pewna utożsamiona być może ze zmianami przeprowadzonemi przez rewolucyę francuską. Zrównanie stanów i jednostek w obliczu ustaw, zniesienie przywilejów średniowiecznych, ogłoszenie praw człowieka, równouprawnienie wyznań, powołanie wszystkich obywateli kraju do używania wspólnych swobód i pełnienia wspólnych powinności,—kawałki tych pojęć błąkały się do połowy ubiegłego stulecia nie tylko po głowach filozofów i retorów ulicznych. Wytworzenie prostych i dogodnych ustrojów zarządu, ulżenie doli pracujących i podniesienie dobrobytu włościan, ograniczenie jurysdykcyi kościelnéj do spraw ściśle duchownych, usunięcie nadużyć i samowoli urzędów niższych, — zagadnienia te znajdowały uznanie i poparcie nawet u osób koronowanych, których pisarze francuscy i angielscy zaliczali w czambuł do „tyranów" i „despotów." Dzielność cywilizacyjnéj władzy krolewskiéj wystąpiła na jaw szczególnie w takich państwach jak Austrya za Józefa II, Toskania za Leopolda, Prusy za Fryderyka II; za niemi atoli pociągnęły zdala nawet Hiszpania i Neapol, gdzie usiłowano sprowadzić do *minimum* srogość inkwizycyi lub ustalić początki wychowania publicznego. Różnica w stopniu i ilości, jest niezaprzeczenie dość znaczna i na oko widoczna. Bez porównania za to większa i głębsza—pod względem jakości. W niektórych zakątkach starego lądu europejskiego, w Szwecyi np., w Danii, możnaby odgrzebać spory poczet nadań i wskazań monarszych, dowodzących gorliwéj pieczy o dobro i losy poddanych. Ale nie ma w nich śladu woli ludu, nie ma najmniejszego drgnięcia myśli, że naród sam, o własnéj sile, powinien dźwignąć się po nad poziom uciskającéj go bierności, niedojrzałości, nieudolności. W jednéj tylko Francyi—z lekkiemi odgłosami tejże natury w środkowéj Europie — zarysował się inny całkiem pogląd na źródła naprawy społecznéj, idącéj nie z góry, lecz z dołu, nie tylko dla ludu ale i przez lud. Bardzo być może, że i ten promyk znany już był nieco wcześniéj, że początków jego szukać należy w Anglii, w Ameryce północnéj; ale zgodzić się trzeba, że przepłynąwszy Atlantyk i Lamanszę, urosł on i wyklarował się na coś niebywałego pod względem energii i doniosłości. Poszło to stąd, że nigdzie na kuli ziemskiéj nie było wówczas tyle co we Francyi nagromadzonego materyału palnego. W jednéj tylko Francyi istniała wtedy liczna i zasobna kategorya ludzi zbogaconych handlem, żywo współ-

czujących ruchowi umysłowemu i literackiéj działalności współczesnéj,—a jednocześnie neutralnych, nienależących do żadnéj *ex-officio* klasy, do żadnego uszeregowanego stanu. Kontyngens tych „wykolejonych” nie tylko uzdolniony był do odczuwania i rozumienia krzywd, wyrządzanych nieuprzywilejowanym przez uprzywilejowanych, ale téż rozrządzał środkami i sposobami ku temu, ażeby się zabrać do ich usunięcia. W biédnych, zacofanych krajach reszty tamtoczesnéj Europy, wszystko, co żyło lub dyszało, garnąć się musiało do jednego z trzech odgrodzonych, opancerzonych od podłego gminu, całokształtów niezależności korporacyjnéj i albo tam gdzie szlachcic—z nieznacznemi tu i owdzie odmianami—rządził i sądził, albo — gdzie ksiądz nauczał pacierza i katechizmu, albo wreszcie — gdzie żołnierz, pospolity lub najemny, bił się za wszystkich. Ktokolwiek ujrzał się po za oparkanieniem, był niechybnie albo banitą, albo cyganem, albo żydem — *respective* różnowiercą. We Francyi długi okres niwelacyi biurokratycznéj i opałów monarchicznych powyrzucał z pomienionych zagród całe tłumy „bezetatowców,” których następnie zaciągnięto pod chorągiew i miano mieszczaństwa (*tiers-etat*), ale najniewłaściwiéj, bo mieszczuch francuski już i w owéj epoce nosił na sobie główne znamiona i barwy, składające się dziś na niezbyt zaszczytną kwalifikacyę: „burżua.” Na mieszczanach nie zbywało zresztą, jak przypuszczamy, nawet Turcyi; nie oni jednak zasadzili w r. 1792 pierwsze nad Bosforem „drzewko wolności.” Francya z końca wieku XVIII-go tém się właśnie najbardziéj wyodrębniała w rzeszy ludów europejskich, że jéj stronnictwo postępowe, liberalne, whigowskie, czy jak inaczéj je sobie nazwiemy,—słowem, stronnictwo niezadowolenia, opozycyi i inicyatywy, nic wspólnego nie miało z żadną koteryą, z żadną wyłącznością, czy to ziemiańską, czy kupiecką, czy urzędniczą, dworacką lub wojskową, bo się składało z odrostków wszelkiego pochodzenia, wszelkiego stanowiska w narodzie, więc śmiało ubiegać się mogło o tytuł „narodowego.” I téj to bezkolorowéj inteligencyi Francya w przeważnéj mierze zawdzięczała lepszą połowę swéj siejby rewolucyjnéj [1]).

Na połowę drugą złożyły się więcéj dzieje niż ludzie. Konstytucyonalizm francuski, z jego podstawą głosowania powszechnego, z jedyną na wszechobszar państwowy strzechą reprezentacyjną, jest niewątpliwie kreacyą sztuczną, oderwaną. Tak chcieli mieć gorliwi i interesowni wykonawcy „politycznego testamentu” Richelieu'go, którzy do współki z zawistnemi społecznościami miejskiemi („komunami”) doszczętnie i zapewne bez możliwego już dziś zmartwychwstania wy-

---

[1]) Fyfe, I, 78, 79.

gładzili pierwiastki rycersko-ziemiańskich samorządów lokalnych, czyli prowincyonalnych, bretońskich, langwedockich, andegaweńskich i t. p. Marzenie Jana Jakóba Rousseau o wolności indywidualnéj, opartéj na „ugodzie towarzyskiéj”, stanąć mogło na wykarczowanych w ten sposób nowinach jedynie w formie gwarancyi, jaką jednostce złożyć może ogół dwudziesto- trzydziesto- czterdziestomilionowy; pośrodku, zamiast jakichkolwiek rękojmi konkretnych, rozpostarły się zera niewiadomości lub dowolności. W tym zakresie parlamentaryzm francuski widomie upośledzony został w porównaniu z odpowiedniemi urządzeniami, istniejącemi lub możliwemi tam wszędzie, gdzie pozostały niewytrzebione jeszcze do korzenia zarośle klanów celtyckich, gemeind germańskich, townshipów amerykańskich, vestry'ów angielskich, wieców starosłowiańskich i tym podobnych gromad i powinowactw przyrodzono-społecznych, albo téż, gdzie z historycznego aglomeratu różnorodnych żywiołów etnicznych (jak np. w dzisiejszéj Austryi), organa centralne wydobyć są w stanie dość samorodnych ciążeń dośrodkowych, aby pod ich działaniem wysączył się ów cement federacyjny, autonomiczny, nader trudny, niepohopny i nieskory do wyładowania się, lecz niespożytéj trwałości w budowach, które swe przeznaczenia wymierzają nie na dekady wstrząśnień gwałtownych, tylko na stulecia regularnego rozwoju. Niezaprzeczenie zdarzały się i takie sytuacye, w których niesforny wzrost instytucyi lokalno-autonomicznych oplątywał do tego stopnia pasorzytnemi swemi pierścieniami główną nawę publicznego żywota, że w tych uściskach pękała [1]). Francya, pozbywszy się tak kosztownego zbytku, nie może przecież bynajmniéj szukać dla siebie chluby z całkowitego w swém łonie wygnębienia drobnych ustrojów samodzielności. Organizm jéj narodowy po dziś dzień cierpi na niedokrwistość i doznaje nieustających uderzeń do głowy z powodu obstrukcyi centralizacyjno-państwowéj, zawalającéj wszystkie kanały prowincyonalnéj działalności narodu. Wiotkość i chwiejność administracyjnych, doraźnie co lat dziesięć dorabianych i przerabianych organów jéj samorządu społecznego, sprawiły, że jéj organ wielki, że reprezentacya jéj interesów zbiorowych, powszechnych, stała się podobną do olbrzymiéj skrzyni z gotówką miliardową, którąby dziwaczne losy zaparły w jeden kąt kraju i skazały na przechodzenie z rąk do rąk ryczałtem, w całości, bez prawa obiegu i wymiany kapitału na kwoty mniejsze, cząstkowe... Dobierał się téż do wszechmocnego tego worka, w ciągu wieku, kto tylko miał palce zwinniejsze i skórę twardszą: Napoleon i Mallet (1812), Lu-

---

[1]) A. Pawiński: „Rządy sejmikowe“ i „Sejmiki ziemskie“ (dzieł tych pod ręką nie mamy dla ściślejszych cytat).

dwik Filip i Lamartine (1848), Cavaignac i Thiers (1871)... w końcu zaś nawet Boulanger... Naturalnie wszystko to należy już do zjawisk dalszych, do następstw późniejszych, tegoczesnych. Na razie, w chwilach poczęcia, wśród niebezpieczeństw i alarmów początkowania, wyznać trzeba, że świat nie znał, nie zdobył się dotąd na sprawniejsze i skuteczniejsze narzędzie nad te stłoczone w grodzie stołecznym złote góry wszechpotęgi narodowéj. W gorejących rękach konwencyi lało się to, przelewało, tężało, ścinało się i znów się gięło, topniało, przeobrażało na działa, na pułki, na asygnaty, na tornistry, na dekrety, na chorągiewki, na bagnety... i szło, błyskało, grzmiało, piorunowało wszędzie, we wszystkiém archanielskim rozkazem: „W imię jednéj, niepodzielnéj, nieodwołalnéj, nieodpowiedzialnéj, nieśmiertelnéj woli ludu francuskiego!” [1]).

Kraje ościenne, odrazu porwane w podwójny wir téj ulewy, szumiącéj z dołu potokami indywidualnych swobód i praw człowieka, huczącéj od góry nawałnicami wszechwładztwa narodowego, drgnęły od rozterki wrażeń i uczuć sprzecznych: podziwu, zachwytu, trwogi, zdumienia. Olśnione, zbite z tropu, straciły z początku świadomość i siebie i swego otoczenia. Opamiętane, uległy wprawdzie nieodbitemu parciu ogarniającéj je zewsząd burzy, ale uległy mu tylko do połowy i każdy na swój sposób. Tkwi w tém niewymownie pocieszający dowód dobroczynnéj, oryentującéj i czuwającéj w sumieniu ludów władzy doświadczeń przeszłych, dziejowo nagromadzonych nad popędami chwili bieżącéj, że nawet naśladując, zbiorowości dojrzalsze pamiętają przedewszystkiém o sobie i dla siebie pracują. Ci Batawczycy, co na odgłos świętokradzkich złorzeczeń ateistów paryskich zabrali się nasamprzód do wynoszenia ze swych kościołów równouprawniających pergaminów bezbożnego Józefa II, ci Madyarowie, co wobec zdartych na kawałki prerogatyw szlachty francuskiéj postanowili czémrychléj, na złość Austryakom, odnowić hrabiowskie i książęce mitry swéj magnateryi, ci ich sąsiedzi i bratanki po drugiéj stronie gór, co na wieść o poniżeniu dostojności Ludwika XVI porwali się bez długiego namysłu do wzmocnienia przedewszystkiém zachwianéj powagi królewskiéj u siebie — jakiż to dzielny i wspaniały podkład pod autonomię i związkowość — już nie tę maluczką, zagrodową, trzy i czteromorgową, rozciągniętą na Nowe Miasto Korczyn, na Sądową Wisznię, na Bielsk, na Piotrków, na Krasnystaw, na Koło, na Wolę, lecz ową związkowość szeroką, odległą,

---

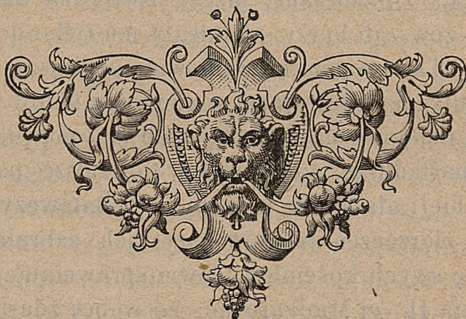
[1]) E. Vacherot: „La démocratie liberale“ (wyd. 1892), str. 231 i nast.; E. Quinet: „La Révolution“, t. II, str. 181—195.

posad ziemi i krańców przyszłości sięgającą, która w podwaliny prawa publicznego Francyi, w artykule 4-m ustawy organicznéj z dnia 22 maja 1790, legła przepisem i wieszczbą na wieki błogosławioną: „La nation française renonce à entreprendre aucune guerre dans la vue de faire des conquêtes, et n'emploiera jamais ses forces contre la liberté d'aucun peuple" [1]).

I. T. Hodi.

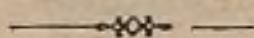
---

[1]) Sorel, t. I, 318, t. II, 20.



Handel zagraniczny Rosyi

od roku 1884—90.



Trafna polityka celna do pełnego rozkwitu doprowadzić może wytwórczość każdego państwa. Wyrazem takiéj to polityki zdaje się będzie obecnie obowiązująca taryfa celna rosyjska z roku 1891.

W roku tym po długich przygotowaniach i zasięgnięciu opinii wszystkich kół interesowanych, między innemi nowego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, wydana została nowa taryfa celna, dotąd obowiązująca, a z małemi różnicami streszczająca przez lat kilkanaście uprzednich przedsiębrane zmiany i dopełnienie taryfy celnéj w r. 1868 zaprowadzonéj. Z uwagi, że ostatni peryod pięcioletni poprzedzający obecnie obowiązującą taryfę i okazane w nim skutki cyfrowe zmian wprowadzanych stopniowo w kierunku protekcyjnym były niejako motywem do taryfy obecnie obowiązującéj—ministeryum finansów w ostatnim swoim roczniku ogłosiło wyczerpujące *exposé* pod powyższym tytułem, które tu w streszczeniu podajemy — jako rodzaj ujęcia w cyfry dziejowéj chwili, wielce ważnéj dla obecnego rozwoju przemysłowości i stosunków ekonomicznych tak w kraju naszym jak i w Cesarstwie.

* *
*

Silne rozbudzenie w ostatniém dziesięcioleciu, pod opieką taryfy celnéj, sił przemysłowych Rosyi, we wszystkich prawie gałęziach tak fabrycznych jak i górniczych, w związku z rozszerzeniem zapasów zbo-

ża, uporządkowaniem gospodarstwa kolejowego i rozwojem zapotrzebowania zboża na zachodzie Europy, z konieczności musiało wywołać zmiany w charakterze zagranicznych stosunków handlowych Cesarstwa.

Jak dawniéj, zauważyć się daje stopniowy wzrost wogóle handlu zewnętrznego, ale następuje on wyłącznie pod wpływem rozszerzenia działalności wywozowéj, kiedy obrót ogólny handlu przywozowego zaczyna słabnąć we wzroście. Kierunek ten charakterystycznie wyraża się w następującém zestawieniu danych pięcioleciami:

	Wywóz	Przywóz:	Obrót ogólny	Procentowy stosunek do ogólnego obrotu	
				wywóz	przywóz
	Tysięcy rubli				
1856 — 60	807,739	708,332	1,515,711	53,3	46,7
1861 — 65	873,883	765,554	1,644,437	53,4	46,6
1866 — 70	1,291,216	1,387,046	2,678,262	48,2	51,8
1871 — 75	1,574,516	2,249,143	4,123,659	45,7	54,3
1876 — 80	2,673,243	2.604,726	5,227,969	50,7	49,3
1881 — 85	2,893,066	2,618,878	5,511 944	52,5	47,5
1886 — 90	3,376,398	2,075,241	5,451,639	61,9	38,1

Odstępowaniu od systemu opiekuńczego towarzyszyła stopniowa zmiana bilansu nie na korzyść wywozu. W pięcioleciu 1851—55 przy działaniu taryfy z 1850, wywóz przewyższał przywóz o 24%; z wprowadzeniem taryfy 1857 r. stosunek ten zmniejsza się do 6,7% a pod wpływem taryfy 1868, przywóz osięga przewagę nad wywozem. Taryfy celne z lat 1850, 1857 i 1868, przedstawiając niejako stopnie umiarkowano-ochronnego systemu, za główny cel miały, oprócz pomnożenia dochodu z ceł, zapewnienie ulgi przywozowi do kraju materyałów fabrycznych i takich wyrobów, od których opłaty mogły być obniżone bez uszczerbku dla krajowéj przemysłowości i dla ograniczenia kontrabandy. Na drogę wyraźnie opiekuńczéj polityki celnéj napowrót wstąpił rząd w r. 1877, kiedy nastąpiło rozporządzenie pobierania cła w złocie; poczém téż pociągnięto do opłaty celnéj niektóre towary, dotąd dopuszczane do przywozu bez cła, daléj podwyższono opłaty w r. 1881—82, 1885, 1887 i 1891. Ale wprowadzając system opiekuńczy, po okazaniu się niekorzystnego wpływu na rozwój krajowéj przemysłowości umiarkowanych taryf z 1850 r. 1857 a zwłaszcza z 1868, rząd nie przodował w tym względzie innym państwom europejskim, gdzie jednocześnie przedsięwzięta została również działalność w tymże kierunku. Młody przemysł krajowy, przy wprowadzeniu odrazu surowo opiekuńczych ceł, nie mógłby zaspokoić wzrastającego popytu wewnętrznego; wypadało zatém w sprawie podwyższenia ceł postępować

stopniowo i zakończyć przedsiębrane środki celno-taryfowe, dopiéro w r. 1891.

W niektórych wypadkach podwyższenie ceł rosyjskich nastąpiło nawet po podwyższeniu ich w zachodniéj Europie, jak to np. miało miejsce w r. 1885, kiedy dla zrównania krajowego bilansu handlowego, wstrząsniętego ustanowieniem wysokich ceł na zachodzie na główny rosyjski towar wywozowy t. j. na zboże, potrzeba było podnieść stopę celną od niektórych towarów zagranicznych.

Zmiany taryfowe w prawodawstwie celném od 1877 — 90 wprowadzane były z celem zarówno fiskalnym jak i przedewszystkiém opiekuńczym, a także dla osiągnięcia jaknajodpowiedniejszego dla kraju bilansu międzynarodowego. Przeważnie w tym to ostatnim celu dokonane były ogólne podwyżki ceł: w r. 1877 przez pobór tychże w złocie, co odpowiednio ówczesnemu kursowi, podnosiło cło o 30%, w r. 1881 dodana została ogólna podwyżka o 10% na wszystkie artykuły przywozu prócz soli i w 1885 podwyższone znowuż zostały cła o 20% dla przeważnéj liczby artykułów przywozowych, z pewnemi wyjątkami. A mianowicie artykuły spożywcze i wyroby, obłożone naówczas już dostatecznem cłem, jak również surowe i nawpół obrobione materyały niezbędne dla krajowéj przemysłowości, obłożone zostały tylko 10% podwyżką czyli pozostawione przy uprzedniéj stopie, z drugiéj strony wyroby i niektóre inne towary, względem których dotychczasowe cła opiekuńcze wydawały się niedostatecznemi, obłożone zostały wyższą nad 20% podwyżką. W przeważnie fiskalnym celu znowu, nastąpiła podwyżka ceł w r. 1887 od herbaty, bawełny, śledzi, owoców i wielu innych towarów. Ogólne podwyższenie ceł o 20% w r. 1890 miało także na celu osiągnięcie bardziéj dogodnego bilansu handlowego, równowaga którego mogła być dotknięta znaczném podniesieniem się kursu pieniężnego. Co się tyczy podwyższenia ceł w celu opieki dla tych gałęzi przemysłowości, które szczególniéj potrzebowały podtrzymania i rozbudzenia, to w tym względzie w peryodzie 1884—90 w ustawie celnéj poczyniono wiele zmian. Przy czém wszakże w całéj pełni zachowywana była stopniowość w rozwoju owéj opieki, charakteryzująca się między innemi przejściem od opieki nad przygotowaniem wewnątrz państwa gotowych wyrobów, choćby z obcych materyałów surowych z razu, do opieki wewnętrznéj produkcyi tychże z półfabrykatow a potém dopiéro do zachęty przeróbki surowych materyałów wewnątrz państwa, przez nałożenie cła na przywożony z zagranicy materyał surowy. Z liczby środków przedsiębranych w tym kierunku na największą uwagę zasługują te, które skierowane były ku daniu zachęty przemysłowi: metalurgicznemu, węglowemu i chemicznemu.

W r. 1884 nastąpiło podwyższenie opłat od surowca, rudy żelaznéj, niektórych specyalnych rodzai żelaza i stali jakotéż od wyrobów z surowca, żelaza i stali. Podwyższenie opłat celnych od surowca motywowane było bardzo słabym wytopem surowca krajowego a powszechną przeróbką zagranicznego na żelazo i wyroby z niego, kiedy z jednéj strony za pomocą środków przed rząd przedsięwziętych uchylone zostały warunki, przeszkadzające otwieraniu w kraju zakładów, obrabiających krajowy surowiec, a z drugiéj, odznaczano powstawanie zakładów obrabiających surowiec zagraniczny, jak również rozwój fabrykacyi maszyn, wyrobu relsów i t. p. Ze względu na stopniowość i ostrożność w sprawie rozbudzenia wytopu surowca krajowego, opłata celna od niego stanowiona była w następującym porządku: od 1 lipca 1884, od 1 kwietnia 1885—9 kopiejek, na cały rok następny 12 kop. a od 1 marca 1886—15 kop. Poczém w r. 1887 w celu zupełnego zabezpieczenia wytworu wytopu surowca tak na Uralu jak na południu państwa i w Królestwie Polskiém, cło podwyższone zostało do 20 kop. a na zachodniéj granicy lądowéj do 30 kop. To ostatnie z zasady, że zakłady Królestwa Polskiego, przerabiające żelazo i zakłady mechaniczne przez samo położenie w pobliżu granicy, znajdują się w korzystniejszych warunkach niżeli zakłady w innych miejscowościach państwa. Odpowiednio podwyższeniu opłaty od surowca, podwyższona także została opłata od żelaza i stali, jakotéż od wyrobów z nich.

Tak samo stopniowo przeprowadzone były środki taryfowo-celne dotyczące opieki nad przemysłem węglowym. Do r. 1884 węgiel zagraniczny opłacał cło tylko przy przewozie przez komory w Królestwie Polskiém, w tym roku ustanowiono cło w portach morza Czarnego i Azowskiego po 2 kop. od puda, na pobrzeżu Baltyckiém po $1^1/_2$ kop. a na lądowéj granicy zachodniéj po $^1/_2$ kop. W r. 1886 cło od węgla dostawionego do portów morza Czarnego i Azowskiego podwyższono do 3 kop. zaś w r. 1887 dla morza Baltyckiego do 1 kop. a dla zachodniéj granicy lądowéj do 2 kop., od koksu wreszcie ustanowiona została opłata $1^1/_2$ razy wyższa niżeli od węgla. Jednocześnie jak dla surowca postanowiono do 1 stycznia 1898 r. opłaty nie zniżać, tak dla węgla przywożonego przez granicę zachodnią i morze Baltyckie, postanowiono oznaczonéj wysokości cła nie podwyższać, aby tém lepiéj zabezpieczyć wytwórczość.

Podobnież ostro opiekuńczy charakter miały środki celne, dotyczące miedzi i materyałów chemicznych i farbierskich. Wedle taryfy z r. 1867, przemysłowi chemicznemu przyznane było służebne tylko znaczenie względem innych gałęzi przemysłu krajowego, wskutek

czego opłata celna oznaczona była w rozmiarze bardzo umiarkowanym.

Następne podwyżki taryfy miały na celu pobudzenie do życia drobnych produkcyi chemicznych, ku samodzielnemu rozwojowi których w kraju istniały wszelkie dane; takiemi były np. wytwory sody, ałunu i t. p. W grupie materyałów przędzalniczych cła także kilkakrotnie były podwyższane; opłaty od wyrobów zmieniały się stosunkowo nieznacznie a podwyżka przeważnie dotykała pół-fabrykaty a daléj i surowego materyału. W roku 1883 skasowano tranzyt zakaukazki a w 1885 uregulowano także stosunki celne finlandzkie.

Powyżéj skreślonym środkom taryfowym towarzyszyła stopniowa modyfikacya warunków zagranicznego handlu państwa, jak to okazuje poniższe zestawienie:

Stosunek do ogólnego obrotu	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890
Wywóz %	52,3	55,3	52,7	61,3	67,0	63,7	62,8
Przywóz %	47,4	47,4	47,3	38,7	33,0	36,3	37,2
Dochód celny od przywozu w tys. rub. kred.	97,576	96,221	106,862	107,820	126,511	136,423	140,606
Stosunek cła od przywozu %	18,1	22,2	24,4	27,4	32,4	31,2	33,8

Z powyższego zauważyć się daje stopniowy wzrost przewagi wywozu nad przywozem; a bijące w oczy powiększenie się téj przewagi z rokiem 1888 objaśnia się silnym rozwojem w tym roku wywozu zboża.

W rozwoju działalności wywozowéj, największe znaczenie przypada towarom przynależącym do grupy produktów spożywczych, jakoteż surowych i nawpół obrobionych materyałów, lecz na baczną uwagę zasługuje także, jeżeli nie ze względu na ogólną sumę zwiększenia się to ze względu na ciągłość trwania i wzmacniania się rozwoju wywozu, grupa wyrobów. Wywóz zwierząt w latach badanych chociaż powoli, ale stopniowo zmniejszał się. Wywóz wedle grup towarów w procentowym stosunku do sumy ogólnéj przedstawiał się jak niżéj:

	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890
Produkty spożywcze	59,0	62.1	56,3	59,9	63,3	56,6	55,8
Surowe i wpółobrobione materyały	36,0	32,0	37,10	34,3	31,1	37,7	38,6
Zwierzęta	2,4	2,7	2,4	2,0	1,7	1,7	1,6
Wyroby	2,6	3,12	4,13	3,8	3,9	4,10	4,10
Razem	100	100	100	100	100	100	100
Stosunek do wywozu 1884 . . .	100	91	83	106	134	130	120

Wywóz wyrobów od r. 1884 do 1890 podniósł się 2,6% do 4%, oceniając tę zwyżkę należy brać pod uwagę także, że w tym peryodzie czasu siły produkcyjne Rosyi musiały starać się o zaspokojenie wewnętrznego zapotrzebowania, corocznie wzrastającego wraz ze stopniowém osłabnięciem konkurencyi zagranicznéj. W związku z podniesieniem się wywozu wyrobów, spotykamy pomniejszenie się ich przywozu. W r. 1884 wywóz wyrobów wynosił 14% ich przywozu, w r. 1890—39%. Zmiany w przywozie wedle grup towarów przedstawiają się jak następuje:

	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890
Produkty spożywcze	29,0	26,9	28,9	22.4	20,2	19,1	20,5
Surowe i pół obrobione materyały .	51,0	53,6	52,8	60,7	61,8	61,5	60.3
Zwierzęta	0,2	0,4	0,3	0,3	0,4	0,3	0,4
Wyroby	19,8	19,1	18,0	16,6	17,6	19,1	18,8
Stosunek do przywozu w r. 1884	100	80	81	73	73	81	77

W stosunku do ogólnéj sumy importu państwa przywóz wyrobów i zwierząt prawie się nie zmieniał w czasie od r. 1884 do 1890; znacząca zmiana zaszła w grupie produktów spożywczych, zmniejszanie się przywozu których uprzedzało ogólny upadek handlu przywozowego, a daléj w grupie surowych i półobrobionych materyałów, import których trzymał się prawie na jednakowym poziomie.

Jaskrawe pomniejszenie się przywozu produktów spożywczych w r. 1887 objaśnia się nałożeniem w tym roku dodatkowego cła na wszelkie prawie towary do kategoryi téj należące a przedewszystkiém na herbatę.

Obroty hadlu zagranicznego wedle granic, w stosunku procentowym do ogólnych sum, rozkładały się jak następuje:

Wywóz:	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890
			w procentach				
Granica Europejska	93,3	92,4	89,4	91,2	91,7	89,7	86,6
Azyatycka	4,2	4,4	7,2	6,0	5,8	8,0	11,0
Finlandya	2,5	3,2	3,4	2,8	2,5	2.3	2,4
Przywóz:							
Granica Europejska	90,4	87,5	87.3	84,8	85,1	85,5	86,8
Azyatycka	6,7	9,2	10,4	12,5	12,0	11,5	9,9

Na uwagę zasługuje powiększenie się zagranicznych stosunków handlowych przez azyatycką granicę. Co do wywozu zależy ono od rozwoju eksportu nafty, który zaczął zwracać uwagę w r. 1884 a daléj od rozwoju eksportu zbóż, zwiększenie się którego naprzód zauważyć się dało na komorach: w Batum i Poti; otwarcie portu noworosyjskiego dało nowy a silny bodziec w tym kierunku, przez otworzenie bogatemu

okręgowi zbożowemu północnego Kaukazu, swobodnego dostępu na zagraniczne rynki. Eksport z Noworosyjska w r. 1887 wynoszący tylko 43 tysiące rubli, w r. 1888 wzrósł do 2,225 tys. rubli, w r. 1889 do 16,891 tysięcy rubli, w r. 1890 do 26,236 tysięcy rubli. Oprócz nafty i zboża, przez granicę azyatycką poczęto także wywozić rudę manganezową [1]) która w r. 1890 dosięgła już wartości 3,3 milionów rubli, a także cukier. Mniéj silnie, ale jednak znacznie do 52,1% wzrósł wywóz wyrobów na rynki azyatyckie. Co się tyczy przywozu przez granicę azyatycką, to najsilniejsze powiększenie tegoż zauważyć się daje w grupie materyałów surowych i wpółobrobionych, a to w zależności od wzrostu przywozu do Rosyi bawełny azyatyckiéj, daléj od rozwoju przywozowéj działalności Batumu, będącéj w związku ze wzrostem krajowego przemysłu nafcianego. Co do Finlandyi, dostrzedz można nieznaczne tylko różnice w stosunkach handlowych z nią Cesarstwa.

Pomimo stopniowego dążenia handlu zagranicznego Rosyi do zrównoważenia rozmiaru handlowych jéj obrotów na rynkach europejskich z obrotami przez granicę azyatycką, w peryodzie 1884 — 90 nastąpiła zmiana w rozmieszczeniu środka ciężkości zagranicznych stosunków handlowych, który stopniowo przesuwa się z północy ku południowi państwa, jak to się okazuje z następujących danych porównawczych:

Wywóz w procentach	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890
Morze Białe	1,5	1,3	1,3	1,0	1,0	1,0	0,9
Morze Baltyckie	39,5	32,0	33,1	30.0	27.0	28,1	29,4
Granica lądowa	26,9	27,6	26,2	24,5	24,4	26,5	27,1
Morze Czarne	21,5	26,1	26,8	30,6	32,3	32,8	29,0
Morze Azowskie	10,6	13,0	12,5	13,3	14,8	11,7	13,5
Przywóz:							
Morze Białe	0,2	0,2	0,3	0,3	0,3	0,2	0,3
Morze Baltyckie	40,5	41,0	39,3	48,5	46,4	47,1	47,3
Granica lądowa	42,6	40,7	39,3	36,6	37,7	37,8	37,4
Morze Czarne	15,7	17,2	20,0	14,0	15,0	13,9	14,2
Morze Azowskie	1,0	0,9	0,6	0,6	0,6	1,0	0,8

---

[1]) Wywóz ten, który obecnie wzrosł do 10 milionów pudów rocznie, tłomaczy się tém: że w gub. kutaiskiéj, w okolicy miasteczka Cziatury znajdują się najbogatsze w świecie kopalnie rudy manganezowéj (piroluzytu) zawierającéj 50—60% manganu, z któréj zagranicą wyrabiany ferromangan i szpigiel tak pożądane są do fabrykacyi stali. Cziatura w roku bieżącym połączona została drogą podjazdową z koleją Zakaukaską prowadzącą do portów morza Czarnego—ale jednocześnie poczynione są starania, aby to bogactwo manganezowe zatrzymać nadal w kraju, przez założenie odpowiedniéj fabryki ferromanganu i szpiglu w okręgu górniczym południowym Cesarstwa (*p. s.*).

W roku 1884 wywóz przez morze Baltyckie stanowił 39,5 % całego wywozu przez granicę europejską a wywóz przez morze Czarne i Azowskie 32,6%, kiedy w r. 1890 pierwszy obniża się do 29,4% drugi zaś podnosi się do 42,5% i zmiana ta przedewszystkiém pozostaje w związku z wywozem zboża, który wobec nieurodzajów w guberniach nadwołżańskich, będących głównym dostarczycielem zboża dla Petersburga i Rewla, i rozszerzenia uprawy zbóż w rejonie czarnoziemnym, coraz bardziéj zaczyna ciążyć ku południowi. W związku z tém zjawiskiem, można zauważyć także przeniesienie się środka ciężkości wszechświatowego targu zbożowego z Londynu, który trzymał do ostatnich czasów w swych rękach cały handel zbożowy portów północnych, do Liwerpolu z jego związkami z południem i krajami zaoceanowemi

Zmianami też w warunkach produkcyi zboża tłomaczyć można powiększenie się znaczenia dla handlu zbożowego Hamburga, Antwerpii i portów holenderskich. Z południowych portów rosyjskich zbożowe te operacye najbardziéj, w peryodzie 1884 — 90, rozwinęła Odesa. Pewne obniżenie się wywozu przez morze Azowskie w r. 1889 — 90 zależne było od rozpoczęcia działalności portu noworosyjskiego, który przyciągnął do siebie transporty z północnego Kaukazu i z powodzeniem konkurował z Rostowem nad Donem, a stosunkowo udział granicy lądowéj w wywozie nie uległ zmianom, wywóz zaś przez morze Białe stopniowo upada i absolutnie i stosunkowo.

W przywozowym handlu przez granicę europejską nie można dostrzedz takiego ciążenia ku południu, jak w wywozowym. Położenie stosunkowe portów południowych w tym względzie nie zmieniło się w czasie 1884 do 1890 r. Naodwrót zauważyć można pewne zmiany w przywozie przez morze Baltyckie, który stopniowo rozwijał się kosztem granicy lądowéj. W części objaśnia się to działaniem niektórych różniczkowych opłat, głównie wszakże zmianą taryf dróg żelaznych na korzyść przebiegu towarów z portów rosyjskich. Zestawienie wartości przywozu z wartością wywozu, ilości przywozu i wywozu z ich wartością, wykazuje następujące rezultaty wedle poszczególnych działów granicy europejskiéj:

Granica	Stosunek procentowy			
	wartości przywozu do wywozu	ilości przywozu do wywozu	do ogólnéj ilości wywozu	do ogólnéj ilości przywozu
Białomorska	17	7	2	1
Baltycka	91	58	33	60
Zachodnio-lądowa	87	42	21	27
Południowa	22	9	44	12

Przy ogólnéj przewyżce wywozu nad przywozem, najwięcéj stanowczą przewagę działalności wywozowéj zauważyć można przez białomorską i południowo-morską granicę. Osobliwie wyraziście stosunek ten przedstawia się przy zestawieniu wywozu z przywozem wedle ilości. Większe znaczenie granicy baltyckiéj w porównaniu z zachodnio-lądową co do ilości przywozu niżeli co do jego wartości, tłomaczy się znacznym przywozem przez granicę baltycką węgla kamiennego, stanowiącego wielką masę a taniego a odwrotnie wysoką wartością przez lądową granicę przywożonych towarów.

Co się tyczy granicy azyatyckiéj, to najwyższy rozwój co do wywozu towarów przedstawiała granica czarnomorska, jak to już powyżéj zaznaczono, skutkiem rozszerzenia upraw zbożowych na północnym Kaukazie i powstania wywozu towarów naftowych jako téż rudy manganezowéj. Daléj silnie wzrósł wywóz przez granicę perską z 336 tysięcy rubli w r. 1884 do 1,176 tysięcy w r. 1890 i przez granicę kaukasko-czarnomorską z 1849 tys. rubli do 8,421 tysięcy rubli; ten objaw objaśnia się wzrostem wywozu cukru, zboża, nafty i wyrobów na rynki środkowo azyatyckie. Mniéj dający się zauważyć rozwój interesów zachodził na granicy środkowo-azyatyckiéj, turkestańskiéj i semipałatyńskiéj. Odwotnie na granicach: tureckiéj i na komorach astrachańskiéj i kiachtyńskiéj spostrzegać się daje zmniejszenie. Działalność przywozowa na granicy azyatyckiéj zmieniła się znacznie mniéj aniżeli wywozowa. Spostrzegać się daje tylko mocny wzrost interesów na perskiéj, czarnomorskiéj i środkowo-azyatyckiéj granicy a ubytek na komorze irkuckiéj. Do rozwoju interesów na granicy środkowo-azyatyckiéj, w związku z którym jest upadek obrotów na komorze astrachańskiéj — niemało przyczyniło się przeprowadzenie drogi żelaznéj zakaspijskiéj. Na wzmiankę wreszcie zasługuje zainicyowanie w r. 1890 handlu zagranicznego przez północ Syberyi. W roku tym trzy okręty angielskie przybyły do ujść Jeniseju z różnemi towarami na rs. 368,000, w liczbie których było: 31 tysięcy pudów metali, 13 tysięcy pudów wyrobów metalowych, 5½ tysięcy pudów nafty, daléj sól, liny, oliwa, cement i t. d. Towary te rozprzedane zostały w Krasnojarsku, Tomsku i Irkucku a wywieziono temiż okrętami zboże i mięso.

Skreślone powyżéj ogólne warunki handlu zagranicznego Rosyi, odbiły się w pełni i na jéj stosunkach z większością państw zagranicznych, głównie zastosować się to daje do przywozu towarów, który z roku na rok pomniejszał się; wyjątek stanowią tylko lata 1888 i 1889, kiedy w zależności od podwyższenia się kursu rubla, przywóz towarów zagranicznych widocznie wzrastał. Z małemi wyjątkami zmniejszenie przywozu spostrzegać się daje w równym stopniu z tych państw, które

w znacznym rozmiarze prowadziły z Rosyą handel pośredniczy produktami innych krajów. Dążenie do usunięcia zbytnich pośredników w handlu, szczególniéj materyałami surowemi, stanowi jedną z charakterystycznych cech współczesnéj polityki handlowéj wszystkich krajów, okazującą się rezultatem wprowadzenia w życie podstaw narodowych i otworzenia się konkurencyi w handlu międzynarodowym. Handel międzynarodowy Rosyi stoi jeszcze daleko po za rozwojem tegoż w wielu innych krajach; rozwój jego wszakże choć powolny jest niewątpliwy. W peryodzie od 1884 — 90 roku rozszerzyły się bezpośrednio stosunki z Brazylią, Egiptem, Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnéj i Azyą Mniejszą, Indyami Wschodniemi, wyspami Oceanu Indyjskiego i dalekim wschodem. Naturalną też jest rzeczą, że przy dążeniu handlu przywozowego ku zmniejszeniu się, przedewszystkiém ucierpiéć musiał przywóz z tych krajów, które dostawiały nam towary wymienionych krain zaoceanowych.

Wedle udziału w handlu zagranicznym Rosyi, pierwsze miejsce co do przywozu towarów zdawna przynależy Niemcom, co do wywozu zaś Wielkiéj Brytanii; poniżéj w procentach do ogólnego obrotu, zestawiony został udział główniejszych państw w handlu zagranicznym Rosyi:

	1884	1890	1884	1890
	Wywóz		Przywóz	
W. Brytania	26,2	28,9	21,2	22,3
Niemcy	31,0	25,2	32,5	27.8
Francya	7,8	7,0	3,5	4,1
Holandya	7,2	6,12	1,1	1,1
Austrya	5,3	4,13	3,9	4,3
Włochy	3,2	4,3	2,0	2,2
Belgia	3,9	3,9	1,8	1,7
Turcya	2,0	2,4	2,7	1,8
Szwecya	2,3	1,5	0,4	0,9
Persya	0,7	1,5	1,6	2,6
Chiny	0,3	0,5	4,2	6.8
Stany Zjednoczone	0,2	0,5	8,1	12,8
Egipt	0,05	0,4	0,07	2,5

Najbardziéj w zagranicznym handlu Rosyi uszczuplił się udział Niemiec. Co do wywozu objaśnia się tém, że W. Brytania i inne państwa europejskie znacznie powiększyły przywóz zboża rosyjskiego, skutkiem osłabnięcia konkurencyi północno-amerykańskiéj Stanów Zjednoczonych i Indyi Wschodnich, kiedy Niemcy, zawsze poprzestając wyłącznie prawie na zbożu rosyjskiém, stosunkowo mało zmieniły rozmiary swego przywozu. Co się zaś tyczy przywozu towarów niemieckich, to zmniejszenie tegoż w znacznym stopniu zależne jest od zmniejszenia, pośredniczéj w tego rodzaju handlu, działalności Niemiec.

Zaznacza przytém praca, z któréj zdajemy sprawę, niezgodność cyfr przywozu do Rosyi z Niemiec, z cyframi podawanemi w urzędowéj statystyce niemieckiéj z wywozem z Niemiec do Rosyi, co objaśnia okolicznością, że zazwyczaj towary wyżéj są szacowane w kraju odbierającym, aniżeli wysyłającym, a daléj tém, że część towarów niemieckich przywozi się do Rosyi przez inne państwa, jak Austro-Węgry, W. Brytanię i t. d.

Stosunki Rosyi z W. Brytanią za czas 1884—1890 r. rozszerzyły się nieco tak co do przywozu, jak i wywozu. Powiększył się także przywóz z Austro-Węgier i Włoch, co w części zależało od pomyślnego rozwoju przez te państwa bezpośrednich stosunków morskich z krajami zaoceanowemi, dzięki czemu w wielu wypadkach dogodném się stało skierować towary morzem do Tryestu, albo do Genui, a ztamtąd tranzytem do Rosyi.

Przemieszczenie to tłómaczy także wzmiankowane powyżéj ciążenie ogólne handlu wszechświatowego ku południowi. Ale najsilniejszy zwrot stosunków wykazały kraje po za europejskie, jak np. przywóz ze Stanów Zjednoczonych podniósł się z 8,1% do 12,8%, z Egiptu z 0,7% do 2,5%, z Chin z 4,2% do 6,8%, z Persyi z 1,6% do 2,6% i t. p. Podobnież podniósł się wywóz z Rosyi do tych krajów.

Porównywając sumy handlu zagranicznego głównych państw z r. 1884 i 1890, okazuje się, że Rosya, wedle rozmiarów wzrostu zagranicznych stosunków swoich handlowych, zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

		Wywóz		Przywóz		Zmiana w stosunku do r. 1884	
		1884	1890	1884	1890	wywozu	przywozu %
Rosya	tys. rubli	589,901	705,097	537,973	416,065	+20	—23
W. Brytania. .	tys. f. st.	295,968	372,880	1,290,019	420,886	+11	+ 8
Niemcy . . .	tys. mar.	4,793,900	4,848,000	4,843,400	5,724,700	+ 1	+18
Francya . . .	tys. fran.	4,218,400	4,840,200	5,239,000	5,425,400	+15	+ 4
Włochy . . .	„	1,149,070	956,766	1,396,919	1,380,460	—17	— 1
Austro-Węgry .	tys. guld.	691,501	771,376	612,623	610,733	+12	— 0,13
Belgia. . . .	tys. fran.	2,677,682	2,948,152	2,772,520	3,189,160	+10	+15
Holandya . . .	tys. guld.	838,169	1,081,156	1,112,830	1,291,437	+30	+16
St. Zj. Ameryki .	tys. dol.	740,514	857,829	667,698	789,310	+16	+18

Godzi się wszakże zauważyć, że charakter handlu większéj części państw zagranicznych zasadniczo się różni od ogólnych warunków handlu rosyjskiego. Główną rolę we wzroście obrotów ogólnych gra nie wywóz, jak w Rosyi, lecz przywóz, kiedy ten ostatni nie okazuje tak silnego dążenia do wzrostu; wyjątek stanowią tu tylko Austro-Węgry,

których ogólny kierunek handlu zagranicznego bardzo zbliżony jest do warunków handlowych Rosyi.

Wśród towarów wywozowych Rosyi pierwsze miejsce zajmuje zboże, którego rozmiar wywozu stanowczo wpływa na ogólną cyfrę obrotów handlu zagranicznego, jak to wskazują następujące dane (w r. 1888, z wyjątkiem granicy czarnomorskiéj, Kaukazu i handlu z Finlandyą):

	Ogólna wartość wywozu	wywozu zboża	Stosunek % wywozu zboża
	tysięcy	rubli	
1884	505,505	310,381	56
1885	497,946	280,050	56
1886	436,515	216,907	50
1887	568,520	307,580	54
1888	778,499	441,028	57
1889	752,051	375.401	50
1890	687,017	338,506	49

Pewne zmniejszenie stosunku procentowego wywozu zboża do ogólnéj sumy, znajduje się w związku z obniżeniem cen na zboże.

Za lata 1884 do 1890 sumy zbioru [1]) i wywozu przez granicę europejską, czarnomorską i finlandzką głównych gatunków zboża, przedstawiają się w następujących cyfrach w milionach pudów:

		1884/5	1885/6	1886/7	1887/8	1888/9	1889/90	1890/91
Pszenica:	zbiór ogólny	591	441	416	610	636	434	494
	wywóz	146	105	99	206	216	176	181
	% wywozu	24,7	23,8	23.8	33,8	34,0	40,6	36,6
Żyto:	zbiór ogólny	1,125	1,145	1,086	1,200	1,149	904	1,091
	wywóz	81	64	75	80	104	75	96
	% wywozu	7,2	5,6	6,9	7,4	9,1	8,3	8,8
Owies:	zbiór ogólny	552	440	622	671	598	530	596
	wywóz	44	27	50	90	73	57	59
	% wywozu	8,0	6.1	8,0	13,4	12.2	10,8	9.9
Jęczmień:	zbiór ogólny	224	178	223	270	254	193	263
	wywóz	49	25	57	77	70	59	57
	% wywozu	21,9	14,0	25.6	28,5	27,6	30,6	21,7

W zagranicznym handlu zbożem, w peryodzie 1884—90, zaszły poważne zmiany, mające swój wyraz przedewszystkiém w nadzwyczajnym rozwoju wywozu Rosyi. Do r. 1884 *maximum* wywozu (w r. 1878)

---

[1]) Wedle danych centralnego komitetu statystycznego, przyczém z powodu braku wiadomości co do Królestwa Polskiego z r. 1884—87, przyjęto co do tych gubernii i za te lata średni urodzaj z r. 1888--1892, a wobec braku wiadomości o Kaukazie północnym z r. 1884—91, przyjęto średni urodzaj tamże z r. 1892—93. Wagę czetwierti przyjęto: dla pszenicy 10 pudów, dla żyta 9 pudów, dla jęczmienia 8 pudów, dla owsa 6 pudów.

czterech głównych gatunków stanowiło 354 miliony pudów, kiedy stopniowo rosnąc od r. 1884, dosięga on w 1887/8 r. 462 milionów pudów, a w 1888/9 r. 463 milionów pudów. Zwiększenie to pozostawało nietylko w związku z rozszerzeniem uprawy zbóż i obfitemi zbiorami, ale także z podniesieniem się zapotrzebowania zagranicą ziarna rosyjskiego; tém téż objaśnia się znaczne podwyższenie stosunku procentowego wywozu do zbioru ogólnego. Tak np. pszenicy w kampanii 1889/90 r. wywieziono 40% całego zbioru, żyta w 1888/9 r. 9%, owsa w 1887/8 r. 13,4%, jęczmienia w 1888/90 r. 30,6%

Powiększenie zapotrzebowania ziarna rosyjskiego nastąpiło skutkiem przez lat kilka następujących po sobie nieurodzajów na zachodzie Europy i w północno-amerykańskich Stanach Zjednoczonych, jak również powstrzymania rozwoju obszaru zasiewów, pojawiającego się w owe czasy zarówno w Europie, jak i za oceanem, pod wpływem zniżkowego ruchu cen na zboże. Na powodzenie ziarna rosyjskiego, jak również naddunajskiego, wpłynął także i wewnętrzny postęp gospodarstwa wiejskiego, rozwój sieci dróg żelaznych i ulepszenie komunikacyi morskich, a po za tém do pewnego stopnia ustanowienie w krajach potrzebujących wysokich ceł przywozowych na zboże, jako towar. Zboże zaoceanowe, obciążone wyższemi frachtami, nie mogło w jednakowym stopniu z zaeuropejskiém dopełnić ustępstwa w cenie, koniecznego skutkiem przełożenia części ciężaru celnego na sprzedawcę zagranicznego. Dla tego wszelkiemu ulepszeniu przymiotów ziarna i warunków handlu zbożem w produkujących je krajach europejskich, towarzyszył też postęp w ich działalności eksportowéj, co popierały także następujące po sobie nieurodzaje w Ameryce, Indyach wschodnich i Australii. Na wprowadzeniu ceł wyższych na zboże najwięcéj straciły Indye wschodnie, gdyż produkowane w nich zboże, przywożone do Europy, płacić musi najwyższe frachty i opłaty za przewóz przez kanał Sueski. Od roku 1887/8 tańsza, a jednakowo dobra pszenica rosyjska wyrugowała ziarno wschodnio-indyjskie z rynków włoskich i od r. 1888/9 z francuskich.

Pszenica dolno-dunajska, która dawniéj z trudnością znajdowała zbyt na rynkach zachodnio-europejskich, ulepszona nasieniem węgierskiém, wyrugowała na rynkach belgijskich towar amerykański, z powodzeniem konkuruje w Szwajcaryi z pszenicą węgierską i nabrała znaczenia także w zachodnio-europejskim handlu zbożowym.

Stopniowa zmiana znaczenia ziarna, pochodzącego z różnych źródeł w rynku międzynarodowym, okazuje się z następującego zestawienia wywozu pszenicy z Rosyi, północno-amerykańskich Stanów Zjednoczonych i Indyi wschodnich:

	Wywóz w tysięcy pudów				Ogólna wartość wywozu w tys. rubli metalicznych	Średnia cena za pud: Rosya		Stany Zjedn.	Indye wsch
	Rosya	Stany Zjednoczone	Indye wsch.	Razem		w kop. kred.	w kop. metaliczn.		
1880	61,392	250,108	23,954	335,451	300,906	145,0	94,7	88,6	86,1
1881	82,223	208,502	64,184	354,906	314,242	145,0	95,3	87,1	84,4
1882	128,229	191,004	45,704	364,937	305,098	129,7	81,7	88,1	83,6
1883	141,204	122,924	67,715	331,303	263,564	120,9	74,7	83,4	82,6
1884	114,483	141,298	51,153	306,161	218,901	114,3	72,1	68,6	77,6
1885	155,114	91,788	68,051	313,897	202,925	94,3	59,7	65,7	78,8
1886	91,517	154,414	71,837	317,768	210,952	104.4	63,6	63,6	75,6
1887	135,250	164,668	43,744	343,662	226,482	107,0	59,8	66,6	79,9
1888	214,729	85,740	56,941	357,410	233,919	103,9	60,2	66,6	83,8
1889	190,546	76,562	44,608	311,716	218,479	101,2	66,7	64,9	81,7
1890	182,085	85,290	46,263	313,638	—	98,5	71.1	64,3	—

Ogólna suma wywozu pszenicy z tych trzech krajów, występujących jako główni dostawcy tego ziarna na rynek wszechświatowy, przez ciąg dziewiątego dziesiątka lat wieku bieżącego, stała mniéj więcéj na równi, nieznacznie z roku na rok wahając się, około 353 milionów pudów; ale wewnętrzny rozdział téj sumy między owe trzy kraje przedstawia znaczące zmiany, warunkowane wzajemną konkurencyą. Przedewszystkiém wypada wyłączyć Indye wschodnie, wywóz ich bowiem stanowi niejako dopełnienie tylko do wywozu Rosyi i Stanów Zjednoczonych. Tam handel eksportowy pszenicą ma znaczenie drugorzędne w stosunku do handlu wewnętrznego, a cyfra wywozu znajduje się w większéj zależności od kursu rupii, stopy frachtowéj i cen w krajach potrzebujących, niżli od rozmiarów urodzaju miejscowego. Nadto wywóz z Indyi wsch. odznacza się działalnością na wiosnę i z początkiem lata, kiedy konkurencya Rosyi i Stanów Zjedn. stosunkowo słabnie. Właściwa walka toczy się głównie między Rosyą i Stanami Zjedn., a przytoczone cyfry wyraźnie wskazują na stopniowe od r. 1880 zastąpienie pszenicy amerykańskiéj przez ziarno rosyjskie. Szkoda tylko, że jednocześnie spostrzegać się daje i stopniowy upadek cen.

Z pomiędzy różnych gatunków towaru zbożowego, najwięcéj podniósł się wywóz z Rosyi: pszenicy, jęczmienia, kukurydzy, bobu, kaszy gryczanéj i otrąb. Znaczne, prawie trzykrotne powiększenie wywozu otrąb przeważnie objaśnia się bardziéj ulgową opłatą celną tychże na granicy Niemiec, aniżeli mąki. Co do rozdziału wywozu rosyjskiego wedle państw, zauważyć należy przedewszystkiém, że rozszerzenie się tegoż głównie nastąpiło do W. Brytanii, Włoch, Hiszpanii, Rumunii i Francyi. Wywóz do Niemiec rozwinął się nie równolegle z ogólnym wzrostem; co szczególniéj zauważyć się daje na życie, najważniejszym towarze rosyjskiego importu zbożowego do Niemiec, którego w r. 1876

wywieziono tam 53% ogólnéj ilości onego z Rosyi, w r. 1884 zaś 35,8%, a w r. 1890 tylko 20,6%.

Podobnąż redukcyę dostrzedz można i co do innych towarów zbożowych. A objaśnia się to powiększeniem zapotrzebowania na zboże rosyjskie przez inne, a zwłaszcza południowe kraje, i zmniejszeniem pośredniczego handlu Niemiec towarami rosyjskiemi, upadkiem tego znaczenia Królewca i Gdańska, jakie porty te dotąd posiadały dla wywozu rosyjskiego. Położenie takie zależy tak od żądania świadectw o pochodzeniu zboża, od czasu wprowadzenia w Niemczech cła na zboże, jak i od rozwoju wywozu zboża z południowych portów rosyjskich, pozostających głównie w stosunkach z Londynem i portami holenderskiemi. W ostatnich czasach młynarze berlińscy zakupowali żyto przez kantory londyńskie. Nie bez wpływu były na odpowiednie cyfry wywozu do Niemiec wysokie także cła niemieckie, przygniatające konsumcyę. Zauważyć wszakże należy, że rozdział wywiezionych z Rosyi transportów zbożowych na państwa pojedyncze, nie daje jeszcze dokładnéj wskazówki rozmieszczania się zbóż samych wedle krajów konsumujących one. Wedle istniejących zwyczajów portowych, wiele transportów z miejsca wysyłanych jest do Malty, albo Gibraltaru, w statystyce więc urzędowéj zapisują się jako idące do Anglii, kiedy w pośrednich tych miejscowościach otrzymać one mogą zupełnie inne przeznaczenie. Tém też objaśnia się słaby, wedle danych urzędowych, postęp stosunków z Belgią i Holandyą. Tymczasem wiadomo, że w ostatnich latach, pod wpływem wprowadzenia ceł w sąsiednich krajach, a nieistnienia cła tego w Belgii i Holandyi, kraje te zamieniły się jak gdyby w składy zbożowe, a działalność ich z każdym rokiem wzrastała. Stosunki morskie z krajami naddunajskiemi i z południem Rosyi, wzmocniły się przez energię kupiecką tych krajów, czemu dopomagało obniżenie taryf kolejowych w kierunku portów morskich. Ze względu na to położenie i dzięki taniéj komunikacyi wodnéj i wśródlądowéj, nabytek zbóż na rynkach holenderskich i belgijskich dla kupców z dolnych Niemiec, Luksemburga, a w części szwajcarskich i francuskich, stał się dostępniejszy i tańszy, aniżeli inną drogą. Odbiło się też to bezzwłocznie na redukcyi ruchu tranzytowego zboża naddunajskiego, a w części i rosyjskiego, przez austryackie i niemieckie drogi żelazne. Wywóz zboża do Turcyi, Grecyi i Egiptu stosunkowo rozwinął się bardzo mało, a wywóz mąki, w którym wogóle nie można było dostrzedz postępu, upadł nawet. Również mało rozwinął się wywóz do krajów północnych: Szwecyi, Norwegii i Danii. Praca, z któréj zdajemy sprawę w tém miejscu, mieści szczegółową tablicę eksportu zboża w tysiącach pudów w latach 1884—90 przez różne granice państwa, z któréj okazuje się, że przez

granicę baltycką widać zmniejszenie wywozu wszelkiego rodzaju zbóż, oprócz owsa, czego przyczyną, jak wyżéj zaznaczono, jest nieurodzaj zbóż w kotlinie Wołgi, zasilającéj zbożem Petersburg i Rewel. Gwałtowniejszy jeszcze upadek wywozu przez granicę pruską i austryacką, pozostaje w związku ze zmniejszeniem się ruchu transportowego zbóż rosyjskich i upadkiem znaczenia Gdańska i Królewca.

Wywóz towarów mięsnych wahał się znacznie w okresie 1884—90 roku. Tak np. wywóz wieprzowiny, sięgający w 1884 r. 1,350 tysięcy rubli, spada w r. 1885 do 295 tysięcy, wzrasta w r 1889 do 1,075 tys. rub. i dosięga w 1890 r. 2,407 tys. Gałąź ta gospodarstwa, pomimo ciągle wzrastającego popytu na Zachodzie na towar mięsny, słabo jeszcze bardzo w Rosyi jest rozwinięta, a wielkość tego wywozu w wysokim stopniu zależy od biegu interesów zbyt ograniczonéj liczby przedsiębiorstw. Niejaki postęp dostrzedz można w wywozie masła, które poczyna być pomyślniéj zbywane na rynkach małoazyatyckich i do Niemiec. Silnie rozwinął się wywóz jajek: z 240 milionów sztuk w r. 1884 do 755 milionów w r. 1890; jajka z Rosyi przeważnie kierują się do Austro-Węgier, które okazują się jednym z głównych rynków zabierających ten towar, a daléj do Niemiec i Anglii. Wywóz ten wzrósł przedewszystkiém przez komory baltyckie i lądowe, a zatém z centralnego i nadwołżańskiego rejonu. Co do ryb, nie można zanotować postępu w wywozie, nie zwiększył się on ani dla kawioru, ani dla ryb solonych i wędzonych, maleńka zwyżka wywozu nastąpiła tylko dla ryb świeżych. Znacznie podniósł się wywóz cukru, ale trwałość téj podwyżki wywozu zauważyć się daje tylko w stosunku do Wschodu, głównie do Persyi, wywóz zaś do państw europejskich wahał się bardzo znacząco. Przyczyną tego jest okoliczność, że cukier w Rosyi dotąd wyrabia się wyłącznie prawie dla zaspokojenia potrzeby wewnętrznéj, a na eksport idą tylko nadmiary produkcyi. W zupełnie różnych warunkach znajduje się wywóz spirytusu; niektóre rejony produkcyi, np. nadbaltycki, wyrabiają spirytus wyłącznie dla wywozu. Warunki każdoroczněj kampanii eksportowéj znajdują się w bliskiéj zależności od urodzaju zbóż i kartofli, a daléj od położenia międzynarodowego rynku spirytusowego. Spirytus rosyjski, po jego rektyfikacyi w Hamburgu, a po części w Karlshamnie, kierowany jest do Hiszpanii i rozmiary rosyjskiego handlu wywozowego spirytusem zostawały w ścisłym związku ze stanem wywozu spirytusu z Niemiec do Hiszpanii, jak to okazuje następujące zestawienie:

Wywóz spirytusu:		1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890
z Rosyi do Niemiec	mil. grad.	151	258	411	374	343	254	251
z Niemiec do Hiszpanii	tys. kwint.	353	510	513	274	143	137	208

Niemcy są głównym rynkiem dla spirytusu ros. Znaczne jego ilości wysyłane także były do Szwecyi, skąd po zrektyfikowaniu w dystylarniach karlshamskich, wysyłane były również do Hiszpanii. Z podjęciem przez Hiszpanię środków ku poparciu miejscowéj produkcyi wina i odwróceniu wpływu zagranicznego spirytusu zbożowego, przywożonego dla ulepszenia win miejscowych, upadł i eksport rosyjski do Szwecyi.

Trwalszemi znacznie okazują się rynki na Wschodzie: Turcya, a w części Bulgarya. Z liczby pozostałych towarów w grupie materyałów spożywczych, zaznaczyć jeszcze należy: zmniejszenie wywozu tytoniu, przy odpowiedniém téż zmniejszeniu jego przywozu, jako téż wzrost wywozu oleomargaryny.

W grupie towarów surowych i wpółobrobionych materyałów, jedno z pierwszych miejsc zajmuje drzewo. W latach 1884 – 90 wywóz drzewa w ogóle wzrósł, a wzrost ten widać prawie we wszystkich gatunkach drzewa, tak w okrąglakach, jak i w obrobieniu, szczególniéj znacznie rozwinął się eksport w r. 1889 i 1890, wskutek rozszerzenia działalności budowlanéj na Zachodzie i powiększenia potrzeby drzewa w głównem jego ognisku targowém. Atoli już w końcu 1890 r. zapotrzebowanie drzewa rosyjskiego wyraźnie podległo wahaniom, co przypisać należy jak rozwijającemu się właśnie w téj porze przesileniu w handlu drzewnym, tak i niezupełnie zadawalającéj jakości i rozmiarom, niezawsze odpowiadającym gustowi potrzebujących towaru rosyjskiego. W tym względzie najwyższe rozszerzenie wywoływało drzewo z Rygi. Głównym konsumentem tego drzewa przez cały peryod 1884 do 1890 była Anglia. Niemcy znacznie zmniejszyły swoje zapotrzebowanie, w części pod wpływem zarządzeń celnych, a w części zaś skutkiem zmniejszenia ruchu tranzytowego przez Niemcy do Francyi i Anglii. Wywóz do Francyi i do Holandyi przez cały ten peryod utrzymywał się dosyć stale, silnie zaś wzrósł w r. 1890. Zauważyć wreszcie godzi się jeszcze rozwój wywozu drzewa z portów rosyjskich do Egiptu.

Wywóz nasion oleistych podniósł się znacznie, zwłaszcza w r. 1887—90; jest to w związku w części z rozwojem wywozu zboża, a w części z brakiem środków spożywczych na Zachodzie w r. 1887 do 1889 i z korzystnym kursem pieniędzy. Z różnego gatunku nasion oleistych, szczególniéj rozwinął się wywóz rzepaku, rzeżuchy i siemienia lnianego, wywóz zaś konopnego mało się zmienił. Jednocześnie z wywozem nasion wzrósł także wywóz makuch. Kierunek wywozu mało się zmienił: na czele krajów odbierających towary oleiste, jak dawniéj, pozostaje W. Brytania, na któréj też udział przypada główna część powiększenia się wywozu, daléj idą Niemcy i Holandya, które również

znacznie powiększyły swój przywóz. Makuchy idą przeważnie do Niemiec, Danii i W. Brytanii.

Dla towarów włóknistych, lnu, konopi i pakuł, cyfra wywozu wahając się z roku na rok, wogóle mało się zmieniła. Konkurencya bawełny i wielu innych egzotycznych materyałów przędzalnych, powstrzymała rozszerzenie się zapotrzebowania lnu i konopi, ale nie mogła przecież sprawić zmniejszenia na nie popytu. Znaczne zmniejszenie wywozu lnu w latach 1885 i 1886 objaśnia się ówczesnym nieurodzajem. Podobnież mało się zmienił i kierunek wywozu, spostrzedz się daje tylko powiększenie eksportu lnu do Francyi, szczególniéj do Belgii, konopi zaś do Niemiec, które stały się głównym rynkiem rozdzielającym (Królewiec) dla konopi rosyjskich. Nadmienić jednak należy, że wartość wywozu lnu spadła, co w części zależy od pogorszenia własności lnu, w części zaś jest w związku z gorszemi jego urodzajami, głównie zaś wskutek lichego sposobu oczyszczenia, a czasem i umyślnego uszkodzenia w celach oszukańczych, co zarówno przy sprzedaży się zdarza, jak i przy wysyłce za granicę. Wartość wywożonego lnu, niegdyś wysoka, stopniowo spada i niższa jest, aniżeli dla tegoż towaru z innych miejsc pochodzącego. W celu podniesienia dobroci lnu wywożonego, zatwierdzone zostały 24 lipca 1890 r. przez ministeryum finansów przepisy opakowania lnu przeznaczonego na wywóz, ze zobowiązaniem wydania świadectw przez odpowiednie komory celne o zachowanie tych przepisów.

W wywozie skór, grzyw i ogonów końskich, szczeciny, pierza, sadła, kości, wełny i innych produktów zwierzęcych, nie można dostrzedz dążności do trwałego rozwoju. Widocznie wzrost wewnętrznego zapotrzebowania okazuje się tu czynnym konkurentem eksportu.

W wywozie produktów górniczych, Rosya w r. 1884—90 zrobiła znaczne postępy. Wywóz platyny z 368 tysięcy rubli rozrósł się do 1,116 tys.; nowo powstał eksport rtęci, w r. 1890 dosięgający już sumy 643 tys. rub., i rudy manganezowéj (piroluzytu), w r. 1890 dosięgający 3,327 tysięcy rubli. Bardziéj jeszcze widoczny jest postęp w wywozie produktów naftowych, jak okazuje następująca tablica:

	Tysięcy pudów					Miliony pudów		
	nafty surowéj	benzyny i innych lekkich olejów	kerosiny i innych olejów oświetlając.	maź naftowa czyszczona	maź naftowa nieczyszczona	odpadki naftowe	wywóz ogólny	wydobywanie ogólne
1881	182	—	134	309	277	67	1,0	41
1882	112	—	229	327	376	77	1,1	51
1883	284	—	1,494	454	1,267	60	3.5	60

1884	602	—	3,949	605	853	452	6,9	90
1885	1,129	—	7,249	648	1,490	208	10,8	116
1886	1,258	0,5	9,195	776	1,452	2,256	15,0	118
1887	1,078	0,6	11,819	1,137	1,664	3,282	19,0	166
1888	299	0,7	27,363	1,516	1,282	4,481	34,9	194
1889	225	2	34,989	1,527	1,927	6,129	44,8	207
1890	761	8	39,767	3,434	1,134	2,986	4,8	241

Rozwój wywozu nastąpił wyłącznie co do kerosiny (nafty oczyszczonéj) i wogóle olejów oświetlających; w ostatnich latach wzrastać zaczął także wywóz mazi i odpadków naftowych, użycie ostatnich na opał zaczęło się bowiem i za granicą rozprzestrzeniać, szczególniéj w W. Brytanii i Belgii. Wzrost wywozu nafty surowéj w r. 1890 jest skutkiem rozpoczętego przerobu tego produktu w Persyi.

W grupie zwierząt, w peryodzie 1884—90, nastąpił wzrost co do drobiu i dziczyzny, które wysyłano głównie do Anglii i Niemiec, a upadek wywozu bydła rogatego i świń. Zmniejszenie co do trzody chlewnéj wynikło głównie ze środków restrykcyjnych, przedsięwziętych przez Niemcy dla zapobieżenia przeniesieniu epizoocyi. Wywóz baranów i owiec spadł do połowy, zaszły téż znaczne zmiany w kierunku wywozu; stopniowo do stosunkowo drobnych rozmiarów spadł eksport do Austro-Węgier i Grecyi, silnie także zmniejszył się od r. 1889 wywóz do Turcyi; odwrotnie rozwinęły się dostawy na rynki francuskie i perskie. Eksport koni po niejakich wahaniach pozostał bez zmiany.

Wywóz wyrobów w ogólnym obrocie rosyjskiego handlu zagranicznego ma jeszcze małe znaczenie, ale rozwój jego, jak wyżéj wykazano, niewątpliwy. Z oddzielnych towarów najznaczniejszy wzrost spostrzedz można dla wyrobów gutaperkowych, sukna, tkanin bawełnianych (głównie do Finlandyi), bielizny, futer, galanteryi i t. d.

Zwracając się do handlu p r z y w o z o w e g o, w grupie materyałów spożywczych, głównym towarem jest herbata. Przez różne części granicy przywóz herbaty (po strąceniu cła) rozkłada się jak następuje:

Rok	P u d ó w					Ogółem ilość pudów	Wartość w tysiącach rubli kredyt.
	Granica europejska	Kaukaz	Komora irkucka czarna	Komora irkucka cegiełkowa	Przez Turkestan		
1884	989,037	805	325,619	761,364	10,366	2,105,013	81,173
1885	769,832	694	371,693	580,337	11,553	1,764,942	56,411
1886	924,077	497	375,393	768,408	7,188	2,132,372	67,218
1887	607,320	532	458,014	944,766	10,463	2,062,937	46,307
1888	695,367	393	472,922	737,847	14,466	1,992,672	34,127
1889	702,091	994	415,846	773,125	22,508	1,914,504	32,099
1890	834,720	879	303,145	699,236	31,799	1,916,980	32,761

Ilościowo przywóz herbaty zmienił się nieznacznie, ale wartość jego bardzo się zmniejszyła skutkiem stanienia przewozu i obniżenia przez Chińczyków ceny tego produktu. Co do okręgów granicznych, nie zachodzą tak znaczne zmiany: większy upadek widać tylko co do herbaty czarnéj, wprowadzonéj przez komorę irkucką w r. 1890, przy jednoczesném podwyższeniu się przywozu przez granicę europejską, wskutek bardzo znacznego a nagłego podwyższenia cen srebra w tym roku, które podrożyło lądową dostawę herbaty. Większe zmiany zaszły w kierunku przywozu. Przez granicę europejską rozpoczął się import bezpośredni z Chin, a obniżyły się dostawy z Anglii i Niemiec. Zmniejszenie przywozu z Niemiec do Rosyi (w 1889 r. 280 tys. pudów, w 1890 r. tylko 15 tys. pudów), stanowiącego przedmiot handlu pośredniczego Niemiec i to prawie wyłącznie z Rosyą (tak np. w r. 1881 wszystkiéj herbaty do Niemiec przywieziono 11,251, a z téj ilości do Rosyi wywieziono 8,425), wynikło z rozszerzenia bezpośrednich stosunków z Chinami, dzięki rozwojowi handlu morskiego przez ustanowienie floty dobrowolnéj. Podobnież i Anglia utraciła rynki rosyjskie. Toż samo stało się i z drugim produktem pośredniczego handlu Niemiec i Anglii, t. j. kawą, którą poczęto przywozić bezpośrednio z krajów produkujących: Brazylii i kolonii francuskich, a także i ryżu. Ryż, dostarczany przez europejskie rynki rozdzielające, przy podwyższeniu cła w r. 1885 dla ryżu oczyszczonego z 70 do 75 kop., a dla nieoczyszczonego z 40 do 50 kop., nie mógł wytrzymać konkurencyi z ryżem perskim, który na zasadzie traktatu z Persyą, opłaca cła 5% od wartości. Cło na ryż, prawie nieprodukowany w krajach rosyjskich, posiada wyłącznie charakter fiskalny, z tego powodu w 1889 r. nastąpiło obniżenie opłat, w celu pomnożenia przywozu ryżu przez granicę europejską do 70 i 40 kop.

Zmniejszenie przywozu soli, od któréj cło 20 kop. od puda, za wyłączeniem przywożonéj do portów gubernii archangielskiéj, gdzie tylko 10 kop. opłaca (przywóz do portów czarnomorskich zupełnie jest wzbroniony), utrzymuje się bez zmiany od r. 1881; jest to rezultat rozszerzenia produkcyi soli wewnątrz państwa, jak widać z poniższego zestawienia:

Rok	Przywóz (tysięcy pudów)	Produkcya krajowa (tysięcy pudów)
1890	1,049	84,857
1889	1,401	85,122
1888	689	67,951
1887	475	70,616
1886	1,203	73,066

1885	2,147	69,180
1884	4,567	62.501
1883	8,984	69,472
1882	10,573	101,770
1881	11,620	50,734

Przywóz pomarańcz i cytryn świeżych, przychodzących przeważnie z Włoch i Turcyi, pozostał na tym samym poziomie, ale wartość tychże spadła prawie półtora raza. Bardziéj jeszcze rażący spadek wartości spostrzedz się daje dla śliwek i oliwy; przywóz tychże od r. 1884 do 1890 ilościowo wzrósł z 87 do 108 tysięcy pudów, a wartość obniżyła się z 566 do 316 tysięcy rubli (towar ten przychodzi do nas przeważnie z Turcyi i Grecyi). Co do przywozu migdałów i pistacyi z podwyższeniem cła w r. 1882 i po wprowadzeniu dodatku 20% w r. 1885, coraz jaskrawiéj odznacza się wzmocniona konkurencya Persyi, od któréj granicy towar ten oclony jest tylko do 5% wartości. Toż samo, choć w mniejszym stopniu, zauważyć można co do daktyli, winogron i rodzynków.

Przywóz séra pod wpływem postępów wyrobu krajowego zmniejszył się nieco, głównie z Niemiec, które okazują się głównym dostawcą; na uwagę zasługuje także rozwój bezpośredniego przywozu sera ze Szwajcaryi. Masło przywożone jest do Cesarstwa wyłącznie prawie z Finlandyi, skąd przywóz zrobił postępy.

Śledzie stanowią bardzo znaczny artykuł handlu przywozowego, a i pod względem fiskalnym artykuł ten ma bardzo ważne znaczenie. Cło od śledzi dwukrotnie było podwyższane: w r. 1885 z 15 kop. złotem od puda *brutto* na 22 kopiejek, a w 1887 na 27 kop., co odbijało się zmniejszeniem dowozu. Wogóle wszakże mało się on zmienił, zostając w zależności bardziéj od rozmiarów połowu tychże, jak w Rosyi, tak i zagranicą. Przeważnie przywożone są śledzie norweskie i szkockie; w ostatnich latach spostrzegać się dawał wzrost przywozu ze Szwecyi. Pośrednicząca w przywozie do Rosyi śledzi działalność Niemiec, miała w ciągu całego rozpatrywanego peryodu niemałoważne znaczenie. W liczbie innych towarów rybnych, import ryb marynowanych, głównie sardynek, przeważnie z Francyi, wzrósł nieco; podobnie rozszerzył się także import ryb solonych i wędzonych. Ten ostatni towar stanowi ważną gałąź produkcyi wewnętrznéj i przywóz jego pochodził wyłącznie prawie z Finlandyi i Persyi, przez granicę zaś europejską był nieznaczny.

Rozmiary przywozu tytoniu w liściach i wiązkach, od którego cło bez zmiany utrzymane było od r. 1881, wahały się bardzo, z roku na rok, zależnie od urodzaju i cen, lecz wogóle mało się zmieniły; przy-

chodzi on głównie z Turcyi przez komorę Odeską. Przywóz tytoniu w cygarach upadł widocznie. Zmniejszenie rozpoczęło się w r. 1877 t. j. od czasu wprowadzenia cła w złocie, a silniéj występować zaczęło od r. 1888—jako rezultat podwyższenia wedle taryfy z r. 1888 cła z 2 rs. 40 kop. złotem od funta do 3 rs. 20 kop.

Przywóz win wogóle zniżył się, oprócz podwyższenia cła wedle taryfy z r. 1885 (wino w beczkach, beczułkach z 2,55 złotem z puda do 3,50—szumiące w butelkach z 1 rs. 10 kop. złotem od butelki do 1 rs. 25 kop.) wpłynął tu także rozwój krajowego wyrobu win. W przywozie cementu także spostrzegać się daje upadek—zwłaszcza od roku 1885, gdy pod wpływem podwyższenia cła z 7 do 9 kop. złotem od puda; wyrób cementu wewnątrz kraju rozpoczął robić znaczne postępy. W r. 1884 produkcya wynosiła 3,603 tys. rubli, w r. 1890 już 5,405 tys. rubli Import siarki rozwijał się: na uwagę zasługuje stopniowy wzrost przywozu siarki bezpośrednio z Włoch, przy jednoczesnem zmniejszeniu importu jéj przez Anglię. Dowóz glin, kamieni filtrowych, młynarskich i t. p. w ciągu dziesięciolecia mało się zmienił.

Przemysł węglowy w ostatnich latach zrobił w państwie poważne postępy, chociaż daleko mu jeszcze do rozmiarów eksploatacyi angielskiéj i niemieckiéj. Na uwadze wszakże miéć należy, że w Rosyi bardziéj rozwinięte jest używanie drzewa, niżeli na zachodzie a daléj w ostatnich latach jako konkurent węgla z powodzeniem wystąpiły odpadki naftowe, których na opał na zachodzie wcale nie używają. W związku z podwyższeniem cła, wzrost wydobywania węgla i używanie nafty na opał stopniowo choć powoli zmniejszają dowóz węgla zagranicznego, jako wyjątek występują tylko lata 1888—90 kiedy w zależności od podwyższenia się kursu pieniędzy a stąd osłabnięcia opieki celnéj, przywóz wzrastał. Import koksu z roku na rok rozszerza się. Poniżéj zestawione są wiadomości o rozmiarze wydobywania węgla kamiennego w Rosyi i handlu zagranicznego tymże:

	Wydobyto węgla	Przywóz węgla	Przywóz koksu
	tysięcy pudów		
1890	367,204	93,944	12,289
1889	379,350	113,873	12,023
1888	316,594	96,046	9,792
1887	276,779	86,877	8,782
1886	279,393	107,013	6,400
1885	260,578	106,296	5,041
1884	239,921	112,336	4,452
1883	242,799	132,047	6,263
1882	230,194	103,161	2,202
1881	213,258	107,104	1,967

Przywóz węgla z Anglii pozostał prawie bez zmiany, z Niemiec zaś corocznie zmniejszał się. Cła na węgiel z Niemiec okazały działalność swoją, wywoławszy dający się zauważyć rozwój wytworu i wypchnięcie zagranicznego węgla z rynków Królestwa Polskiego, jak to okazuje poniższe zestawienie:

Rok	Wytwór Królestwa	Przywóz zagran. węgla
	Tysięcy pudów	
1890	150,710	7,136
1889	151,109	8,247
1888	147,357	8,687
1887	121,156	10,171
1886	120,057	23,834
1885	109,282	22,765
1884	103,473	23,433

Przywóz koksu, w przeciwieństwie z węglem kamiennym, wciąż wzrasta; przychodzi on głównie z Niemiec a dalej z Anglii i Austryi. Nieistnienie wyrobu koksu w polskiém zagłębiu węglowém stanowi jedną z podstaw stopniowego rozwoju przywozu koksu z zagranicy. Przywóz węgla kamiennego i koksu, wedle oddziałów granicy europejskiéj, przedstawił następujące cyfry w tysiącach pudów:

Granice:	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890
Węgiel kamienny.							
Białomorska	247	290	214	118	274	299	289
Baltycka	69,802	70,258	72,761	70,543	69:582	84,499	74,560
Pruska	19,574	19,070	19,673	12,289	10,590	10,092	8,884
Austryacka	2,315	1,970	1,283	603	504	565	768
Rumuńska	4	1	2	1	—	1	—
Czarnomorska	20,368	14,704	13,080	3,322	15,095	18,460	9,474
Azowska	25	3	—	—	—	6	13
Ogółem	112,336	106,296	107,013	86,877	96,046	113,875	93,989
Koks.							
Białomorska	—	1	1	1	—	12	3
Baltycka	2,201	2,763	3,064	3,810	3,462	5,391	3,203
Pruska	1,729	1,948	2,898	3,807	4,379	4,374	5,868
Austryacka	514	304	403	1,164	1,325	2,106	3,188
Rumuńska	2	—	—	—	—	—	—
Czarnomorska	5	25	34	—	625	141	27
Azowska	2	—	—	—	—	—	—
Razem	4,452	5,041	6,400	8,782	9,792	12,023	12,289

Przywóz bawełny surowéj wedle okręgów granicy okazuje się następujący w milionach pudów:

Granica Europejska	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890
Baltycka	3,500	2,853	3,616	6,307	4,841	6,205	6,165
Pruska	1,145	1,460	1,548	1,876	395	516	435
Austryacka	137	209	278	219	6	5	7
Czarnomorska	1,537	1,889	1,777	1,718	1,661	1,916	1,487
Ogółem	6,318	6,410	7,229	10,120	6,903	8,651	8,103
Granica Azyatycka							
Czarnomorska	—	—	—	—	—	—	1
Perska	3	7	11	14	39	33	42
Kaspijska	20	25	16	16	47	45	79
Komora Astrachańska							
Z Persyi	372	417	282	265	349	329	285
Z Azyi środkowéj	74	79	—	361	620	1,054	—
Kraje Zakaspijskie	—	—	—	--	—	—	156
Komora Turkiest. z Chin	—	—	—	—	—	—	0.5
Ogółem	469	528	309	656	1,055	1.461	562
Razem	6,787	6,938	7,529	10,777	7,958	10,112	8,665

Przywóz bawełny surowéj chociaż się podniósł, ale nie tak znacznie, jak spodziewać się można było, sądząc z rozwoju przemysłu bawełnianego w Rosyi. Taka, na pierwsze wejrzenie uderzająca niezgodność objaśnia się ogromnym wzrostem produkcyi bawełny w posiadłościach rosyjskich w Azyi środkowéj. W r. 1814 w Turkestanie surowéj bawełny z nasienia amerykańskiego otrzymano tylko 10,000 pudów, w r. 1890 — 924,800 pud., ogólna zaś produkcya wynosiła 1,282,800 pudów a mianowicie:

	Ilość dziesiatyn ziemi uprawianéj.		Zbiór pudów	
Obwód	Amerykań.	Krajowéj	Amerykańskiéj	Krajowéj
Syr-Darja	18,100	1,900	227,800	1,900
Fergański	34,820	18,650	604,000	206,000
Samarkandzki	5,940	11,470	93,990	132.000
Ogółem w Turkiestanie	58,860	31,960	924,800	358,000

Oprócz tego Chiwa i Buchara dostawiają około 1,000,000 pudów. W peryodzie 1884—90 zaszły także zmiany w kierunku przywozu. Po wprowadzeniu do Rosyi bawełny, Niemcy i Anglia oddawna zajmowały stanowisko niemało znaczące, ale w ostatnich latach znaczenie to upadło wraz z rozwojem bezpośrednich stosunków ze Stanami Zjednoczonemi i Egiptem. W r. 1884 przy ogólnym przywozie bawełny na 6,787 tys. pudów, przez Niemcy dostawiono 1,018 tys. pud., przez Anglię 1,065 tys. pud. a przez Stany Zjedn. 2,700 tys. pudów. W r. 1890 przywieziono 8,665 tys. pud., w téj liczbie tylko 713 tys. pud. z Niemiec, 696 tys. z Anglii a ze Stanów Zjedn. już 5,048 tys., z Egiptu

1,105 tys. Po roku 1887 to jest od czasu ustanowienia wyższego cła na bawełnę przybywającą przez granicę lądową [1]) przywóz przez nią zmniejszył się z 20% ogólnego przywozu do 5%. Przywóz surowéj dżuty zrobił znaczne postępy, co wogóle postawić można w związku z zawojowaniem rynków europejskich i amerykańskich przez to wschodnio-indyjskie włókno. Dżuta w ostatnich latach, przez założenie głównego jéj rynku w Hamburgu, zaczęła być w coraz większych ilościach przywożona z Niemiec, uprzednio zaś przychodziła wyłącznie z Anglii i Stanów Zjedn.

Przywóz przędzy bawełnianéj, który w r. 1879 dosięgał już sumy 30 milionów rubli, zaczął opadać wraz z wprowadzeniem w r. 1882 cła podwyższonego; od tego czasu przędzalnictwo do tyla się rozwinęło i ustaliło, że obecnie przywóz przędzy bawełnianéj dosięga zaledwie 2½% ogólnéj produkcyi tejże w kraju, główna część przywożonéj przędzy przypada na udział maszyn do szycia i pończoszniczych a także skręconéj przędzy, t. j. wogóle przędzy wysokich numerów, w Rosyi mało wyrabianych, numera niższe od 45-go wcale prawie przywożone nie są.

Przędzalnictwo wełniane mniéj w państwie jest rozwinięte niżeli przerób bawełny skutkiem tego przywóz z zagranicy wełny przędzonéj oraz czesanéj, wyłącznie prawie tak zw. kamwole dosięga jeszcze znacznych rozmiarów, zapotrzebowanie zaś przędzy aparatowéj zaspakaja wyłącznie produkcya wewnętrzna. W ostatnich latach na tém polu zauważyć można niejakie zmniejszenie zapotrzebowań fabrykantów zagranicznych, które przecież nie może być objaśnione samemi tylko środkami taryfowemi; — warunkuje się ono także w znacznéj mierze rozwojem wewnętrznéj produkcyi przędzy (w r. 1884—12,5 milionów rubli, w 1890—25 mil. rubli). Przywóz wełny surowéj mało się zmienił. W r. 1890 przywieziono wełny surowéj, czesanéj, sztucznéj 337 tysięcy pud. na sumę 10,3 milionów rubli; przed laty dziesięciu w r. 1882 kiedy spodziewano się wprowadzenia nowéj podwyższonéj taryfy, przywóz był osobliwie wysoki—dosięgał bowiem 509 tysięcy pud. za 11,8 mil. rubli. W r. 1884 zaś równał się 301 tysięcom pud. za 7,9 mil. rubli. Pierwsze miejsce w przywozie wełny zajmują Niemcy, zbywające tu nie tylko znaczną część swojéj produkcyi ale i wełnę surową z dalekich krajów, głównie australską. W ostatnich czasach znacznie wzrósł przywóz wełny czesanéj, w r. 1884 dostarczono jéj 62 tys. pud., w roku 1890 już 189 tys. pud. co odpowiada 500 tysięcom pud. niemytéj weł-

---

[1]) 1 rs. 15 kop. złotem na granicy lądowéj i 1 rs. na morskiéj, kiedy w roku 1882 cło wynosiło 45 kop. od puda.

ny merynosowéj. Przywóz wełny zagranicznéj przy jednoczesném wywozie w kraju wyprodukowanéj, pochodzi z jednéj strony stąd że wełna rosyjska nie posiada gatunku najcieńszego (A. A. A.) a z drugiéj stąd, że o wiele szybciéj rozwija się w Rosyi przędzalnictwo niżeli czesanie wełny, skutkiem czego sprowadzać trzeba czesankę zagraniczną.

Wyrób przędzy lnianéj i konopnéj zdawna ustalił się w Rosyi i dlatego przywóz tychże nie sięga cyfr znaczniejszych, większa część tegoż przypada na udział Niemiec. W inném zupełnie położeniu znajduje się przerób jedwabiu: produkcya krajowa tegoż nieznaczna, przytém gatunek jego niższy jest od zagranicznego, do ostatnich czasów i przemysł skręcalny również nie miał znaczenia a dopiéro z ustanowieniem w r. 1891 opiekuńczego cła na jedwab' kręcony, zaczyna się rozwijać skręcalnictwo jedwabiu, mające niewątpliwe znaczenie dla podtrzymania jedwabnictwa w kraju Jedwab' przybywa wyłącznie z Niemiec, dokąd znowuż przywożą go z Włoch i Francyi. W ostatnich czasach i tu spostrzegać się daje pewne ograniczenie tego pośrednictwa, warunkowane zaprowadzeniem bezpośrednich stosunków z krajami produkującemi.

Przywóz masy drzewnéj i papierowéj wciąż wzrasta, w związku z rozwojem przemysłu papierniczego; zwiększenie to przeważnie przypada na rachunek Finlandyi, skąd znacznie się rozszerzyło w ostatnich latach, dostawa zaś z innych krajów, a zwłaszcza z Niemiec chyli się do upadku.

Przywożone surowe skóry po większéj części należą do liczby tych, jakich z uwagi na klimatyczne i przyrodzone warunki bydło krajowe nie dostarcza, z tego téż powodu i przywóz ich ciągle wzrasta. Dostawiają je przeważnie Niemcy, które z Rosyą prowadzą handel pośredniczy towarem amerykańskim. W ostatnich latach i tu wszakże dostrzedz się daje silny rozwój stosunków bezpośrednich, tak sucho jak i mokro-solonych skór (wielkie skóry z wołów amerykańskich sprowadzają się przeważnie solone na surowo) dostawiono ze Stanów Zjedn. w roku 1886 – 19,7 tysięcy pud., a w r. 1890 już 102 tys. pud. Rozwój przywozu, głównie mokrosolonych skór objaśnia się rozróżnianiem pod względem taryfowym oclenia skór surowych.

Wedle taryfy z r. 1886 suche i mokro solone skóry opłacały 50 kop. złotem z puda, mokro solone 25 kop, do roku zaś 1886 cło od nich wynosiło 50 kop. złotem.

Przywóz skór obrabianych mało zmienił się, cło od nich pozostało bez zmiany, w r. 1885 tylko dodano 20% dodatku. Nieobrobione skóry głównie przywożą się z Niemiec. Przywóz futer zmniejsza się, głównie następuje on z Niemiec, dostawa stąd bowiem dosięga obecnie

50% ogólnego przywozu, przywożone futra z Niemiec, albo stanowią wytwór krajów zaoceanowych albo przywóz zwrotny towaru pochodzenia rosyjskiego po oczyszczeniu, przefarbowaniu i tym podobnych przeróbkach w warsztatach niemieckich.

Przywóz maszyn i narzędzi rolniczych silnie upadł—głównie zaś z r. 1885—kiedy ustanowione zostało cło 50 k. złotem od puda; do owego zaś czasu, tego rodzaju towar wprowadzany był bez cła — dalsze podwyższenie cła w r. 1887 do 70 kop. nie miało już tak wyraźnego wpływu na rozmiary przywozu.

Produkcya metalów w ostatnich latach zrobiła w Rosyi znakomite postępy, zwłaszcza od r. 1887, kiedy dzięki cłom wprowadzono pewność i trwałość opieki dla działalności przedsiębiorczéj. Od r. 1887—90, wytop surowcu podniósł się o 51%, wyrób stali o 68%, żelaza o 19%. Odpowiednio zmniejszało się także i wprowadzanie do kraju metali zagranicznych, głównie surowcu, przywóz zaś stali, nieznaczny wogóle, ograniczał się dostawą wysokich gatunków, mało dotąd w kraju wyrabianych; w znacznych ilościach przywożona była stal tylko w 1876 — 1878 r. co wywołane było czasowym wzrostem zapotrzebowania relsów stalowych. Sumy wytworu, zestawione są poniżej w tysiącach pudów:

Rok	Surowiec	Żelazo	Stal	Miedź	Ołów	Cynk
1890	56,560	26,446	23,103	350	51	230
1889	45,180	26,116	15,796	293	35	225
1888	40,715	22,225	13,571	281	49	237
1887	37,389	22,551	13,765	305	60	221
1886	32,484	22,161	14,761	279	47	256
1885	32,206	22,117	11,776	288	44	280
1884	31,106	22,114	12,633	380	39	264
1883	29,407	19,704	13,546	266	33	224
1882	28,237	18,152	15,120	219	35	273
1881	28,662	17,839	17,907	211	60	278

Ruch przywozu głównych metali przedstawia się jak następuje w tysiącach pudów:

	rok 1881	1886	1887	1888	1889	1890
Ruda	1,076	379	394	483	473	1,430
Surowiec	14.059	16,179	7,878	4,591	7,133	7,713
Żelazo sztabowe	4,829	3,351	2,206	2,616	3,373	3,818
Żelazo w arkuszach i blachach	1,974	1,400	1,556	1,397	1,881	2,008
Stal	470	665	449	579	906	915
Relsy stalowe	880	49	18	13	73	105
Miedź	555	134	51	34	242	268
Ołów	1,108	825	1,079	1,213	1,202	1,319
Cynk	151	164	49	84	244	333

Ustanawiając w r. 1887 cło od surowca po 25 kop. od puda i odpowiednio na żelazo na 50 i 70 kop., rząd miał na uwadze przedewszystkiém osłonienie od zagranicznéj konkurencyi wytworu surowca i żelaza na Uralu oraz zapewnienie tym produktom jak najobszerniejszego pola rozprzestrzenienia, którego zachodnia granica obejmowałaby cały okręg moskiewski. Środek ten miał wpływ dobroczynny nietylko na przemysł uralski, lecz odbił się także przedewszystkiém na przemysłowości guberni południowych, która od téj chwili zaczęła szybko rozwijać się a również na przemysłowości okręgu zamoskiewskiego i Królestwa Polskiego. Uwidocznią to poniższe cyfry o wytopie surowca od r. 1886—1890 przy zestawieniu z jednoczesnym przywozem surowca z zagranicy.

	Wytop w Rosyi w tysiącach pudów					
	Ural	południe i poł. zach.	okręg zamosk.	Królestwo Polskie	Razem	Przywóz z zagran.
1886	21,258	3,078	3,992	2,831	32,484	14,510
1887	23,758	4,158	4,374	3,718	37,389	8,785
1888	24,438	5,433	4,606	4,783	40,716	4,548
1889	25,091	8,468	5,108	5,311	45,180	6,672
1890	28,172	13,418	5,754	7,424	56,568	7,569

Powiększony wytop surowcu pozwolił nietylko wzmocnić produkcyę żelaza i stali w pierwotnych zakładach fabrycznych, lecz dostarczył także materyału i dla zakładów przerabiających, z których fabryki petersburskie, znajdujące się w trudniejszych warunkach konkurencyi z wytworem zagranicznym, zaczęły spożytkowywać surowiec, przerabiając go już to na inne handlowe gatunki żelaza i stali, już to na relsy i inne wyroby metaliczne. Skutkiem tego nastąpiło szybkie obniżenie od r. 1886 przywozu surowca zagranicznego, w pośród którego dosyć widoczną część tworzy zawsze surowiec lany, gdyż zakłady rosyjskie dotąd dostarczają na rynki niezupełnie jeszcze wystarczającą ilość tego gatunku surowca.

Produkcya żelaza i stali dochodząca w r. 1886 do 36,922 tys. pud., podniosła się w r. 1890 do 49,549 tys. pudów, kiedy przywóz żelaza i stali w tymże roku wynosił 6,844 tys. pud. W téj ostatniéj cyfra około $^1/_5$ stanowi żelazo w arkuszach cienkich (Nr 25 wedle birminghamskiego kalibru) idące na wyrób blachy a dotąd w państwie jeszcze nieprodukowane.

Przywóz blachy przez granicę europejską, który niegdyś był bardzo znaczny, w ostatnich latach silnie się obniżył, natomiast przez granicę azyatycką od r. 1886 bardzo rozwijać się począł, co jest w związku ze wzrostem rosyjskiego wywozu nafty. W Batumie zbudowano wielką i bogato w mechanizmy wyposażoną fabrykę blachy,

w któréj wyrabiają skrzynie do wywozu zagranicę nafty oczyszczonéj. Blacha żelazna przychodzi wyłącznie prawie z Anglii, — Niemcy zaś głównie dostarczają żelaza galwanizownnego to jest cynkowanego, dzięki większéj produkcyi i taniości cynku w Niemczech. Ołów w sztabach przychodzi najwięcéj z Niemiec, w arkuszach i rurach z Anglii; powiększenie przywozu ołowiu w części objaśnia zapotrzebowanie na budowę kamer ołowianych do wyrobu kwasu siarczanego, którego produkcya jak wogóle w państwie, tak specyalnie w Baku, gdzie kwas ten konieczny jest do oczyszczania nafty, wyraźnie się rozwinęła. Cynk do Rosyi przywożony jest głównie z Niemiec; część przywozu wszakże stanowi cynk produkowany w guberniach Królestwa Polskiego, który skutkiem wysokich taryf kolejowych, dostawiany jest do Petersburga morzem, przez Szczecin.

Produkcyi wyrobów chemicznych i materyałów farbierskich przez długie czasy w prawodawstwie ekonomicznėm Rosyi, przyznawane było, w stosunku do innych gałęzi przemysłowości, podrzędne tylko znaczenie; zgodnie z tém, cło od wyrobów chemicznych i wyrobów farbierskich naznaczone było jaknajniższe, aby ułatwić tanie nabycie tychże, produkcyom dalszym, potrzebującym takowych. Opieka celna rozpoczęła się i to względem niektórych tylko towarów od r. 1877—85, wszechstronnie zaś zaprowadzona została dopiéro w taryfie 1891 roku. Zgodnie z tém produkcya chemiczna i farbierska przez lat wiele żadnego rozwoju nieprzedstawiająca, zaczęła rozszerzać się od r. 1878, silniéj zaś rozwinęła się dopiéro w ostatnich latach; oto jéj cyfry w tysiącach rubli:

Rok	Wyrób wewnętrzny	Przywóz z zagranicy chemicznych	farbierskich
1890	17,702	12,090	14,530
1889	17,371	12,555	15,662
1888	15,589	11,665	15,170
1887	13,018	12,133	12,935
1886	10,743	12,821	12,973
1885	10,554	13,698	15,037
1884	13,212	15,734	22,225
1883	9,390	16,249	19,503
1882	9,455	26,664	21,082
1881	9,167	18,394	16,807
1876	5,645	7,450	13,812

W r. 1876 ogólna suma wytworu produktów chemicznych i farbierskich, szacowana była na 5,6 milionów rubli—w r. 1890 już na 17,7 milionów rubli. Pomimo szybkiego wzrostu, przemysłowość chemiczna krajowa daleka jest ona jeszcze od zupełnego zaspokojenia potrzeb,

corocznie wzrastających, dzięki rozwojowi rozmaitych gałęzi przemysłu. Dlatego też przywóz nie bardzo się waha — lubo dają się zauważyć cząstkowe zmiany dla oddzielnych towarów; znaczne ożywienie przywozu w r. 1882 objaśnia się spodziewaném wprowadzeniem ceł podwyższonych. Na czele krajów, przywożących wyroby chemiczne i farbierskie stoją: Anglia i Niemcy, gdzie przygotowanie wyrobów tych jest bardzo silnie ugruntowane i w wielu wypadkach nie ma wcale współzawodników na rynkach wszechświatowych; wywóz z tych krajów produktów chemicznych, aptekarskich i farbierskich wzrasta corocznie, głównie co do ilości, gdyż ogólna wartość wywozu stosunkowo mało się zmienia, a to dzięki stanieniu wielu produktów, wynikającemu z ulepszenia procederów technicznych i konkurencyi fabryk. Tém się też objaśnia, że kiedy przywóz materyałów farbierskich ilościowo powiększył się z 2,436 tys. pud. do 3,147 tys. pud. — wartość tego przywozu spadła z 22,649 tys. rubli na 14,981 tys. Z produktów farbierskich stosunkowo najbardziéj w państwie rozwinęła się produkcya farb mineralnych, wyrób zaś farb anilinowych dopiéro jest w stanie prób; zgodnie też z tém wzrósł przywóz farb tego rodzaju (wyłącznie prawie przybywających z Niemiec) które w wyrobie dotąd nie mają współzawodników, a zmniejszył się dowóz farb miedzianych, błękitu berlińskiego, ultramarynu, błękitu paryskiego i t. p.; przywóz glin i farb naturalnych także się powiększył. Przywóz indyga, wogóle biorąc, pozostał prawie bez zmiany, ale z Niemiec upadł: jeszcze w r. 1881 przywóz niemiecki dosięgał 44% ogólnego dowozu, w r. 1890 wynosił tylko 26%; Niemcy zastąpione zostały tu głównie przez Austryę i Włochy, które niedawno jeszcze same zaopatrywały się w indygo z Niemiec, w ostatnich zaś latach z powodzeniem przeprowadziły starania o zawiązanie stosunków bezpośrednich z Indyami wschodniemi, Brazylią i innemi krajami zaoceanowemi. Przywóz rodzimych, to jest samorodnych materyi farbierskich zwiększył się przeważnie ze Stanów Zjed. Przywóz produktów i materyałów chemicznych pod względem wartości zmniejszył się z 16,168 tysięcy rubli do 12,711 tys., ale ilościowo wzrósł z 5,040 tys. pudów do 5,375 tys. Co do poszczególnych towarów téj kategoryi, zmniejszenie przywozu nastąpiło co do lekkich olei oświetlających, skutkiem wyraźnego rozwoju ich produkcyi w kraju, farbki do prania, któréj wyrób, mający po części charakter drobnoprzemysłowy, także wzrasta w kraju, a daléj kwasów, azotowego, solnego i siarczanego, sody gryzącéj i zwykłéj, preparatów gliniastych i saletry sztucznéj, których wyrób silnie już się w Rosyi ugruntował. Naodwrót przywóz gum, żywicy, soli potażowéj stasfurckiéj, saletry

chiliijskiéj, szmerglu [1]) i t. p. w państwie nieprodukowanych, stale wzrastał.

Przywóz gotowych wyrobów zmniejsza się we wszystkich grupach: opieka celna wyrobom zapewniona została dawniéj, niżeli pół fabrykatom lub materyałom surowym, wytwór też gotowych wyrobów w wielu gałęziach można uważać za zupełnie utrwalony i dosięgający znacznéj już doskonałości. Produkcya metaliczna w obecnych czasach dosięgła już takiego rozwoju, że w głównych gałęziach: wytopie surowcu i stali, fabrykacyi drutu i wyrobów drucianych, wyrobów kutych, z żelaza i stali, wyrobów ślusarskich, nożownictwie, wyrobach miedzianych, złotych, srebrnych, cynkowych, cynowych, ołowianych i t. p., przywóz waha się już tylko między 1—10% ogólnego spożycia wewnętrznego. Wyjątkiem okazuje się tu wyrób kos, sierpów i różnego rodzaju narzędzi, mający dotąd charakter drobnego przemysłu, który ani co do gatunku ani co do ilości wyrabianych przedmiotów nie może zaspokoić potrzeby wewnętrznéj. Podobnież i wyrób maszyn nie dosięga jeszcze rozmiarów, niezbędnych dla zupełnego zaspokojenia zapotrzebowania krajowego, chociaż produkcya ta równa się już 52,682 tys. rubli wartości. Odpowiednio temu spostrzegać się daje stopniowe zmniejszenie przywozu wyrobów metalowych, z wyjątkiem kos, sierpów i t. p. a także i maszyn. W dostarczaniu wyrobów metalowych, Niemcy wraz z Anglią mają wybitne znaczenie. Co do innych wyrobów, jak bawełnianych, wełnianych, szklanych i t. d., zauważyć należy, że przywóz ich w ostatnich latach nie doznał zmiany i tylko w porównaniu z rokiem 1876 przedstawia zmniejszenie. Ale od tego roku przemysłowość krajowa zrobiła także znaczne postępy, że na wewnętrznych rynkach z krajowemi wyrobami konkurować mogą tylko w kraju niewyrabiane towary, lub cieszące się znacznie wyższą dobrocią wyrobu.

Streścił dr. J. B—r.

---

[1]) Od lat kilku w Warszawie założona pierwsza fabryka szmerglu—rozwija się z każdym rokiem.



Antoni Lange i jego „Poezye.”

(CZĘŚĆ I).

Antoni Lange, jako poeta i estetyk, jest dostatecznie zapewne znany wśród miłośników wytwornego słowa. Giętki i egzotyczny jego styl, subtelność uczuć i smaku, wyodrębniły go dobitnie wśród innych. Czuła i delikatna organizacya psychiczna, nader łatwo odbierająca, jak i odbijająca wrażenia, swobodne i poufne obcowanie z górującemi prądami duchowemi naszéj epoki, pewien nawet zmysł historyczny, który pozwala poecie przenikać łatwo stare religie, nauki, cywilizacye i filozofie, wszystko to razem sprawia, że poezyą swoją autor wznosi nas nad poziom codzienny, że nas owiewa atmosfera istotnie wyższych pojęć, subtelnych uczuć i niepowszednich bólów. Są rozmaite umysły: domowe i swojskie, ludzkie i kosmopolityczne, są i takie, któreby nazwać można kosmicznemi, które jakby odczuwają drgnięcia planet i światów i uważają się za nierozdzielną cząstkę kosmosu. Jeżeli umysły pierwszéj kategoryi są wytworem danego społeczeństwa i danéj ziemi, to drugie i trzecie tylko język, którym, dodajmy, zazwyczaj świetnie władają, pozwala zaliczać do pewnéj grupy narodowéj, bo duch ich jest tak i o tyle przynajmniéj ogólno-ludzki, o ile poziom i nastrój momentu cywilizacyjnego pozwala na asymilacyę jednostki ze światem powszechnym.

Do poetów téj drugiéj kategoryi należy i Lange. Jego światem jest świat wyobrażeń, uczuć i zwątpień powszechnych. Pod względem

wpływu na ogół, taka organizacya i takie widzenie rzeczy nie sprzyja bynajmniéj spopularyzowaniu autora. Chociaż przedwcześnie dziś stawiać to pytanie — gdyby jednak wypadło odpowiedziéć, co dla Langego z jego niepospolitym talentem może być przeszkodą do zostania poetą popularnym, odpowiedziałbym: za wiele metafizyki, a za mało odtwarzania rzeczywistości.

Poezya jego jest oderwana i liczyć może właśnie tylko na znawców i miłośników wytwornego słowa, których w żadnéj strefie i nigdy nie ma za wielu. Lecz od tych nielicznych za to należy mu się uwaga, uznanie i współczucie.

Lange należy zupełnie, umysłem i nerwami, wiarą i duszą, do współczesnéj, wrażliwéj, ale i zatrutéj generacyi.

„Od zbytku haseł my dziś, jak sieroty,
Zatraciliśmy blask gwiazdy przewodniéj,
I nie jesteśmy już zdolni do cnoty,
Nietylko cnoty, ha, nawet do zbrodni“ (str. 150).

Generacya ta jakby przyniosła z sobą na świat zmęczenie, smutek, uczucie bólu i niepokonanego smutku.

„My, syny tego wieku, co w rozpaczy nieméj
Wije się potępiony — kochać nie umiemy!
Syny rozczarowania — newrozy — zwątpienia,
Zewsząd wchłaniamy w siebie jadowite tchnienia
Wieku, co mówi: Ja wam ironią uśmiercę
Każde bicie serc waszych“ (str. 49).

Uchodzi za pewnik, powtarzany bardzo często, że w tych epokach moralnych, kiedy sceptycyzm nadgryzł dusze i osłabił wiarę w życie i jego cele, literatura, jako zwierciadło i współczynnik téj przemiany, staje się wykwintną pod względem formy, wątłą zaś i chwiejną pod względem treści. Zapewne, że i tak bywa; było tak nawet z pewnością w okresie chylenia się do upadku cywilizacyi rzymskiéj. Czy to samo powiedziéć można o naszéj epoce? Czy wykwintni pisarze współcześni są tylko wirtuozami formy, bawiącymi się z nudy w wytworną igraszkę słów i myśli, w obmyślanie efektów dla olśnienia czytelników? Chyba nie. Nie bawią się, bo świadczy o tém gorycz i ból, któremi kartki ich utworów są przesiąknięte. Motorem ich umysłów nie jest nuda, przesyt i szyderstwo, bo świadczą o tém częste krople łez serdecznych i krwawéj ironii na papier przelane. Z pewnością czują nie mniéj od pogodnych i niezachwianych optymistów. Cóż więc właściwie wyrażają, czego pragną i dokąd dążą ci niezadowoleni i niespokojni, gorączkowi i obojętni, rozpaczający i szydzący na przemian, na których ludzie „złotego środka” spoglądają, wzruszając ramionami, o któ-

rych tryumfujący zawsze rozsądek dnia pospolitego powiada, że nie wiedzą, czego chcą, wytyka ich palcami, przy sposobności zaś najopaczniéj i najpociészniéj oskarża nawet przed prawomyślnością i obowiązkowym szablonem chwili?

Młody, wrażliwy, bujny i wzruszony umysł wchodzi lub pragnie wejść do literatury. Jeżeli jest szczery i bezinteresowny — o tym gatunku zaś właśnie mówię — to nietyle mu chodzi o jakieś stanowisko literackie, ile o wewnętrzną potrzebę wypowiedzenia się, o zadośćuczynienie téj gorączce, która trawi mózg, serce i nerwy. Przypuśćmy, że ta żywa i ciepła organizacya nie posiada jeszcze tego, co nazywają równowagą. Nawiasowo zauważmy, że najwcześniéj osiągają równowagę ciasne głowy, pełne i duże brzuchy. Otóż takiéj wzruszonéj organizacyi przedstawia się w naszéj epoce świat w tonach i kształtach krzyczących dysonansów, poodwracanych stosunków, nielogicznych proporcyi. Szereg tych nielogicznych proporcyi bezustannie przed nią ustawia życie. Męty, któreby powinny zostać na dnie, widzi u góry. Fala życia unosi ją. Zbliża się wreszcie do rogatki literackiéj, gdzie ją właśnie poborca mostowego pyta: czego chcesz?

Odpowiedź, czego chcemy od życia, a nawet od poezyi, sztuki lub filozofii, nie może być ujęta w jedno stanowcze zdanie, zwłaszcza wtedy, kiedy go żąda literacki poborca mostowego, któremu podobnie chyba wypadłoby odrzec, jak ów mądry odpowiada w bajce Krasickiego na zapytanie: „na co rozum zda się?”

Jeżeli więc młoda i żywa organizacya, pełna idei i wrażeń, nie ma jeszcze téj równowagi, któréj od niéj żądają, nie ma gotowéj odpowiedzi na pytanie: „czego chcesz?”, to pamiętajmy, że najsilniejsze dusze szukały nieraz takiéj odpowiedzi całe życie i nie znalazły jéj. Wypada postawić inne kryteryum, które według ilości i rodzaju pierwiastków duchowych, tę organizacyę składających i ożywiających, ocenia jéj obecną lub wnioskuje o przyszłéj wartości. Jeżeli te pierwiastki nie pozostają względem siebie i względem otoczenia w tak zwanym stosunku prawidłowym, to czekamy z ufnością na regulujący i prostujący czynnik przemiany, który je ułoży, o ile one są.

Oddaliłem się od poezyi Langego, wspominając o sposobie, jakim witają poborcy literaccy niektóre talenta, które czy to oryginalnością, czy niezwykłym nastrojem ducha, odstępują od miary ustalonéj. Lange należy także, a raczéj należał do téj kategoryi wyobrażeń i usposobień, bo jeżeli jako umysł krytykujący i poszukujący, autor rozpatruje się po widnokręgu dla znalezienia idei przewodnich i pociągających, to za to jako poeta i artysta posiada dawno świadomość piękna w rozległéj niewątpliwie skali.

Jest to bez zaprzeczenia urodzony poeta. Wiersz jego, jakkolwiek wytworny, płynie prawie zawsze tak swobodnie, jak gdyby był naturalnym sposobem wylewania wrażeń i myśli. Ale poczucie sztuki i wymagania względem samego siebie sprawiają, że Lange nigdy nie jest niedbały; skończona i subtelna forma jest właściwą cechą jego poetyckiéj organizacyi.

Jest także poetą swego czasu, który odczuwa i pojmuje, że trzeba stanąć na wysokości prądów i idei, przenikających tę epokę, trzeba umiéć patrzéć na zjawiska i ludzi w tém oświetleniu. Mało kto z młodszéj generacyi naszych poetów posiada tak rozwinięty pierwiastek ogólno-myślowy, jak Lange. Słabą stronę téj zalety, jeżeli tak powiedziéć wolno, stanowi oderwanie się, jak już powiedziałem, od interesów realnych i społecznych, od tego, czém ludzkość żyje najwięcéj i co ją najwięcéj boli. Poezya Langego jest piękna i duchowa, ale eteryczna; za dużo w niéj woni egzotycznéj, za mało krwi swojskiéj. Zapewne, że dążenia i upodobania estetyczne mogą być przy takiém usposobieniu autora osiągnięte i w części zadowolone; nie może jednak być osiągnięte jedno z najważniejszych posłannictw, jakie ma poezya; służba społeczności przez współudział w cierpieniach i walkach mas, przez odtworzenie ich krwawego pochodu, przez wypowiedzenie tego, co serce więzi. Langemu brak, czy téż nie ujawnił dotychczas zmysłu społecznego i politycznego. Wyobraźmy sobie jakiegoś Byrona lub Mickiewicza bez tego zmysłu, bez tego serdecznego zespolenia się z interesami i ideami, które stanowiły ducha i treść dążeń społecznych w owych czasach.

Odczucie tradycyi ludowéj i historycznéj poeta jednak posiada, jak to widać z silnie i pięknie napisanéj „Powieści o Waligórze i Wyrwidębie.” Ogarnia nas tam cień pierwotnych, niebotycznych lasów, zmartwychwstają prastare postaci słowiańskie, czujemy tętno krwi dzielnych, jakby z ziemi wyrosłych plemion, widzimy dawne podania i boje, z prawdziwą oddane plastyką. Dla czego poeta tylko raz w tę strunę uderzył?

W poezyach swoich autor składa gorący i wymowny hołd miłości. Jest to miłość naszego stulecia, w której tak wiele tęsknoty i niepokoju, bolesnych przeczuć i udręczeń, tak mało ufności w jutro i pogody.

My się nie możem kochać, jak gołębie!
Dwie nasze dusze są, jak dwie otchłanie,
Co wzajem patrzą w swe bezdenne głębie
I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie.
Czasem je siła nieznana porywa:
Padamy w cienie jakichś nocy czarnych.

Kędy samotność dumna i straszliwa
Króluje nakształt sił elementarnych.

. . . .

I miłość nasza zda się nieraz walką
Dwóch potęg ciemnych, dwóch dusz nieśmiertelnych,
I z których każda pragnie być westalką,
I strzeże wiecznie swych zniczów udzielnych.

We wszystkich prawie erotykach, fragmentach i sonetach miłosnych panuje smutny oddźwięk, z ciepłém i szczerém uczuciem. Ale w odtworzeniu i odczuciu miłości i kobiety najwyżéj wzniósł się poeta w „ustępie z poematu" „Lilith." Na tych kilkunastu stronicach panuje prawdziwa poezya z całym czarem tonów, kształtów i barw, plastyczna i powiewna, tęskna i rozigrana, zadumana i ironiczna. Jest to jakby historya, jakby synteza żarów, błędów, uniesień i złudzeń miłości, wszystkich jéj typów i postaci.

Wszystkie tam były żywe Galateje,
Wizye malarzy do życia zaklęte,
I wszystkie, które uwieczniły dzieje,
I wszystkie, które sławią księgi święte,
I których piękność głoszą epopeje
W geniuszu baśni lub wieszczów poczęte
Wszystkie kochanki, których imię słynie,
I bohaterki, wieszczki, prorokinie.

„Venus żebraczka" — to krwawe szyderstwo z obyczajów, urządzeń społecznych, z nieodłączną od nich prostytucyą, którą tu poeta boleśnie apoteozuje, z całą grozą kontrastów, z sytém i gnijącém bogactwem u góry, z potworną nędzą u dołu.

W „Sonetach wedyckich" i „Księgach" poeta jednoczy się z naukami i natchnieniami wielkich nauczycieli, reformatorów i prawodawców religijnych. Pierwiastki metafizyczne i panteistyczne, tak wydatne i górujące w wyobraźni autora, który rozważa wszechświat w filozoficznym nastroju, nie dając pierwszeństwa żadnemu systemowi, ani żadnemu żywiołowi, bo uznaje z rozkoszą właśnie wielość i rozmaitość żywiołów — te pierwiastki wypowiadają się tutaj w obiektywnym i historycznym spokoju.

Odbicie powikłanych i tragicznych procesów ducha znajdujemy w poemacie „Vox posthuma." Te kartki są pisane krwią, sercem, cierpieniami i wstrząśnieniami. Czyta je się z żywém podnieceniem i współczuciem.

Bardzo naturalnie, że kto słowo, jego silne i wdzięczne formy, radby uczynić tak twórczym i potężnym czynnikiem świata, jak Lange, ten napisał „Pieśń o słowie" wzniośle i pięknie.

Są słowa święte — jak ołtarze Boga,
I takie mądre — jak lasów milczenie,
I tak podniosłe — jak do niebios droga,
I takie wieczne — jak łzy i cierpienie.

Proza poetyczna w „Godzinie" jest przejrzysta i jasna; lecz tym zaletom formy pisarskiéj, którą autor owładnął, nie odpowiada jasność idei, nad poematem krążących. Wogóle wyznać należy, że w jego poezyi zbywa często na stałéj podwalinie logicznéj, która byłaby pożądana choćby z uszczerbkiem nawet motywów twórczych.

Wrażenia i natchnienia miłosne, któremi rozkosznie lubuje się poeta, z jednoczesném przeczuciem smutnego i nieuniknionego końca uczuć; rozpacz, znużenie, rozczarowanie i zniechęcenie do świata i jego stosunku do człowieka, mogłyby posłużyć do scharakteryzowania Langego, jako przedstawiciela erotycznego pesymizmu i melancholii. Lecz klasyfikacya taka nie objęłaby szali motywów autora.

Lange jest panteistą, spokrewnionym z melancholią. Zakres jego twórczości jest obszerny, w któréj odzywają się echa i z peryodu naszéj wielkiéj poezyi i współczesnéj poezyi europejskiéj, echa rozmaitych dążeń i kierunków, prądów filozoficznych i estetycznych. Umié on z łatwością wchłaniać w siebie idee i pojęcia obce, posiada usposobienie i nerwy kosmopolityczne.

Lecz posiada jednocześnie niepodrabianą szczerość i umiłowanie idei powszechnych. Znać, że szczerze wątpi, szczerze pragnie, szczerze uwielbia i szczerze cierpi.

„Duch ludzki niegdyś był strumieniem małym,
Lecz coraz bardziéj rosnąc w swéj potędze,
Za coraz wyższym goni ideałem
I szuka słowa w coraz wyższéj księdze.
A teraz zanim wynajdziemy szlaki,
Któremi płynąć nam po oceanach,
Błądzimy po nich, jako błędne ptaki,
I płaczem w zwątpień i szału kajdanach."

Jest to organizacya poetyczna, niespokojna, nerwowa, wzruszona, bardzo wrażliwa, z żywém odczuciem piękna, subiektywna. Ta łatwość czerpania z rozmaitych źródeł natchnienia, ta wielka pobudliwość artystyczna, ta szybka asymilacya haseł z poezyi obcych, czynią poezyę Langego lśniącą, egzotyczną, giętką i wytworną, ale niewątpliwie i te cenne przymioty umysłu, bez odpowiedniéj przeciwwagi, przeszkadzają wyobraźni do osiągnięcia zupełnego stopnia samodzielności, tego spo-

koju i siły logicznéj, która przychodzi jako następstwo wypróbowanych uniesień duszy i wysiłków umysłu. Wysiłki takie nadają polotowi ducha moc i pewność, poręczają jego trwałość wobec przyszłości.

Możemy jednak zaufać dobroczynnemu i regulującemu czynnikowi przemiany. Kto, jak Lange, dotychczas zabłysnął takim wdziękiem, często nawet prawdziwą siłą i świetnością słowa, kto posiada tak napiętą i czułą strunę twórczą, ten, złożywszy w pierwszych fazach swojéj poezyi dań egzotyzmowi, zespoli się potém, naturalnym prawie porządkiem rzeczy, ze światem idei i uczuć bliskich, idealnych i społecznych. Gdyby wszakże przemiana talentu inną poszła koleją lub gdyby autor został dłużéj jeszcze w sferze atrakcyi prądów i upodobań, którym obecnie hołduje, to i wtedy pozostanie on wytwornym i delikatnym poetą, poufnie obcującym z prądami duchowemi téj epoki, niepospolitym wirtuozem słowa, talentem szczerym i niezmiernie wrażliwym.

Bolesław Lutomski.



W SOBOTĘ.

SZKIC.



Co sobota wracał Rzepski do domu dopiéro koło północy, dobrze podchmielony.

Przez cały tydzień kropli nawet wódki nie brał nigdy do ust. Lecz gdy po wypłacie zagadnął który kolega:

— No, panie Janie, kieliszek czystéj? Ja stawiam.

Nie próbował nawet opiérać się, powołując się na żonę, dzieci, jak to czynił dawniéj. Siła przyzwyczajenia pchała go wraz z kolegami ku najbliższemu „rogowi,” gdzie, po wychyleniu jednego kieliszka, należało, płacąc za grzeczność grzecznością, postawić drugi. Kolejka szła daléj, i w rosnącym wciąż gwarze rozmowy powielekroć wracała niepostrzeżenie.

O północy zakład musiał być zamknięty, więc gości grzecznie wyrzucano za drzwi.

Najgorzéj było wracać do domu. Mieszkał aż het-gdzieś na końcu Pięknéj, więc coprawda drogę z Solca, gdzie pracował, miał przed sobą prostą, jak strzała, łączył się jednak zawsze dla pewności z kolegą swym z warsztatu, panem Antonim, i obadwaj, wziąwszy się pod ręce, kroczyli pod górę, gwarząc poważnie. Co chwila przytém przystawali, aby, objąwszy się za szyje, kordyalnemi całusami stwierdzić i umocnić dozgonną swą przyjaźń.

Lecz w Alejach kolega skręcał naprawo, musieli się więc rozstać.

Rzepski rozczulony ocierał z policzka łzę, wyaną przy pożegnaniu, i szedł daléj już sam.

Tu jednak zaczynała się jego męka.

Drogę dalszą znał doskonale, bo przecież codzień dwukrotnie ją przebywał. W sobotę jednak wieczorem zmieniała ona zupełnie swój kierunek. Linia prosta stawała się okropnym zygzakiem w niezliczonych jéj skrętach Rzepski poprostu tracił głowę. Przytém i asfalt, po którym stąpał, był jakiś inny, —nie ten, co zwykle.

— Te psie krwie stróże miodem go chyba na noc smarują, czy co u licha?—wyrzekał na cały głos, z niemałym trudem podnosząc nogę do nowego kroku.

Wreszcie ogarniało go błogie rozmarzenie i stawał na środku chodnika, uśmiechając się przyjaźnie do księżyca, lub, w braku jego, do najbliższéj gazowéj latarni. Czasem nawet, gdy był bliżéj latarniowego słupa, obejmował go obu rękami i łkał na jego łonie gorzkiemi łzami, żaląc się na świat i ludzi.

Wkrótce jednak opamiętywał się.

— Panie Janie! — mówił karcącym tonem, — Panie Janie! Szanowny, kochany, drogi panie Janie! Proszę, bardzo proszę, ruchnij no się pan trochę! Ot tak! No, jeszcze! Doskonale! Zuch z pana!

— Daléj, hebesie! Ruszaj błaźnie jeden! — dodawał zmienionym tonem. — Czegóż to się zataczasz ciągle, jak pijany.

Zamyślał się.

— Aleś ty nie pijany, panie Janie?—zapytywał. — Powiédz. Możesz mi ufać, jak najlepszemu przyjacielowi, jak-naj-le-psze-mu przy-ja-cie-lo-wi.

— Daléj! — krzyczał znowu. — Do domu śmigaj, do łóżka, do żonki.

Tu ogarniało go rozczulenie.

— Pedam panu, panie Antoni, co żonka moja cymes, nie kobita. Cy-mes nie ko-bi-ta powtarzał, klepiąc po ramieniu niewidzialnego towarzysza.

— A może nie? — pytał groźnie, stając w wyzywającéj pozycyi, z kułakami na biodrach.

Lecz panująca na ulicy cisza uspakajała go natychmiast.

Kroczył więc daléj wciąż sobotnią, t. j. zygzakowatą ulicą, mijał przecznice: Mokotowską i Marszałkowską, wreszcie u bramy, swojéj bramy, poczynał dzwonić z całych sił.

W domu budzono się we wszystkich mieszkaniach, przyczém każdy robił uwagi:

— Oho! Rzepski dopiéro wraca! Musi cięty uczciwie, bo dzwoni siarczyście.

Lecz Rzepski stoczył krótką tylko utarczkę słowną ze stróżem i odbywał już ostatni, najkrótszy, lecz jednocześnie najprzykrzejszy etap swéj wędrówki: szedł przez długie brukowane podwórze ku oficynie.

Było to dla niego prawdziwą katuszą. Pochyłe ku rynsztokom prowadzące zbocza ciągnęły go ku sobie z nieprzepartą siłą. Bywało i tak, że zdradzieckie pochyłości ścinały go z nóg, i padał, klnąc straszliwie.

Na schodach czuł się już pewniejszym, więc monologował z większą fantazyą. Trzymając się mocno poręczy, mijał pierwsze piętro. Na drugiém czekała nań już zwykle w sieni z zapaloną świécą w ręku, żona, kobieta mała, szczupła, sucha nawet, z wylęknionemi wciąż oczyma. W milczeniu wprowadzała go do mieszkania, poczém szybko i zręcznie ściągała zeń ubranie. Wprawną ręką obmacawszy przy téj operacyi wszystkie kieszenie, wyciągała nieznacznie sakiewkę z pieniędzmi, obliczając zawartość z jéj objętości. Z obawy gniewu męża nie liczyła ich zaraz, lecz natychmiast z cichém westchnieniem chowała do komody.

Nazajutrz Rzepski budził się dość późno.

— A gdzie to Janek?—pytał zaraz żony, drepcącéj po pokoju.

— Do kościoła poszedł z dziewczętami

Mieli dwoje dziewcząt, podlotków, i młodszego syna, uczęszczającego do szkoły technicznéj.

— Nie gniewałabyś się téż, moja Maryś — mówił, widząc zmarszczkę na czole żony. — Przecieżem chyba wczora dużo nie przepił? Ot, zaciągnęli koledzy: chodź z nami, mówią, i chodź, ani rusz się od nich odczepić. No, a ile tam zostało?

— Siedmnaście rubli.

— No, ot, rubla straciłem. Wielka mi rzecz! Inni po pięć zawsze zostawiają. Abo to złego masz męża? Znają mię, żem dobry ślusarz, to i płacą dobrze. Ho! ho! trzy ruble dziennie, to ładny zarobek!...

— Może ci się kiedy co złego stać: złodziéj napadnie, abo co, — szeptała nieprzekonana żona.

— Złodziéj? No, dałbym ja mu! Niechby spróbował! I nie jednego, trzech zgniotę, nawet popijanemu!

To mówiąc, przeciągał się w łóżku, uwydatniając swą rozrosłą pierś i potężne ramiona.

— A chodź no tu Maryś,—mówił już innym tonem.—Mam ci coś na ucho powiedzieć.

I do następnéj soboty wszystko szło jak po maśle.

. . . .

Tego jednak wieczoru z niewytłómaczonych powodów kolejka znacznie częściéj krążyła wśród gości na „rogu,” — to też Rzepski ledwo się trzymał na nogach. Jak zwykle, pod górę wędrowali wspólnemi siłami z panem Antonim i w Alejach rozstali się w najlepszéj komitywie.

Wówczas dopiéro Rzepski zauważył, że miał dziś do odbycia drogę dwa razy dłuższą niż w zwykłą sobotę: zygzakowatych skrętów było znacznie więcéj, a i uchylenia ich od linii prostéj były niezwykłe. Przytém pierwszy to dziś raz próbował robić pijackie taneczne *pas:* trzy kroki w bok i dwa z powrotem. Udawało mu się to zresztą wcale nieźle. Zadowolony więc był z siebie i pomału zbliżał się do celu, robiąc po drodze przeróżne obserwacye.

— Jaki to tu w Warszawie rozumny naród przemieszkuje! Wiedziały bestye, że ja... eee... Rzepski... iść tędy będę wnet po północku, i oświeciły mi galanto drogę. Jaka iluminacya! Ile latarni! I to wszystko dla mnie! Rozumny, psie ścierwo naród!

Na rogu Marszałkowskiéj zatrzymał się, spoglądając z uwagą na szereg olbrzymich topoli, ciągnący się w stronę Mokotowa.

Cisza przeraźliwa, aż w uszach dzwoni.

Nagle czyjeś miarowe kroki odbiły się donośném echem o mury kamienic.

— Cyt! ukryjmy się! — i przytulił się do ogromnego pnia staréj topoli.

Wyjrzał ostrożnie. Daleko, w jasném świetle gazu widać było ciemną sylwetkę przechadzającego się miarowo człowieka.

— Eh! stojący!—mruknął, lekceważąco machnąwszy ręką.

Toczył się daléj.

U bramy uchwycił silnie według zwyczaju rączkę od dzwonka, lecz zamiast donośnego, przeraźliwego dźwięku, doleciał go tylko słaby odgłos, jakby rzężenie.

— W imię Ojca i Syna! —mruknął, łypnąwszy oczyma.— Brama, u kroćset, ta sama!

Zaczął walić z całych sił pięścią w bramę.

— Strusiu, psianogo! otwieraj wrota, bo pan Rzeee...pski idzie!

Wreszcie z domku, a raczéj budy swéj, u bramy stojącéj, wyszedł

stróż, pobrzękując kluczami. Dziecko mu od paru dni słabowało, więc, aby go ze snu nie zbudzono, owinął serce dzwonka w szmatkę.

Rzepski tymczasem powtarzał znowu:

— Strusiu, psia nogo!

— Bodajeś ręce i nogi połamał! — mruknął stróż, otwierając furtkę.

Znalazłszy się w podwórzu, Rzepski odrazu zaczął toczyć się po spiralnéj linii, od czasu do czasu powtarzając pijackie *pas*, jakby dla przypomnienia ich sobie. Przebył bruk dość szczęśliwie, poczém u wejścia na schody oparł się o futrynę drzwi, aby odsapnąć trochę.

— Eeee... panie Janie... panie ładny... czegożeś się pan tak zamyślił? —powtarzał, łypiąc oczyma.—Ruchnij no się pan, dość już tego stania.

Wciąż się tak zachęcając, znalazł się wreszcie na pierwszém piętrze. Tu znowu przystanął, aby odsapnąć.

— Panie Rzee-pski! — mruczał groźnie. — Niedołęgo, gamoniu jeden! a żywo!

I szedł daléj, chociaż niechętnie. Wieleby dał teraz za to, aby tu, na pierwszém piętrze, odpocząć trochę, nabrać odwagi. Czuł dziś na sobie dwa ciężarki: jeden na głowie, drugi na sercu, — pod ich naciskiem budziła się w nim niepojęta trwoga. Musiał jednak iść, ponieważ instynktownie obawiał się własnych swych krzyków i gniewu.

Ciemno było na schodach. Nie tego się jednak bał, bo światło gaszono tu zawsze zaraz po dziesiątéj i przyzwyczaił się już windować tędy głównie za pomocą dotyku.

Pomału, ciężko stąpając, kończył nareszcie wędrówkę. Został mu już tylko jeden schód.

— Spi, czy co, u licha?—mruknął, nie widząc żony, która nań tu zawsze czekała.

Lecz zapomniał o pozostałym schodzie. Chcąc się więc posunąć naprzód ku drzwiom, zaczepił o niego nogą—i runął wtył.

Rżnął się więc lewą skronią o boczną ścianę, potém, odbity, uderzył o tylną, poprzeczną, wreszcie, przekoziołkowawszy się, toczył się na dół po schodach, tłukąc głową o szczeble poręczy.

Zrobił się hałas.

Lokator pierwszego piętra, pan Gawelski, majster mularski, mężczyzna wysoki, chudy, o przebiegłym wyrazie twarzy, pierwszy znalazł się we drzwiach z zapaloną świecą w ręku.

Ujrzawszy leżącego Rzepskiego, począł się śmiać ironicznie.

— Spiła się bestya, jak bela—zauważył.

— Eee... panie Rzeee...pski! — jął przedrzeźniać. — Panie Rzee...pski, ruchnij no się pan trochę.

Wówczas otworzyły się przeciwległe drzwi i ukazała się w nich dość młoda jeszcze, pełna, uśmiechnięta twarz pani Gogelmogel. Była to najzamożniejsza mieszkanka oficyny: wdowa, z fachu rajfurka do wszystkiego, zwana grzecznie kupcową. Niejedną już znajomą dziewczynę, z sierot szczególniéj, wyprowadziła w świat, to téż miano tu dla niéj pewną dozę szacunku.

— A chodź no tu pani i patrz, co ten pijak wyrabia! — mówił filuternie Gawelski.

Osłonięta ogromnym kolorowym szalem, wdowa dała dwa kroki naprzód. Ujrzawszy jednak sąsiada w bieliźnie, wydała lekki okrzyk przestrachu, i poczęła się cofać, strojąc niewinne minki. Gawelski zaś puścił za nią w pogoń kilka rozpustnych słówek, które zmusiły ją ukryć się w mieszkaniu. Odtąd przez niedomknięte drzwi już tylko jéj orli nos widać było.

Tymczasem Rzepska, którą z lekkiéj drzemki budził zawsze odgłos dzwonka u bramy, niepokoiła się już na dobre. Usłyszawszy na schodach hałas, nie przeczuwając jeszcze nieszczęścia, poczęła z zapaloną świecą schodzić zwolna na dół.

Pan Gawelski i pani Gogelmogel ukryli się przezornie za drzwi, nasłuchując.

Cisza...

— Boże! — nieludzki, straszny, rozpaczliwy ryk rozdarł nagle martwą dotąd ciszę oficyny, z niepojętą siłą hucząc i rozbijając się w załomach murów. Rozkołysane echa budziły się w najdalszych zakątkach domu, i po stokroć odbite, żałobną nutą gasły w przestrzeni.

Pan Gawelski i pani Gogelmogel wybiegli z ukrycia.

Rzepska, pochylona, z martwą rozpaczą wpatrywała się w oblicze swego małżonka. Lewy policzek na którym dotychczas leżał, miał straszliwie pokancerowany, a ze skroni sączył się sznurek ciemnéj krwi.

Ale już i dalsi sąsiedzi, zaciekawieni, biegli na miejsce wypadku.

Wzięto Rzepskiego na ręce i ostrożnie w grobowem milczeniu, poniesiono do mieszkania.

Dziewczęta - podlotki, wyrwane ze snu, przecierały przerażone oczy, narzucając spiesznie na siebie spódniczki. Mały Janek był już na nogach i nieprzytomnie patrzał na pochód.

Rzepski już sztywniał.

Zaczęli się schodzić wszyscy współlokatorowie, spoglądając z ciekawością na osieroconą rodzinę. Pani Gogelmogel uprzejmie ofiarowywała zawczasu swoje usługi. Dziewczęta-podlotki spoglądały na nią z trwogą, jakby przeczuwając dla siebie niebezpieczeństwo.

Mały Janek łkał głośno przy stoliku, do nauki mu służącym; i on też czuł, choć niewyraźnie, że już przy nim lekcyi odrabiać nie będzie.

Nagle Rzepska, klęcząca przy łóżku, na którém leżał nieboszczyk, zaniosła się od niepowstrzymanego, duszącego płaczu. I córki poczęły łzy ocierać, chlipiąc żałośnie.

Rodzina rozpoczynała już lament.

Edward Maliszewski.



TOMASZ HARDY

POWIEŚCIOPISARZ ANGIELSKI.



W długiéj już galeryi szkiców i studyów, poświęconych na kartach „Ateneum” współczesnym powieściopisarzom angielskim, ubocznie tylko dotykać nam przyszło tego, którego nazwisko wypisaliśmy powyżej. Nie pochodziło to z lekceważenia jego talentu: bynajmniej. Najpowierzchowniej nawet obznajmiony ze współczesném piśmiennictwem Wielkiej Brytanii wié, jak doniosłe zajmuje w niém stanowisko Tamasz Hardy. Na zapytanie postawione pierwszemu lepszemu krytykowi i znawcy literatury: kogo uważa za najwyższy talent powieściopisarski, nieuniknienie otrzymuje się w odpowiedzi jedno z dwóch nazwisk: Jerzy Meredith i Tomasz Hardy. Sąd ten zależy od osobistych sympatyi krytyka ku idealizmowi, reprezentowanemu przez pierwszego, albo ku realizmowi uosobiającemu się w drugim. Jak już powiedziano dawno, każdy trzymający pióro chyli się ku Platonowi albo ku Arystotelesowi. Jeżeli wśród szerokich pokładów powieściożerców T. Hardy nie jest jeszcze dotąd tak popularny jakby przypuszczać się miało prawo z wysokiej opinii, w jakiej znajduje się u powag literackich, to w każdym razie jest poczytniejszym i popularniejszym od od Meredith'a. Niektóre z jego powieści doczekały się kilku wydań. Ostatnia wielka trzechtomowa jego powieść „Tess of the D'Urbervilles”

datuje z roku 1891 a rozeszła się w tej formie w sześciu edycyach. Wychodzi nakoniec w popularnej, tańszej edycyi, cały zbiór jego utworów. Gdyby się chciało szukać innych dowodów jego roli w ojczystém piśmiennictwie, można by przytoczyć, że o nim, pisarzu stosunkowo młodym i w pełnym prądzie twórczości napisano, oprócz całego szeregu studyów i charakterystyk, dwie samodzielne monografie krytyczne, dwa grube tomy o kilkuset stronicach każdy. Jeżeli jedna z nich, ta której autorka jest Annie Macdonell, nie posiada nadzwyczajnych zalet, to druga napisana przez Lionela Johnsona, wydawcę literackiego tygodnika „the Academy” i jednego z najwykształceńszych umysłów angielskich, jest pomnikiem wzniesionym na cześć powieściopisarza. Stwierdzając, że pisarz taki, jak p. Lionel Johnson, jedynie Shakespear'a uważa za geniusza wyższego i szerszego polotu od Hardy'ego, to się dochodzi do wniosku, że mamy w nim do czynienia z siłą pierwszej wagi, i że nawet gdyby osobisty smak nas ku niemu nie ciągnął, lekceważenie go świadczyło by po prostu o ciasnocie umysłowej.

Jeżeli pomimo dawnej już zażyłości z jego utworami, powstrzymaliśmy się od pisania o nich, to pochodziło to z uznania trudności jaką przedstawia charakterystyka autora tak wyłącznie angielskiego. Gdy powieściopisarz ślizga się po wyżynach tak zwanego wyższego towarzystwa, o kosmopolitycznych rysach, wszędzie znanych i do zrozumienia łatwych, budzi on interes i po za najbliższém swém otoczeniem, wywołuje echa w oddalonych dziedzinach. Ale T. Hardy od 22 lat, pisze i studyuje jeden tylko zakątek Anglii, opisuje jego krajobrazy, zwyczaje, ludzi, w przeważnej części wieśniaków i prostaków, przemawia nawet często ich miejscowym dyalektem. Dla krajowych czytelników łatwo stwierdzić i prawdę i głębokość studyów, i bystrość spostrzegawczą i wewnętrzne piękno malowidła: dla obcych, nie tylko że wielka część tych charakterystycznych rysów przechodzi niepostrzeżoną ale nie potrafią oni ocenić wysokiej oryginalności pisarza, który z wnętrza prowincyonalnego, takie zasobne na jaw wydobył skarby. Nie byłoby lepszego sposobu zaznajomienia czytelnika polskiego z utworami Hardy'ego, jak przetłumaczyć albo choćby streścić które z jego ludowych arcydzieł, np. „Under the Greenwood Tree”, albo „Far from the Madding Crowd”, albo „The Retwin of the Native”. Ponieważ wybór tłumaczy zwraca się z łatwych do zrozumienia powodów, do innego pokroju autorów, trzeba się ograniczać do wyciągnięcia z nich ich esencyi, ich jądra żywotnego. Bez takiego ogólnego syntetycznego poglądu na talent tego autora, czytelnik nie potrafiłby zrozumiéć ani głębokiego, bolesnego, że tak powiemy, wrażenia, jakie uczyniła jego wielka powieść „Tess” nie tylko w całym anglo-saskim świecie ale

wśród wszechwykształconej społeczności, ani tém mniej jeszcze zrozumiéć krzyków oburzenia, złorzeczeń i protestacyi, jakie się posypały na ostatnią świéżo z pod prasy wyszłą powieść: „Jude the Obscure”. Gdybyśmy od prostego o niej sprawozdania rozpoczęli, nowo ze słynnym pisarzem się poznajamiający z niesmakiem odwróciliby się od autora książki, która nie tylko posuwa realistyczne malowidło do ostatnich pozwolonych granic, ale wkracza w dziedzinę owego wstrętnego naturalizmu, co się, na szczęście, przeżył już i w swej ojczyźnie i w krajach co go sobie przyswoić sztucznie usiłowały. Przeciwnie, postawiona na właściwém sobie miejscu, rozważana jako tylko ogniwo długiego rozwojowego łańcucha, nawet i ta powieść, mimo swej krańcowej przesady, pozwala odkryć nowe, dodatnie strony u jéj autora.

Tomasz Hardy urodził się w 1840 roku w Dorchester, główném mieście hrabstwa Dorset, położoném, jak wiadomo, w południowo zachodniej części Anglii. Wraz z sąsiedniemi hrabstwami Devon, Somerset, Wilt, Hamp i New Forest, stanowi ona tę piękną i słynną prowincyę Wessex, w której naprzód Rzymianie a następnie Saxonowie najszerzej się rozsiedli i zkąd wpływ ich potém ku północy się rozchodził. Cała ta część kraju, gdzie na każdym kroku istnieją, aż do chwili obecnej, niespożyte pomniki kolonizacyi i osadnictw różnoplemiennych, jest *par excellence* ziemią wspomnien historycznych i tradycyi: jéj mieszkańcy są z niéj dumni i wytworzyli sobie ściślejszy, miejscowy, prowincyonalny patryotyzm. Z pomiędzy wielu pisarzy co ten nastrój ducha ujawnili, żaden nie posunął go dalej nad Tomasza Hardy. Dla niego ta archaiczna nazwa, Wessex, (zlanie dwóch wyrazów West i Saxon) posiada życiową, dotykalną egzystencyę, a zamieszkująca ją ludność, którą zna od kolebki, którą bada z drobiazgową skrupulatnością, w której duchową naturę zagłąbia się, jest w jego oczach odrębną od ludności innych części kraju. Ta wyłączna, fanatyczna miłość rodzinnego zakątka nie manifestuje się u tego chłodnego, systematycznego pisarza wykrzyknikami i emfazą, ale czuć jéj potężne drganie w każdym rysie, na każdej stronicy. T. Hardy pochodzący z rodziny oddawna w Dorchester osiadłéj, nie opuścił nigdy na długo swego gniazda. Jako młodzieniec, rozpoczął tam studya architektoniczne i chociaż w 20 roku życia, zachęcony powodzeniem i dla wydoskonalenia się w swym zawodzie przyby do Londynu, chociaż pod kierunkiem sir Artura Bloomfield czynił szybkie postępy i specyalnie badał nowogotycką szkołę budowniczą, pozyskał medale i zaszczytne odznaczenia za podjęte w tej gałęzi prace, to nie mógł czuć się szczęśliwym zdala od swego rodzinnego zakątka i niebawem porzucił Kings College i powrócił do Dorchester, zaniechawszy budownictwa, sztuk plastycznych

a wyłącznie poświęciwszy się literaturze. Nie bogacz, ale materyalnie niezależny, mógł iść za popędem swéj wewnętrznéj natury. Z chwilą, gdy powziął stanowczą decyzyę, wprowadza ją w wykonanie bez wahania. Jak fizycznie jest silnym, krzepkim i typem męzkim anglosaskiej rasy doskonałym, tak i moralna jego natura jest jędrna i hartowna. Nie gonił za sławą, nie szukał jéj w poparciu koteryi i hałaśliwéj reklamie. Osiadł w domowej zagrodzie i wyjątkowo tylko zagląda do Londynu. Pierwszą swą powieść, „The desperate remedies", puścił w świat bezimiennie w 1871 roku i tak samo uczynił to z kilku następnemi. Dziwném zdarzeniem, przypisano autorstwo téj ludowej powieści Eliotowi, nieśmiertelnéj autorce „Adama Bede'a" i „Silasa Marner". Nie można było, zaprawdę, nowemu całkiem nieznanemu wówczas pisarzowi, większego uczynić honoru. Nie oszołomiła go ta efemeryczna wrzawa i zdając sobie sam sprawę, że był jedynie nowicyuszem w swym zawodzie, pracował sumiennie i wytrwale wyrabiając w sobie oryginalność umysłową i artystyczną. I szły jedne za drugiemi powieści, nowele, studya obyczajowe jedne doskonalsze, drugie podrzędniejsze, jak to każdemu pracownikowi umysłowemu się zdarza, ale wszystkie świadczyły o powadze, z jaką autor traktował swoje zadanie. Bez żadnego wyjątkowego wysiłku, nie można powidzieć istotnie kiedy, T. Hardy znalazł się w rzędzie pierwszych pisarzy narodowych, i jest dzisiaj, w całéj sile wieku, bezspornie uważany za najznakomitszego przedstawiciela szkoły a raczej kierunku realistycznego w powieściopisarstwie angielskiém.

Należy tutaj zgóry uczynić zastrzeżenie i wyjaśnić z jakiego rodzaju realizmem ma się u niego do czynienia, boć, jak wiadomo, wszyscy powieściopisarze angielscy mniej więcej są realistami, gdyż temperament narodowy nosi takie piętno. Kiedy inne piśmiennictwa hołdowały z kolei „weltschmerz'owi" Goethego, newrozie Francuzów, melancholii pisarzy rosyjskich i pessymizmowi skandynawskich, angielskie, chociaż odzwierciadlało także w sobie te prądy, nigdy nie traciło świadomości życiowego środowiska i malowało świat nie takim, jakim go mieć chcieli ideologowie, ale takim, jakim był istotnie. Brakuje nieraz ich analizie głębi filozoficznej, nie brakuje natomiast dowodów iż odzwierciedlają one życie takie jakie jest, że cienie ścielą się obok światła, a prozaiczne drobiazgi obok wyższych polotów. Gdy się przyjrzymy całemu wielkiemu szeregowi powieściopisarzy angielskich, zacząwszy od Defoe, Richardsona, Fieldinga, Goldsmitha, W. Scotta, Austen'a, a skończywszy na Dickensie, Thackeray'u, siostrach Bronte i Jerzym Eliocie, to we wszystkich bez wyjątku, mimo nakłaniania się przejściowego w tę lub ową stronę, zawsze znajdujemy tę samą reali-

styczną podstawę twórczości. Mówiąc, że pisarz nowéj szkoły jak T. Hardy jest realistą, nie podaje się ściślejszéj, wyłącznéj jemu samemu charakterystyki. Jego zwolennicy i komentatorowie windykują téż dla niego inną nazwę, a Johnson określa go jako humanistę i wróży mu stanowisko klasycznego pisarza. Ażeby je zdobyć, potrzeba posiadać równowagę umysłową, zdrowy, bystry i chłodny umysł, niczego nie przesądzać i niczego nie ignorować, każdemu czynnikowi życiowemu nadawać przypadającą mu wartość, ale ją tylko. Pisarz, który przy takim zasadniczym nastroju, przedsiębierze malować najwyższe, najgodniejsze studyów i naciekawsze objawy życia—ludzkie uczucia i namiętności — jest już nie realistą, ale humanistą.

Nie można, zaprawdę, oddać pisarzowi wyższéj pochwały, jeżeli o świetlaną aureolę i zielony wieniec laurowy poety się nie kusi. T. Hardy postawił sobie za zadanie przedstawić w powieściowéj formie całą grę życia, całą jego epopeę z jego tragicznemi i komicznemi epizodami. Żaden czynnik składowy indywidualnego i społecznego życia pominięty w tym obrazie być nie powinien, jeżeli malowidło ma być wierne a nie sfałszowane: nie ma stron zbyt upośledzonych, zbyt nizkich. Ponieważ nie z człowiekiem-abstrakcyą ale z człowiekiem takim jak jest istotnie ma on do czynienia, zatém przedstawia nam we wszystkich swych powieściach środowisko życiowe takie, jakie ma przed oczyma w swojém rodzinném Wessex. Na tém tle ogólném fantazya artystyczna wybiéra dopiéro jednostki lepiéj jego myśl przewodnią uosabiające. Na pierwszym planie stawia postaci potężne, dominujące ale urobione i ukształtowane przez otoczenie, naturę, fakta, konieczności i warunki życia, a otacza je na drugim planie osobistościami mniéj wydatnemi i instynktowo nieledwie wyrażającemi takie same umysłowo-duchowe usposobienie. Gdy te istoty, nie maryonetki, poruszane wolą maszynisty, ale dźwięczące całą pełnią samoistnego bytu wchodzą w zetknięcie i w starcie z innemi, wyrosłemi na odmiennym gruncie, wyższemi może wychowaniem i wyrafinowanemi aspiracyami ale posiadającemi mniejszą siłę charakteru, gdy te żywioły odrębnéj natury wprowadzają w czyn swe interesa, swe namiętności, a przedewszystkiém najsilniejszą z nich, miłość, wtedy staje przed nami obraz kunsztowny zaprawdę, ale w którym kunszt mniéj nas uderza aniżeli siła prawdy. Taka jest geneza powieściowych utworów Tomasza Hardy.

Jest pewna ciężkość i jednostajność metody, zaprzeczać nie podobna, ale są to nieodzowne następstwa siły i potęgi koncepcyi. Nawet gdyby się nie wiedziało, że autor był budowniczym, możnaby dostrzedz w jego pismach ślady jego pierwotnego zawodu. Nie ma tam

improwizacyi, nie ma kaprysów. Położone są fundamenta zasadnicze, plan całéj budowy obmyślony jest starannie i dla tego każde jego dzieło posiada jednolitość i wywiera wrażenie skończonéj całości. Bez gorączkowego pośpiechu zbiéra on i zgromadza materyały i wznosi z nich gmach o liniach prostych, jasnych, zrozumiałych. Nie goni za efektami, za blaskiem, za lekkością, za dowcipem. Opowiadanie jego idzie zazwyczaj powolnie i dopiéro gdy akcya na dobre jest zawiązana, rośnie szybko, chociaż wyjątkowo tylko biegnie. Styl jego nosi zawsze znamię powagi, rozmyślania: rzadkie są u niego epigramata, wybryki humoru i ironii, a myśl w długich, łacińskich sunąca się okresach, posiada plastyczną wypukłość. Nietylko osnowa ale i forma daje poczucie bezpieczeństwa, rodzi zaufanie do pisarza, który nie żartuje sobie z czytelnika, ale który myśli i mówi na seryo. Jeżeli błądzi, jeżeli się myli, to czyni to w dobréj wierze.

Jak łatwo z góry przewidziéć, pisarz tak poważny i tak sumienny nie jest gotowym do ustępstw i nie uchyla głowy ani przed przesadami, ani przed uprzedzeniami tłumu, ani mniéj jeszcze przed modą. Przekonany o słuszności etycznéj prawdy jakiéj, przeprowadza ją z logiczną, nieubłaganą koniecznością przez wszystkie jéj przejściowe stadya, wysnuwa z niéj wszystkie nieodzowne następstwa nie troszcząc się bynajmniéj o to, czy obrazi religijne lub moralne zapatrywania się na prawo lub na lewo. Nie ma pisarza mniéj dbającego o konwencyonalność. Gdy na saméj już tytułowéj stronicy określa bohaterkę swéj znakomitéj powieści „Tess of the d'Urbervilles" jako kobiétę „czystą" a opowiada nam jéj grzechy i zbrodnie, to nie ma w tém urągowiska ani cynicznego rzucenia rękawicy przeciętnemu pojęciu o czystości i o moralności kobiety: jest to tylko wymiar sprawiedliwości, do wygłoszenia któréj czuł się uprawnionym. Nie łagodzi on chropowatości, nie poleruje sęków, nie rzuca kłamliwych zasłon, ale otwarcie i szczerze wypowiada swe zdanie. Powiedziano o nim, że mu brakuje skry chrześciańskiego miłosierdzia i że posiada pogańską surowość. Agnostycyzmu swego osobistego nie ukrywa wprawdzie, ale stąd nie możemy wyprowadzać wniosku, że jest pozbawiony owego „mléka ludzkiéj dobroci". Pomiędzy nią a czułostkową sentymentalnością jest różnica nie ilościowa tylko, ale jakościowa. Sentymentalnym nie jest T. Hardy bynajmniéj i na myśl by mu nie przyszło dać „szczęśliwe" zakończenie swemu opowiadaniu dla ukołysania czytelnika. Pani Grundy, jak nazywają w potocznym języku angielskim, płaską, przeciętną, kumoszkową moralność, ma co moment sposobność wzdychać nad grzechami, których się on dopuszcza. Nie jest on z zawodu historykiem życia codziennego, idącego wytkniętym torem i nie

pali kadzideł bożyszczu angielskiemu — „*respectability*". Woli natury wyjątkowe, zakłócające ład towarzyski, albo posiadające ogień wewnętrzny, siłę namiętności. One to nadają się lepiéj do tragedyi i różnych drastycznych wypadków, które w większej części jego powieści znaleźć można. Ma on żywą imaginacyę twórczą i każdy z jego utworów nosi jéj ślady: osnowa interesująca, wypadki dramatyczne, intryga prowadzona umiejętnie. Nikt lepiéj od niego nie potrafi z małego pierwotnego jądra rozwinąć całą tragedyę i natchnąć ją patetycznością, nie sceniczną, ale tą jaka istnieje zawsze w ludzkim, nawet najprostszym żywocie, lecz którą tylko głębszy umysł wyszukać a prawdziwy artysta odtworzyć potrafi.

Jeżeli powyższa ogólna charakterystyka nie da czytelnikowi jeszcze wystarczającego wyobrażenia o naturze talentu T. Hardy, to uczyni to może snadniéj porównanie do jednego z najznakomitszych naszych krajowych powieściopisarzy. Mamy na myśli p. Elizę Orzeszkową. Nie ma między angielskim pisarzem a wielką naszą autorką ani tożsamości ani jednolitości, nie przeczymy, ale jest bezspornie podobieństwo w nastroju ducha, w wysokim filozoficznym obiektywizmie, w téj odwadze cywilnéj jaką posiadają, w wyciąganiu logicznych następstw z narysowanych charakterów, w sposobie przeprowadzenia psychicznéj analizy przez wszystkie rozwojowe stadya swoich bohaterów. Byłoby naciąganiem porównywać takie arcydzieła Orzeszkowéj, jak „Bene Nati" albo „Nad Niemnem" z jakąkolwiek powieścią T. Hardy'ego: obracają się oni w innych społecznych sferach i dzielą je otchłanie. Ale wystarczy owo dalekie powinowactwo, ażeby polskiemu czytelnikowi omawianego tutaj pisarza uczynić sympatycznym. Musimy jednak dodać, ażeby wszelkiego zawodu ustrzedz, że T. Hardy nie posiada tego cudownego, barwistego języka, tego poetycznego daru w kreśleniu krajobrazów, które już same przez się, wystarczyłyby do zabezpieczenia p. Orzeszkowéj raz na zawsze wydatnego miejsca w piśmiennictwie. I on jest piękny formą, wysoce artystyczny, ale to innego rodzaju piękność. Gdy się doda suche, proste, tu i owdzie jakby od niechcenia rozrzucone rysy kraju, który jest materyalném tłem jego powieści, jest się zdumionym, że się udało autorowi, bez żadnych wykrzykników i epitetów dać obraz tak wyrazisty, tak wypukły, iż nie podobna nam nigdy opisanych miejscowości zapomnieć albo z innemi pomieszać, a kiedy traf losu, jak się to piszącemu zdarzyło, zaniesie nas do nich, wita się ich jak dawnych znajomych. Krajobrazy Orzeszkowéj są w stanie natchnąć malarza; z opisów T. Hardego etnografowie i kartologowie utworzyli dokładną mapę hrabstw, które pod zmienionemi nazwiskami opisał.

Nie mamy zamiaru streszczać i szczegółowo przeglądać wszystkich powieści tego autora, ani dzielić ich na kategorye, jak to uczynił Johnson, rozróżniający pomiędzy niemi tragiczne, idyliczne i satyryczne. Są to różnice subtelne i dla ich uwidocznienia wypadałoby podjąć studyum drobiazgowe, nie odpowiadające prawdopodobnie interesowi jaki obcy pisarz budzić może. Jak już powiedziałem, są pomiędzy powieściami jego lepsze i pośledniejsze, ale nie ma widocznéj, namacalnéj różnicy talentu. Można powiedziéć, że był on odrazu pełnoletnim. Pokazało się to już w piérwszéj jego powieści „Desperate Remedies” (1871). Zadziwia konsekwentném przeprowadzeniem sztucznéj i zawikłanéj intrygi: młody autor pokazał się mistrzem w dziedzinie, gdzie długo Wilkie Collins królował. Nie posiadał już widocznie iluzyi, względem natury ludzkiéj i z chłodną obiektywnością odsłania jéj ułomności. Gdy się obecnie odczytuje, w świetle jego późniejszych utworów i w pełnéj świadomości stanowiska, jakie zajmuje obecnie ta powieść napisana przed ćwiercią wieku, to trzeba przyznać szłuszność krytykom, co w niéj odrazu odkryli imponującą siłę i dojrzeli potężnego pisarza. Nie mogli się atoli powstrzymać od wyrażenia żalu, że nie jest to po wieść przyjemna.

Ileż razy, przy każdéj nieledwie nowéj, ta sama uwaga się powtórzyła! Trzeba Anglikom wysiłku, ażeby się wyzwolić z pęt konwencyonalizmu, a T. Hardy znajduje rodzaj wewnętrznego zadowolenia aby go chłostać. Osnowa téj powieści nie była istotnie przyjemna: obraca się około usiłowań kobiety używającéj niepszlakowanéj reputacyi, wprowadzenia w świat i korzystnego ożenienia syna, którego powiła będąc dziewczyną. Podstępy i zbrodnicze czyny płynące z poczucia obowiązku macierzyństwa, była to gorzka do połknięcia pigułka. Już wcześnie autor pokazał, że nie ma zamiaru traktować kobiety jak białéj bogini stojącéj na cokóle i nie skalanéj błotem ziemi. Miarą jego talentu jest właśnie to, że pokazując ją taką, jaka jest, ze wszystkiemi wadami od natury ludzkiéj nieodłącznemi, nie zdziera z niéj czaru i zachowuje jéj urok niewysłowiony.

Za typ jego wiejskiéj powieści, jego idylli może być uważana zaraz następna z kolei powieść a raczéj obrazy sielskie. Autor dał im tytuł „Under the Greenwood Tree”, wiejskie malowidło holenderskiéj szkoły. Natura, otoczenie, krajobraz zimowy i letni, oddane są z dokładnością, z precyzyą nadzwyczajną; nie ma tu jednak ani cienia wybujałéj frazeologii w opisach i to podścielisko służy tylko dla uwydatnienia charakteru i duchowych znamion mieszkańców wiejskich. Nie ma tu Arkadyi, ale spieszno nam dodać, nie ma także rysów, coby wskazywały pokrewieństwo z postaciami, jakie Zola rozsiał po swojéj

„La Terre". Niektórzy stawiają to malowidło życia wiejskiego w leśnym zakątku Wessexu obok „Wikarego z Wakefield" albo téj nieśmiertelnie świeżéj fantazyi Shakespeara „Jak się wam podoba!" Ta ludność wiejska, którą nam autor w téj powieści i innych pokrewnych przedstawia, obejmuje wszystkie klasy: znajdujemy tu fermerów, kramarzy, parobków, wyrobników, drobnych rzemieślników, leśniczych, młynarzy, oberżystów, służbę, starców wygrzewających się na przyźbie i dzieciaków wałęsających się po zagrodach. Wszyskie te postaci żyją, ruszają się, rozmawiają językiem prostym a jędrnym, horyzont ich nie rozległy, interesa materyalne zamknięte w sferze ciasnej, ale jaka bystrość w ich rozeznawaniu, jaka energia i wytrwałość w dążeniu do celu, jaka oryginalność w zapatrywaniach, w sądach. Jest tam galerya postaci, począwszy od młodego gacha,. Dicka Devy, a skończywszy na całym chórze parafialnym. Pan Penny, Tomasz Leaf, pani Day, i tyle innych figur nowych, nigdy przedtém nie spotykanych w beletrystyce, ryją się w pamięci raz na zawsze. Autor tak jaskrawe rzuca na nie światło i ich przywary, takiéj przez to oświetlenie nabierają wydatności, że się w tym sielskim obrazie z razu podejrzéwa satyrę. Potrzeba atoli czytać je i odczytywać, ażeby ocenić ich jowialność i humor, ale wyrzec się zupełnie podejrzenia, że chce ich ośmieszać. Pewna rubaszność tonu, prostota języka nawet u kochanków, co bez wyszukanych słów uczucia swe wypowiadają, powoli przenika do umysłu czytelnika i wywiera na nim orzeźwiające wrażenie.

Gdy T. Hardy chce dać folgę swym instynktom satyrycznym, to pozostawia w spokoju swych pasterzy, leśniczych, młynarzy Wessexu i czyni wycieczki w świat inny. Jako wzór tego rodzaju powieści, przytoczyć można „The Hand of Ethelberta", humoreskę, którą autor nazwał komedyą w rozdziałach. Nic ucieszniejszego jak tło téj powieści. Bohaterka, Ethelberta, jest po prostu córką kamerdynera, służącego u wielkich rodzin arystokratycznych i udaje się jéj wyjść za mąż za młodego panicza téj sfery, który jednakowoż umiéra w miodowym miesiącu. Idzie teraz pięknéj wdowie o utrzymanie się w świecie, do którego wypadkiem się przedostała i daje dowody giętkości linoskoka, ażeby się na tym naprężonym drucie utrzymać i karku sobie nie skręcić. Ukrywanie członków swéj rodziny, przeciwieństwo dwóch sfer życia, w których ją kolejno widzimy, dają pole do sarkazmu i pokazują jak wielce wrażliwym jest autor na śmieszne strony tak zwanego wielkoświatowego życia. Nie można go schłostać bezlitośniéj a lżejszą ręką.

Pomiędzy wszystkiemi, dawniejszych lat sięgającemi powieściami T. Hardy największego rozgłosu doczekala się wydana po raz pierwszy

w 1878 r. „Return of the Native”. Są ktrytycy, którzy nawet po pojawieniu się „Tess” jeszcze ją za jego arcydzieło uznają. Jest to istotnie utwór potężny, dramatyczny i nie darmo autor otoczył swą opowieść tym samym krajobrazem dzikiéj piękności — Edgon Heatt — na którym Shakespeare umieścił swego króla Leara. Działacze téj tragedyi należą do sfery gminnéj, ale poruszające ich sprężyny wewnętrzne nie są pospolite a rozwartość łuku ich namiętności jest wysoce naprężona. Nie podobna zapomniéć postaci, które autor z podziwu godną precyzyą przedstawił. Pierwszą jest wdowa, pani Yeobright, namiętnie kochająca swego jedynaka Clyma, ale nieubłagana, uczciwa, ambitna w swéj sferze. Clym, bohatér, powracający ze sklepu jubilera paryskiego do swéj domowéj strzechy, ma szlachetne aspiracye podniesienia poziomu moralnego swego otoczenia, ale mając jak jego matka charakter nieugięty, wchodzi niebawem w kolizyę i z nią i z sąsiadami. Po mistrzowsku autor wykazal jak ogólny jego nastrój duchowy zmienia się i ustępuje miejsca innemu, pod wpływem indywidualnego uczucia i interesu. Jest niém miłość do Eustacyi Vye, wnuczki starego rybaka, ponętnéj dziewczyny, ale która ma instynkta próżności, światowości i wzdycha do życia na szerszą skalę. Wśród swego osamotnienia i próżniactwa, kokietowała i umizgała się do żonatego sąsiada. Porzuca go jednak, gdy przybywa Clym, który się jéj wydaje należącym do wyższéj sfery i którego miłość jéj pochlebia. To niedobrane małżeństwo zawarte wbrew woli staréj pani Yeobright, poróżnia matkę z synem i jest żródłem katastrof. Młode stadło nie jest szczęśliwe, bo piękna i zalotna, Eustacya spostrzega zapóźno, że zamknięte są przed nią wrota światowego powodzenia i że jest skazana na życie szare i bezbarwne. Z kunsztowną delikatnością autor pokazuje, jak to małżeństwo moralnie bankrutuje, jak Eustazya na nowo z dawniejszym swym gachem kokietować zaczyna i jak przez wypadki, naturalne a niespodziewane, w inną zwraca się stronę. Clym, ten człowiek istotnie szlachetny i wyższy nad swe otoczenie, sprowadza i śmierć swéj matki i ucieczkę żony, która go opuszcza. Oddawano autorowi głośne pochwały za efektowną scenę, w któréj opisuje śmierć Eustacyi, tonącéj wypadkiem w morzu podczas swéj ucieczki od męża. Że jest ona oddana i opisana dramatycznie, zgoda, ale jest to zaleta drugorzędna. Tragiczny ten kres jéj życia jest czystym trafem; jest to anegdota a nie rozwój psychiczny, prowadzący do z góry nakreślonego końca. Dla myślącego czytelnika, Eustacya traci znaczenie i interes z chwilą, gdy opuszcza domowe ognisko: była czynnikiem rozkładowym. Clym, o skrzydłach złamanych. dręczony wyrzutami sumienia, staje się rodzajem wędrownego misyonarza. Liczne zarzuty można uczynić téj po-

wieści, dość wysoko wysławić nie można epicznego spokoju, z jakim Hardy przedstawił tę zawieruchę w duszach i w losach skromnych mieszkańców Edgon Heath'u.

Z żalem pomijamy kilka innych powieści następnych (z których jedna przynajmniéj „The Mayor of Casterbridge", posiada pierwszorzędne zalety i jest w całém słowa tego znaczeniu oryginalnym utworem), aby zatrzymać się nad uznaném przez krytykę i potwierdzoném przez wyrok masy czytającéj, arcydziełem jego, „Tess of the d'Urbervilles". Ogłoszone z razu wyjątkami w kilku czasopismach, które nie ośmieliły się całością zadraźnić moralności przeciętnych czytelników, wydana była w trzech tomach w 1891 r. W krótkiéj przedmowie, puszczając w świat to dzieło, co miało szeroką rozgrzmiewać się sławą, autor przytacza, dla usprawiedliwienia swéj zuchwałości słowa Św. Hieronima: „Jeżeli zgorszenie ma powstać z prawdy, niech będzie raczéj zgorszenie ale niech prawda nie zostanie ukrytą". Bez długich korowodów trzeba przyznać, że grunt to niebezpieczny i wiadomo, że szkoła naturalistów, chociaż pod znamię Św. Hieronima się nie zapisała, w mniemaniu, że odkryła prawdę i że jest jéj organem, kąpać nas nie przestawała w błotnistéj kałuży.

Nie było potrzeby czegoś podobnego obawiać się ze strony pisarza o poważnym, uroczystym nieledwie nastroju ducha jakim jest T. Hardy, ale nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju elastyczna teorya zaprowadzić może daleko. Dla publiczności angielskiéj było to rzeczą niezwykłą wyczytać na tytule powieści, że jest to wiernie opowiedziana historya c z y s t é j kobiety a przeczytawszy ją, stwierdzić, że owa, rzekomo czysta, kobiéta była kochanką i matką przed ślubem, że była morderczynią i skończyła życie na szubienicy. Nadzwyczajny talent autora dokazał jednak tego, że każdy z czytelników dzieli jego przekonanie o wysokiéj moralnéj wartości bohaterki, że każdy jest gotów, bez najmniejszego oporu, podpisać się na paradoks o czystości „Tess'y". Tak ustalony jest sąd, że powieść ta jest największém arcydziełem jakie piśmiennictwo angielskie kiedykolwiek stworzyło, iż nie zawadzi streścić ją szczegółowiéj aniżeli to czyni się z utworami pośledniejszéj wartości.

Pierwsza zaraz scena jest sama w sobie skończonym, wybornym obrazem. Pastor z wioski Marlott spotyka na drodze starego włościanina tam zamieszkałego, Johna Durbefield i powiadamia go, iż szperając w archiwach kościelnych i aktach hrabstwa, doszedł do przekonania, iż on, Durbefield, ubogi włościanin, jest prawym dziedzicem znakomitéj szlacheckiéj rodziny D'Urberville, od wieków w Wessexie osiadłéj, i że sposób w jaki wymawia i pisze swoje nazwisko, jest natu-

ralną degeneracyą cudzoziemskiego wyrazu. Nic ciekawszego, jak wpływ natychmiastowy, wywarty na umysł tego prostaka, przez wiadomość o koligacyi ze szlachecką rodziną, posiadającą swe zamki, dobra i groby familijne: uważa się natychmiast za wielkiego pana i zamiast zanieść swe jaja na targ, woli się upić w karczmie z towarzyszami, którym plecie banialuki o swéj znakomitéj rodzinie i powrócić do chaty na najętéj bryczce. W spokojnéj atmosferze ustronnéj wioski, wszystkie głowy się zawróciły tą wiadomością i zdaje się im naturalném, że w ten lub ów sposób musi się także byt materyalny Durbefieldów poprawić. Joanna, jego żona, matka całéj czeredy dzieci, gadatliwa ale pracowita kumoszka, jest praktyczniejsza od męża i nie upajając się teoretyczną wielkością rodziny, pragnie wyciągnąć z koligacyi téj rezultat dodatni. Gdy wyszperano, że o kilka mil mieszka w wiejskiéj rezydencyi jakaś pani d'Urberville, Durbefieldowie nalegają na swą starszą, siedemnastoletnią córkę, Teresę, przez skrócenie nazywaną Tessą, aby się do niéj udała w poselstwie. Tessa, to uroczo piękne dziewczę wiejskie, swéj piękności i swego czaru nieświadome, dziewczyna hoża, czerstwa, silna, o gołębiéj prostocie i niezamąconéj kryształowéj duszy. Ze szkoły elementarnéj wyniosła więcéj nauki aniżeli to zazwyczaj bywa, i młodsze rodzeństwo, tak samo jak rodzice, spoglądają na nią jak na istotę wyższą, rozumniejszą. Ale autor nie opisał w przesadnych rysach umysłowéj charakterystyki swéj bohaterki, i właśnie ta prostota, ta harmonia owéj córy wsi z jéj środowiskiem, stanowi jéj czar i daje jéj życiową prawdę. Nie ufa ona sobie, nie zdaje sobie sprawy jak się jéj ta missya do téj pani powiedzie i tylko z uczuć rodzinnych, widząc biédę w domu, ulega naciskowi rodziców i udaje się do owego dworu. Los chce, że nie spotyka staréj i ślepéj pani d'Urberville, ale jéj syna, Aleksandra, rozpustnego nicponia. Kpi on sobie i żartuje z rzekomego powinowactwa z wiejską dziewczyną, ale jest zachwycony jéj pięknością. Zaczyna przemyśliwać nad sposobami jakby posiąść to dziewczę. Przychodzi mu to stosunkowo łatwo, gdy rzekomo w imieniu matki, osadza Tessę na folwarku dla hodowania drobiu. Autor w delikatny sposób i bez sprośnych szczegółów kreśli obraz téj tragicznéj w życiu Tessy sceny, gdy padła ofiarą rozwiązłego młodzieńca, bez cienia miłości dla niego, w zupełnéj nieświadomości, bez najmniejszego udziału swéj woli. We wstręcie do swego uwodziciela, Tessa opuszcza folwark i powraca pod domową strzechę, po to tylko. aby wkrótce przekonać się, że ciąży nad nią klątwa i że ma zostać matką.

Autor z głęboką znajomością wiejskiego środowiska opisuje brak wszelkiego silniejszego wrażenia, jakie katastrofa uwiedzionego dziew-

częcia wywoluje wśród jéj rodziny i otoczenia. Taką to powszednią, taką naturalną rzeczą się im wydaje zguba prostéj wiejskiéj dziewczyny przez młodego panicza. Dawno się już rozwiały mary wielkości familijnéj a kamień młyński codziennego żywota gnie ich ku ziemi. Nie podejrzewają sromu, cierpień, duchowéj zawieruchy, jakie opanowały to dziewczę, którego silna natura protestuje przeciwko krzywdzie, jaka jéj uczyniona została i za którą pokutować musi sama jedna. Ten kontrast pomiędzy prozą bytu a tragedyą, co się w jéj duszy rozgrywa, nabiera pod piórem T. Hardy'ego w jego epicznéj prostocie posągowych kształtów. Są sceny chwytające serce czytającego w kleszcze: do takich zaliczyć można tę, gdy biédna Tess, po odmowie pastora ochrzczenia jéj nieprawego dziecka, chrzci je sama, nadając mu imię „*Sorrow*" t. j. Smutek.

Następuje potém śmierć niemowlęcia i potrzeba wewnętrzna, jaką ona czuje oddalenia się z miejsca rodzinnego, szukania zarobku na życie. Jest to istotnie obraz holenderskiéj szkoły, który nam autor szkicuje, wprowadzając nas do wielkiéj fermy, gdzie się Tessa najęła za mleczarkę. Cała ta atmosfera gospodarcza, tryskająca zdrowiem moralném i fizyczném, porywa czytelnika i rozumié on, że musiała oddziałać zbawczo na młode dziewcze, które wśród pracy i spokoju, wśród sympatycznego otoczenia, dojrzéwa na piękną kobiétę, piękną fizycznie a piękniejszą jeszcze przez ów pół cień melancholii, co jéj jako wspomnienie przebytych walk pozostał. Tam także spotyka ona młodzieńca, ku któremu rwie się jéj serce miłością. Jest nim Anioł Clare, syn pastora, a praktykant gospodarczy na fermie, osobistość logicznie postawiona i wystudyowana przez autora. Zerwał on z konwencyonalną religią i światem, do jakiego go rodzina popchnąć usiłowała i chce, jako gospodarz wiejski w kraju lub koloniach, rozwinąć tę energię i tę niezawisłość charakteru, które w wysokim stopniu posiada. Piękność Tessy i jej wewnętrzne zalety wywierają nań silne wrażenie i nie trzeba długiego czasu aby pokochał ją głęboko. Po mistrzowsku oddany jest ten magnetyczny wpływ, jaki tę wyjątkową parę do siebie pociąga. W świetle téj miłości dopiéro Tessa pojmuje całe rozmiary swéj niedoli, bo godność osobista nie pozwala jéj zostać żoną Anioła Clare, gdy on ją o to błaga i gdy tego żąda. Nie tai mu, że go kocha całą duszą, ale wzdraga się zostać jego żoną. Trzeba ciągle powtarzanych jego próśb, aby zwalczyć jéj opór, idący wbrew jéj własnym życzeniom. Gdy się nakoniec zgadza wyjść za niego, chce mu uczciwie wyznać całą prawdę swego położenia, ale on jéj tego uczynić nie dozwala.

I następuje małżeństwo. Gdy się wieczorem po ślubie znajdują młodzi małżonkowie sami i gdy on spowiada się żonie ze swych nie-

znaczących grzéchów kawalerskich, ona także otwarcie i bez ogródek opowiada mu swą przygodę. Ku jéj zdumieniu pokazuje się, że jéj mąż nie chce i nie może jéj psychicznego stanu zrozumiéć. Ona w swéj bezmiernéj, pełnéj miłości, wiedząc że nie ciężyła na niéj wina, że nie była wspólniczką ale ofiarą, czuje że będzie mogła uszczęśliwić człowieka, którego losy i jéj są związane, ale on inaczéj się na to zapatruje. Łatwo mu przyszło złamać ze swém środowiskiem światowém, z konwenansami, nawet z religijną atmosferą swoich rodziców, ale nie podobna mu zerwać radykalnie i raz na zawsze z ideami i wyobrażeniami, jakie miał o czystości kobiéty. Wybrał on z pośród skromnego i uczciwego otoczenia dziewczynę, co mu się wydawała białą i niepokalaną, wybrał ją sobie ażeby szła z nim razem przez drogę żywota, a naraz dowiaduje się, że źródło z którego chciał czystą pić wodę jest zamącone, zbrukane. Nie ma ani dość siły, ani dość odwagi, aby rozdzielić odpowiedzialności i przytulić do swego łona swą ponętną Cererę. Im więcéj ją kocha, tém więcéj mu dopieka doznany zawód. Oddala się od niéj i wymaga rozłączenia. Udaje się szukać dzierżawy, a ona, wraca, nie wiedząc gdzie się udać, pod dach rodziców.

Dla Tessy zaczyna się teraz najcięższy okres życia. Ukrywa przed rodziną rozdział z mężem, który istotnie udaje się do Brazylii i tam przez parę lat pozostaje, a w sercu jéj płonie bezgraniczna miłość do męża, uświęcona łzami żalu, instynktowną nadzieją, że do niéj powróci, że ją do serca przytuli, opromieniona. To brzemię moralne pod którém jéj pełna sił żywotnych, drgająca miłością natura się ugina, opisane jest i wystudyowane subtelnie. Rodzice wyłudzają od niéj wszystkie pieniądze, jakie jéj mąż zostawił i dochód regularny, jaki jéj zapewnił: zmuszona jest pracować ciężko jako wyrobnica na życie. Wśród tych przykrych stosunków materyalnych, widząc rodziców, braci i siostry w nędzy, Tessa pisze do męża listy zaklinające go, ażeby jéj dał znak życia. On, z powodów od jego woli niezależnych, bo chory i w oddali, nic jéj nie odpisuje. A wypadek chciał, że dowiaduje się, iż ów ubóstwiany mąż nie zdradził jéj wprawdzie ale że był bliskim, i na drodze do uczynienia tego. Ma więc wszystkie powody do uważania się za porzuconą i skazaną na długie pasmo dni bez nadziei.

Nie dość tych cierpień: los gotuje jéj nowe. Po raz drugi spotyka się z Aleksandrem d'Urberville. Widok téj, która z dziewczęcia, jakie był uwiódł, rozwinęła się była w przepiękną kobietę, oszałamia go, a gdy dowiedział się, że była matką jego dziecięcia, że przeszła przez próby najsroższe samoistnie, nigdy się do niego po pomoc nie uciekając, jest pochwycony za serce i prosi ją, aby została jego żoną. Tessa odmawia mu oświadczając, że jest żoną kogo innego, że go nie kochała

nigdy i nigdy kochać nie może. Stawiane przeszkody rozdrażniają tylko namiętną, zmysłową naturę Aleksandra, który wszystkich dokłoda starań, aby wpadła w jego sidła. Okoliczności przychodzą mu w pomoc. Ojciec Tessy umiéra; matka i rodzeństwo popada w nędzę, z któréj bogaty D'Urberville jeden tylko może i chce ich wybawić. Mąż milczy na wszystkie jéj prośby i zaklęcia. Wtedy ta kobiéta, z któréj los czyni sobie igraszkę, przestaje opiérać się wszechpotężnemu *fatum*, co się nad nią pastwi, i zostaje kochanką Aleksandra, żywiąc w sercu niewygasłą, świéżą, idealną miłość do swego męża.

Gdyby autor należał do szkoły romantycznéj byłby ze swéj bohaterki zrobił istotę coby się raczéj żywą zagrzebać pozwoliła aniżeli z godności moralnéj się wyzuła. Ale on chciał w i e r n i e, skrupulatnie, prawdziwie opowiedziéć fazy duchowéj i fizycznéj walki istoty o naturze czystéj i wyjątkowo szlachetnéj, ale która była nie senném widziadłem, lecz kobiétą z krwi i ciała, nie oderwaną abstrakcyjnie od reszty świata, ale żyjącą i borykającą się wśród niego, ulegającą jego wpływom. Nie idzie o to, czy zrobiła źle lub dobrze, ale o udowodnienie, że tak a nie inaczéj postąpić sobie musiała. Kobiéta wychowana i postawiona w okolicznościach, przez, jakie jéj autor przechodzić każe, nieuniknienie kierowana jest do otchłani.

Wyrzucali autorowi nieraz ci nawet krytycy, którzy w utworze jego wysławiają dzieło genialne, epilog powieści. Anioł Clare, mąż Tessy, powraca do kraju, a oddalenie, odzyskany spokój i równowaga duchowa, pozwoliły mu nareszcie dojść do innego sądu o winie dawniejszéj swéj żony. Miłość jaką dawniéj ku niéj żywił nie zniknęła nigdy: wybucha ona jarzącym płomieniem. Szuka uporczywie swéj żony i gdy ją odnajduje nakoniec, dowiaduje się z jéj ust, że od kilku tygodni uczyniła fatalny, niepowrotny krok, który raz na zawsze przepaść pomiędzy nim a nią wykopał. Ale zaledwie oszałomiony Clare ją opuszcza, przybiega ona do niego i opowiada mu, że w pszystępie rozpaczy, w obec widma szczęścia, z którego się samowolnie wyzuła, rzuciła się na człowieka, co dwa razy życie jéj wykoleił i że go zamordowała. Przez kilka dni Clare i Tessa kosztując po raz pierwszy z czary wzajemnéj, zaspokojonéj miłości, tułają się po okolicach i ukrywają przed poszukiwaniem policyi szukającéj morderczyni. Epizod ten kończy się wywieszeniem czarnéj flagi nad szubienicą, na któréj Tessa dług swój prawu i społeczeństwu spłaciła. Epilog ten jest co do faktów naszkicowany tylko i autor nie widzi potrzeby wyciągagania moralności ze swéi fabuły.

Potrafi to także uczynić czytelnik nawet z tego jałowego szkicu. Walka jednostki ludzkiéj, słabéj w porównaniu z krzyżującemi się na

wsze strony prądami i z namiętnościami oraz interesami, co się nie o nią ale o siebie samych tylko troszczą, jest osnową téj powieści. Tragedya to straszna, odwieczna, taka jaką opisywał Eschylos albo Shakespeare, i nie podobna nie odczuć jéj grozy, nie podobna nie uznać w niéj odwiecznéj, wszechludzkiéj prawdy, chociaż przedstawia się nam tym razem w skromnéj postaci wiejskiéj dziewczyny z Wessexu. Niewinni pokutujący za prawdziwych grzeszników — najzacniejsze porywy duszy, najszlachetniejsze ideały zmiażdżone i unicestwione — a społeczeństwo-olbrzym, rozwijające się spokojnie, normalnie, nieuwzględniające wewnętrznych czynników duchowych ale stawiające przed swój trybunał gołe fakta: oto siły, czynniki, które autor powołał do czynu potężném swém zaklęciem. Wszystkie zagadnienia drażniące o wzajemnym stosunku kobiéty do mężczyzny, o nierównym wymiarze sprawiedliwości dla niéj i dla niego, narzucają się koniecznie myśli czytelnika. Autor nie jest adwokatem i nie stara się bynajmniéj zmniejszyć winy swéj bohaterki: nie pragnie dla niéj litości, ale żąda sprawiedliwego sądu. Nie z czynów zewnętrznych powinno się ludzi sądzić i karać, tak się mówić zdaje, ale z zamiaru, ale z przewodniéj myśli, która na dnie ich duszy leżała. Ponieważ Tessa była bez zarzutu, a zatém była bez grzéchu. Jest to w nowéj formie japońska legenda, w któréj *gheisa* w zbrukaném ciele liliowéj czystości przechowywała duszę.

Właśnie dla tego, że teza to nie nowa i że w téj lub owéj formie spotkać ją było można już po tysiąc razy, nie ma powodu wdawać się co do niéj w rozprawy i wytykać jéj usterek. Łatwo zrozumiéć, że dla artysty, dla poety, dla pisarza, ponęta jéj jest nieprzezwyciężoną. T. Hardy większym jeszcze okazał się w téj powieści artystą aniżeli myślicielem i moralistą. Temu ostatniemu wiele zarzutów uczynić ma się prawo: piérwszy nie zasługuje na żadne. Jest w tym utworze plastyczne piękno formy wyjątkowe: ulega się jego czarowi. Piękność opiu, analiza charakterów, rozmaitość typów, naturalność opowiadania, jego nieustający ani na moment interes, trzymany na wodzy humor, mogłyby być podnoszone jedne po drugich. Z jakiejkolwiek strony powieść tę rozpatrywać przyjdzie, zawsze się dochodzi do wniosku, zawsze się czuje, iż jest tu przed nami utwór rzadki, wyjątkowy, wielki. Autor, co taki utwór ze swéj duszy wysnuć potrafił, miał prawo do miejsca na wyżynach. I przyznane mu téż zostało powszechnie, bezspornie. Oczekiwano odeń odtąd jedynie arcydzieł, i było widoczném, że niepodobna mu będzie, albo przynajmniéj trudno, utrzymać się na tych podobłocznych wysokościach, na jakie fama go wyniosła. Zbiór drobnych kilku nowel „Life's little ironies", który był pierwszą pracą

jego ogłoszoną po jego arcydziele, nie mógł naturalnie wpłynąć na zmianę stanowiska, jakie był już sobie zdobył. Była to po prostu przegrywka do innych ważniejszych utworów, niby te gammy, które skończony nawet wirtuoz gra sobie dla utrzymania mechanicznéj biegłości ręki.

Ale inaczéj zapatrywać się należy na ostatnią jego powieść „Jude, the Obscure". Choć mniejsza rozmiarami od jego zwykłych, ma ona prawo być sądzoną jako dorosła ich siostrzyca i krytyka tak samo jak masa czytająca, miała sposobność wyrzec co o niéj myśli, czy ją uważa za godną zajęcia miejsca w gronie dawniejszych jego tworów. Sąd wypadł nieprzychylny, ujemny. Jak przyjazny jeden krytyk powiedział: powieść ta jest błędem, błędem Tytana, i dla tego jest potworem. Ci co ją wysławiają i podnoszą na wyżyny, czynią to oryginalności gwoli: chcą wykazać, że mają umysł otwarty, że ich żadna ostateczność nie zatrwoży a żadna nieprzyzwoitość o rumieniec wstydu nie przyprawi. Wiemy co trzymać o tych straconych dzieciach naturalizmu. Autor w téj powieści musi być do téj szkoły zaliczony. Wysławialiśmy go, gdy był realistą, gdy obejmował życie we wszystkich jego przejawach, ale nie widzieliśmy téż nigdy u niego tego jakby umyślnego grubijaństwa i pospolitości, tego umyślnego podnoszenia i wysuwania na pierwszy plan obydnych, wstrętnych szczegółów, które teraźniejszą jego powieść szpecą. Jest tam między innemi scena zarzynania wieprza, którą po prostu nazwać trzeba obrzydliwą, a są ustępy o płciowych funkcyach, które podług słynnego słowa Oktawiusza Feuillet kazałyby się rumienić małpom.

Nie wybryk to wcale u autora, bo jak powiedziałem wyżéj, nie pozwala sobie na nie, ale systemat. Jak autor powiada w przedmowie, powieść ta zmierza do traktowania bezstronnego konwulsyjnych podrygów, o jakie przyprawia ludzi najpotężniejsza istniejąca u nich namiętność — miłość — i do sformułowania, bez obsłon i ogródek, tragedyi zawodów i bankructwa moralnego, do jakiego ona wiedzie. Jesteśmy tedy uprzedzeni. Ponieważ owe bankructwo miłości manifestuje się w małżeństwie, wysnuwa się wniosek, że autor je potępia. I są tacy, co mu przypisują takie zapatrywania. Ceni on miłość jedynie, gdy jest swobodna, niczém nieskrępowana, samoistna i bezinteresowna. Ma to nie zdarzać się w małżeństwie, i dla tego autor surowo się o niém wyraża. Naczytaliśmy się w ostatnich czasach mnóstwa banialuk téj osnowy, przedewszystkiem wygłoszonych przez kobiéty-autorki. Temat się zużył i żałować należy, że tak wielki pisarza, jak T. Hardy, pomieszał swój głos z tém żabiem rzegotaniem.

Nie można się dziwić, że autor do takich ujemnych doszedł rezultatów z dwóch małżeństw, jakie wyłącznie w tym utworze opisuje, i z dwóch kobiet które studyuje drobiazgowo. Jedna z nich, Arabella, jest po prostu samicą, bydlęciem, druga Zuzanna gorzéj jeszcze, bo jest histeryczką przewrotną, kapryśną i fantastyczną. Wychodzi za mąż, ażeby się wyrwać z nieznośnego położenia, opuszcza męża, zawraca głowę, ofiaruje się kochankowi i odwraca się odeń; po otrzymaniu rozwodu, staje się żoną owego kochanka, porzuca go w napadzie niepodobnych u niéj wyrzutów rozbudzonego sumienia. Mężczyzni są biernemi, nędznemi istotami, maryonetkami, z któremi tego rodzaju kobiéty sobie igrają. Ani Jude, ani Philotson, nie mogą budzić w nas sympatyi a bez tego nie podobna przejąć się ich położeniem. To ponure, *inelu ctabile fatum*, którego autor zawsze zdaje się być świadomym, i które wisi zawsze nad jego bohatérami, nie potrzebne tu robi wysiłki, ażeby ich zgnieść i zmiażdżyć. Są to istoty nikłe, o życiu bezbarwném.

Z ogromnym, z niezrównanym talentem autor opisał i wystudyował te dwie kobiéty: żyją one, o tém wątpić nie można. Ale można ubolewać, że się jego talent zmarnował nad takiemi modelami. *Vita sexualis* Zuzanny, która jest osnową całéj téj powieści, i zwierzęcość Arabelli, mogą rozciekawać patologów: do etycznych wniosków, do reorganizacy społecznego systematu zaiste ani bezpośrednio ani pośrednio doprowadzić nie mogą.

Zawdzięczamy Tomaszomi Hardy jedno arcydzieło i kilka prześlicznych powieści. Nie byłoby tedy sprawiedliwém, słusznėm, rozwodzić się nad tą ostatnią. Powiedziano o niéj, że ją napisał jakby od początku do końca był w złym humorze, i gniewał na świat i ludzi. Lepiéj, widocznie, czekać powrotu do równowagi umysłowéj i dopiéro wtedy brać się do pióra. Ograniczamy się do téj pobieżnéj wzmianki o „Jude the Obscure" (przezwanéj dowcipnie „Jude the Obscene") i przestrzegamy polskich czytelników jego, że nie z niego ale z dawniejszych powieści o wspaniałym talencie autora należy sobie uczynić wyobrażenie.

N. T.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

R. H. Quick. Reformatorzy wychowania. Zasady wychowania nowoczesnego. Przełożył z angielskiego J. Wł. Dawid. Wydawnictwo „Przeglądu pedagogicznego.“ Warszawa 1895, str. 426.

Mamy dotychczas w języku naszym trzy dzieła lub dziełka poświęcone dziejom pedagogiki. Pierwszém i, jak dotąd, najobszerniejszém jest trzecia część „Chowanny” F. B. Trentowskiego, zatytułowana przezeń Epiką wychowawczą; drugie dał Wł. Seredyński, trzecie, bardzo maleńkie, ogłosiła p. Marya Bielska. Jestto oczywiście bardzo mało na nasze potrzeby. Od czasu wydania książki Trentowskiego upłynęło 54 lata; jest więc ona chociażby z tego względu niedostateczną; gdyż w przeciągu tego czasu pojawiło się wielu autorów, zasługujących na poznanie przez pedagogów, i wytworzyły się pewne odmiany kierunków wychowawczych, z któremi zaznajomić się musi każdy, kto chce być dobrze świadomym tego, co robi.

Na samodzielne opracowanie dziejów wychowania powszechnego nie prędko zapewne się zdobędziemy; dobrze jest zatém, gdy za pomocą tłomaczeń udostępnimy ogółowi wychowawców dzieła obcych pisarzów, którzy gruntownie rzecz zbadali i umieją jasno i żywo ją przedstawić. Zaletami temi odznacza się niewątpliwie praca Quicka, który po trzydziestoletniéj pracy nauczycielskiéj nakreślił szkice główniejszych zwrotów wychowawczych w ciągu ostatnich czterech stuleci. Jestto część dziejów pedagogii najbardziéj zajmująca dla spółczesnych, bo niektóre z zasad wprowadzonych w wieku XVI, w czasach Odro-

dzenia, bardzo silnie oddziaływają dziś jeszcze na wykształcenie nasze szkolne i domowe.

Powiédzmy z góry, że Quick nie jest wcale zwolennikiem ideałów wychowawczych wieku Odrodzenia. Zarzuca on uczonym owego czasu jeden błąd wielki, polegający „na bałwochwalczém ubóstwianiu książek, i co gorzéj jeszcze, książek łacińskich i greckich.” Wskutek tego błędu „nauczyciel wytworzył sobie zgoła fałszywe pojęcie swego zadania, które upatrywać zaczął jedynie w uczeniu łaciny i greckiego; praktyka zaś czyli sposób wykonywania nie lepsze były, głównem bowiem narzędziem była gramatyka i—rózga.” Za pierwszy krok postępu uważa autor nauczanie jezuitów, gdyż oni starali się robić dobrze to, co większość nauczycieli robiła źle; uczyli gramatyki, ale odrzucili rózgę; chcieli iżby uczniowie czuli zadowolenie; ilość lekcyi zmniejszyli z 10 godzin do 5 dziennie, a w ciągu tych 5 godzin, nauka miała być „nie tylko gruntowną, ale i przyjemną.” Z dwu czynników, na których opiérali uprzyjemnienie nauki jeden był dobrym, mianowicie osobisty wpływ nauczyciela, drugi zaś złym lub co najmniéj wątpliwym t. j. bodziec współzawodnictwa. Jezuici starali się o to, iżby nauczyciel oddziaływał na całego ucznia, nie tylko na jego pamięć; to też nauczyciel obowiązany był znać indywidualność każdego ze swych uczniów i prowadzić go przez większą część kursu.

Drugi krok na drodze postępu zrobił Rabelais. Przedewszystkiém potępił on spółczesną sobie metodę nauczania i podręczniki, z których lekcye zadawano. Następnie zaprojektował system kształcenia, w którym lubo zatrzymał naukę książkową, nie uważał jéj za jedyną; chciał bowiem, iżby uczeń rozglądał się wkoło siebie, używał zmysłów i członków, a więc wyrabiał w sobie zdolność postrzegawczą. Rabelais, zdaniem Quicka, może być uważany za ojca nauczania poglądowego t. j. odwołującego się do zmysłów i rozumu ucznia. Kładł on także wielki nacisk na wychowanie fizyczne. Myśli Rabelais'go podjął i rozwinął Montaigne, który domagał się ćwiczenia zdolności ucznia za pośrednictwem nauki i wyraźnie wypowiedział zdanie, iż „nie ducha, ani ciało kształcić należy, ale c a ł e g o człowieka, bez dzielenia go na części.”

Początek wieku XVII zaznaczył się oddziaływaniem przeciwko wyłącznéj czci dla książek na rzecz obserwacyi. Pierwsi reformatorzy tego stulecia mieli na względzie nabywanie głównie wiedzy, podobnie jak uczeni poprzedniego okresu, ale treścią téj wiedzy mieli być nie klasycy, lecz świat widzialny. Atoli około połowy wieku XVII jeden z najznakomitszych pedagogów Amos Komenski sprowadził nabywanie wiedzy do właściwéj roli, uważając je tylko za c z ę ś ć wychowania. Zdaniem jego, człowiek, zgodnie z myślą boską, powinien 1) wszystko

wiedzieć; 2) panować nad rzeczami i sobą; 3) wszystko odnosić do Boga. Wychowanie ma właśnie doprowadzić dziecko do rozwoju nasion wiedzy, cnoty i pobożności, w niém przez naturę złożonych. Ale i Komenski zbyt wielką wagę przywiązywał do nauki, stawiając za ideał, iż człowiek powinien wszystko wiedzieć. Dopiéro Locke podejmując zasadę Montaigne'a, uznał udzielanie wiedzy za rzecz podrzędną. Zadaniem wychowawcy, według niego, jest nie uczyć, ale uspasabiać ucznia naprzód do cnoty, potém do pracowitości i nareszcie do nauki; sądzi jednak, że gdzie dwa pierwsze zadania zostaną spełnione, nauka przyjdzie sama przez się; wiedzę, poznanie dać może tylko praca własnego umysłu ucznia; prawdziwy nauczyciel tkwi wewnątrz samego ucznia.

Tę zasadę Locke'a rozwinął paradoksalnie, ale wymownie J. J. Rousseau, nawołując do pozostawienia swobody naturze. Dwunastoletni jego uczeń nie powinien się był jeszcze niczego uczyć. Główną zaletą wychowawcy ma być umiejętność obserwowania dziecka. „Od czasu wyjścia na świat „Emila"—powiada Quick—najlepsi wychowawcy zajęli się badaniem przedmiotu, na który mieli działać, i coraz więcéj odkrywają praw, rządzących ciałem i umysłem człowieka. Zadziwiające postępy nauki w innych dziedzinach pozwalają się spodziewać jéj postępu i w dziedzinie wychowania, gdzie szczególnie odczuwa się ich potrzebę." Rousseau pierwszy zauważył, że wiek dziecinny jest okresem silnéj wrażliwości zewnętrznéj, że otoczenie fizyczne działa na umysł dziecka znacznie żywiéj, aniżeli w wieku późniejszym; chciał więc, aby rzeczy były środkiem nie uczenia, ale wychowania; służyć one miały w szczególności do ćwiczenia zmysłów. „Bez przesady powiedzieć można—mówi nasz autor—że Rousseau pierwszy przestał zapatrywać się na dziecko jako na istotę, któréj główną zdolnością jest zdolność pamiętania, i uważać je zaczął za istotę, która czuje i myśli, działa i tworzy."

Pogląd ten wszakże jest jeszcze u Roussa w stanie prawie zarodkowym. Podjęli go późniejsi reformatorzy, a przedewszystkiém Pestalozzi, który pobudzony czytaniem Emila stał się twórcą dzisiejszéj nauki wychowania. Jak Komenski, tak i Pestalozzi żądał nauki dla wszystkich; każde dziecko powinno uczęszczać do szkoły, ale szkoła ta musi być całkowicie zreformowaną; ma w dziecko nie wkładać naukę, ale ją z niego wydobywać. Wiedzą „martwą," książkową Pestalozzi pogardzał, a domagał się wiedzy nabywanéj przez przypatrywanie się rzeczom i zjawiskom, przez wysiłek własnego umysłu ucznia. Pojmowanie dziecka jako organizmu a wychowania, jako procesu, przez który dokonywa się rozwój tego organizmu znajdujemy po

raz pierwszy u Pestalozzego, ale pojęcie to dokładniéj wyraził Froebel, który powiada: „Jest idea, każdemu z nas przez Boga dana; wszyscy bowiem jesteśmy dziećmi Boga. Celem wychowania jest pobudzić w nas rozwój téj boskiéj idei. Rozwój zaś ten osiągnąć możemy jedynie przez działanie, albowiem rozwój każdego organizmu zależny jest od jego własnéj czynności. Czynność więc samodzielna, czynność wypływająca z własnéj woli, jest rzeczą główną w wychowaniu. Wychowawca tak powinien kierować czynnością dziecka, ażeby ona zaspakajała jego instynkty, zwłaszcza zaś instynkt kształtujący i twórczy. Od początku zapatrywać się należy na dziecko, jako na istotę czynną i twórczą.”

W takiém sformułowaniu zadania wychowawczego widzi słusznie Quick antytezę pedagogii dawnéj i nowéj. Wychowanie dawne jeden tylko cel widziało przed sobą: naukę; człowiek był dla niego istotą, która się uczy i pamięta. Wychowanie uważano za proces uczenia, najprzód łaciny i greki, a potém i innych przedmiotów. Wychowanie nowe widzi w człowieku nie istotę zdolną do uczenia się, ile istotę czynną i twórczą. Wychowawca mniéj zwraca uwagi na przedmiot nauczania t. j. wiedzę, a więcéj na podmiot t. j. na wychowańca; rezultat wychowania mierzy nie tyle tém, co wychowaniec umié, ile tém, co robi i czém jest. Człowiek jest należycie wychowany, gdy miłuje dobro i uzdolniony jest do jego wykonywania.

W streszczeniu powyższém książki Quicka uwzględniłem te tylko nazwiska reformatorów wychowania, które wyrażają jakiś zwrot w poglądach na cele edukacyi; pominąłem zaś autorów mniejszéj doniosłości, co jakiś szczegół wychowawczy lub dydaktyczny na pierwszy plan wysunęli i staranniéj go obrobili, jak np. Sturm, Ratich, Basedow, Jacotot, Spencer i t. p. Ostatnie z wymienionych nazwisk prowadzi mię do określenia stanowiska Quicka względem swego spółziomka. Podziela on uwagi Spencera dotyczące wychowania fizycznego i moralnego, w których zresztą nie ma spostrzeżeń oryginalnych; polemizuje natomiast ostro z poglądami dotyczącemi zmiany przedmiotów nauczania, wykazując, że nawet z utylitarnego punktu widzenia zmiana taka nie przyniosłaby pożytku, albo nie możliwą byłaby w zastosowaniu. Wogóle autor nasz napisał swą książkę nie jako erudyt-historyk, lecz jako praktyk-publicysta. Każdą z przedstawianych teoryi roztrząsa krytycznie z punktu widzenia wychowawcy praktycznego, patrzącego pilnie, czy jakaś teorya może w zastosowaniu osiągnąć cel przez siebie zamierzony, czy nie. Wyraża się żywo, dobitnie, czasami jaskrawo. Biografią autorów zbywa krótko, tam tylko się rozszerzając, gdzie życie i działalność pedagoga (np. Pestalozzego) były ważniejsze od

samych pism jego. Książka czyta się z zajęciem, bo nigdzie balast erudycyjny nie nuży, a wszędzie jakiś prąd myśli świeżéj a zdrowéj orzeźwiająco działa na czytelnika.

Przekład dokonany został starannie przez znawcę przedmiotu, filozoficznie wykształconego. Tylko pod względem poprawności języka możnaby mu zrobić kilka zarzutów. Prawie zawsze np. zamiast brać udział czytamy: przyjąć udział; zamiast: gdy, kiedy znajdujemy: podczas gdy (str. 21, 27, 99 i t. d.). Używanie wyrazów niewłaściwych jest również dość częste np. nieudany (str. 19) w znaczeniu: nieudatny, nauczyciel wszelkich sposobów dokładał (str. 46 zam. używał), wiele starań dokładali do wychowania (str. 49 zam. łożyli na..). Warto też było wspomnieć, że i Czartoryski złożył ofiarę na wydanie księgi elementarnéj Basedowa, że posiadamy przekład polski Dydaktyki Komenskiego.

P. Ch.

Zmarnowane życie, dramat w 5-ciu aktach, przez Stefanią Laudynową. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1895, str. 100.

Dramat pióra kobiecego jest w naszéj literaturze rzadkością do téj jeszcze pory. Jakkolwiek bowiem już w pierwszéj połowie zeszłego stulecia robiła próby w tym kierunku księżna Urszula z Wiśniowieckich Radziwiłłowa, to przecież do dziś dnia dwa tylko nazwiska kobiece Julii (Moers) Tuszowskiéj (Juliana z Poradowa) i Zofii Mellerowéj nabyły pewnego rozgłosu w piśmiennictwie dramatyczném; pierwsza zaznaczyła się głównie dramatem historycznym „Przeor Paulinów" (1874), gdyż następne („Kleopatra" 1879, „Księżna Gorysława" 1880) bardzo mało są znane nawet literatom; druga kilkoma udatnemi komedyami.

Zdaje się, że właściwość umysłu kobiecego: uczuciowość, delikatność, subiektywizm, które tak pięknie uwydatnić się mogą w poezyi lirycznéj, stają się główną przeszkodą w stworzeniu dramatu, zwłaszcza gdy dodamy do tych przymiotów wady zwykle zarzucane duchowéj stronie kobiet, jako to: brak skupienia iześrodkowania około jakiéjś myśli leżącéj poza sferą indywidualnego uczucia, brak siły w malowaniu przejść wewnętrznych.

Ponieważ jednak pewna część kobiet stara się obecnie o zapełnienie tych braków przez odpowiednie wykształcenie i ćwiczenie, można tedy spodziewać się, że z czasem i prace dramatyczne niewieście nabiorą większéj doniosłości artystycznéj. Każda więc próba na tém

polu powinna być przedmiotem zaciekawienia psychologiczno-literackiego i szczegółowego rozbioru.

P. Laudynowa występuje, zdaje się, po raz pierwszy w dziedzinie literatury, mianowicie książkowej; ale musiała już dużo pracować nad sobą, nie mało przemyśleć i przebadać, bo utwór jéj wcale się nie przedstawia jako dzieło autorki początkującéj. Znać w nim głębsze wpatrzenie się w stosunki życia i objawy duszy ludzkiej, znać także wprawne władanie piórem, chociaż nie wolne od pewnych usterek językowych i stylowych.

Przedmiotem dramatu są kollizye czysto jednostkowéj natury, skupiające się w uczuciu miłości. Właściwie mamy nie jedno „zmarnowane życie”, ale dwa, tylko że autorce chodziło głównie o zaakcentowanie jednego z nich — życia kobiecego.

W akcie pierwszym poznajemy młodego jeszcze lekarza, głośnego zwłaszcza w świecie niewieścim, bo jest przystojny i elegancki. Kobiety lgną do niego i narzucają się ze swoją...dajmy na to, miłością a on jéj nie odrzucał, dopóki siły starczyły. Lekkomyślném i rozhukaném życiem nadwyrężył sobie płuca i nabył wady serca. Zna swój stan rozpaczliwy, ale ani myśli się ochraniać, woli lat parę pożyć hulaszczo, niż oszczędzając się dłużej odgrywać tę „głupią farsę” jak zaczął nazywać swoje istnienie i istnienie w ogóle. Wpadła mu w oko panienka młodziutka, niewinna i piękna; radby się do niej zbliżyć nie w zamiarze bynajmniej żenienia się, bo kajdan żadnych nie znosi, ale dla poznania odmiennego rodzaju piękności, niż te, z któremi dotychczas miał do czynienia. Ponieważ jest to córka poważnego i szanowanego ojca, musi dla zaznajomienia się z tym domem użyć pośrednictwa swéj ciotki, p. Stebelskiej, która ma słabość dla swego siostrzeńca i niczego odmówić mu nie może, gdy do niéj czule przemówi. Ciotka skarciła oczywiście Edwarda za jego śmiech z jéj przypuszczenia co do zamiarów matrymonialnych, tak że Edward uznał za potrzebne jéj potakiwać i obiecywać jej poprawę.

Pierwszy ten akt wykonany jest bardzo dobrze; charaktery w nim zarysowane utrzymują się w zachowaniu swojém i słowach konsekwentnie; nie ma tu jednéj sytuacyi nieprawdopodobnéj, ani jednego bodaj słowa niewłaściwego.

Inaczéj trochę jest w akcie drugim. Zastajemy tu Edwarda na rozmowie z Anną. Nasz lekarz jest zmienionym, lubo zewnętrznie tylko. Piękność i dobroć Anny wywarła nań wpływ wielki; już o bałamuceniu jéj nie myśli, wyznaje jéj, lubo naturalnie w sympatycznéj osłonie swe grzechy, błaga jéj o ratunek, który widzi jeno w jéj miłości. „Nie rozumiem siebie, gdy jestem przy pani — mówi do Anny

— wszystkie męty duszy mojéj opadają i milkną (?)...budzi się jasność jakaś, nieznana mi dotąd, pierzcha niewiara i szyderstwo... a w sercu zbiera się tylko żal wielki, bez końca... Będąc przy pani, czuję rozkosz nieznaną mi dotąd...ale i ból...wielki...dotkliwy". Były to piękne jedynie frazesy, ale niewinna i niedoświadczona panienka nie poznała się na ich fałszu; skrucha Edwarda wzruszyła ją, piękność zajęła a myśl uratowania dzielnego umysłu dla społeczeństwa pochlebiała jej. Don Juani mają szczęście do panien; może bez zdawania sobie dokładnéj sprawy ze swego pociągu, czują one, że ten, który się już wielu umiał podobać, jest szczególniejszej godzien miłości... Przytém i rola wskrzesicielek uśmiecha się im niewątpliwie.

Anna pokochała Edwarda całą potęgą pierwszéj miłości i sądziła, że uczuciu jéj żadna przeszkoda nie stanie na drodze urzeczywistnienia. Omyliła się. Ojciec jéj surowy i wymagający, był jaknajgorzéj względem Edwarda usposobiony; znajdował się on zdala od domu, gdy ciocia Stebelska wprowadziła tam swego siostrzeńca. Nagle przyjechał i to w chwili, gdy Edward rozmawiał z jego córką i złożył swe losy w jéj ręce. Przeczuwał on coś złego ale nie był pewnym. Dlaczego? Aby to umotywować, chwyciła się autorka niezbyt zręcznego środka. Nie chciała, ażeby wzorowa córka taiła coś przed ojcem nieobecnym, a jego nieobecność zbyt długo trwała, ażeby można mówić o niepisaniu listów. Anna zatem napisała ojcu o bywaniu Edwarda. Ojciec czytał list ale nie mógł jakoby wyczytać nazwiska. I po co takie mdłe i nieprawdopodobne motywowanie sprawy, która ma w dramacie wagę pierwszorzędną? Oto dla tego, ażeby módz pokazać na scenie nadzwyczajną czułość i serdeczność ojca w powitaniu córki, a dopiéro potem okazać jego stanowczość, gdy się dowiedział napewno, że Edward sięgnął po rękę Anny. Ażeby nie budzić krytycyzmu w czytelniku, należało sceny te przeprowadzić. Potém popełnia surowy ojciec błąd psychologiczny. Nie objaśnia należycie Annie, dlaczego Edwardowi dom swój wypowiedział, bo lękał się zbrudzić jej czystą wyobraźnię i serce. Co prawda, skrupuł ten dość częsty u mężczyzn, który zbyt niebiańsko wystawiają sobie umysłowość kobiecą, jak gdyby niemówienie o pewnych rzeczach było niemyśleniem o nich. Skrupuł ten zaważył może silnie na przebiegu dalszych wypadków. Wyświetlenie nicości moralnej i fizycznej możeby zdołało oddziałać w początkach rodzącej się w sercu Anny skłonności; możeby ją uczyniło oględniejszą. Ojciec robi to dopiéro w akcie trzecim, kiedy nagła przerwa w widywaniu się z Edwardem spotęgowała już w duszy Anny ową skłonność i kiedy Edward groźbą samobójstwa wywołał w rozegzaltowanéj dziewczynie stanowcze pójście za głosem serca a raczéj namiętności. Wtedy już za-

dne perswazye pomódz nie mogły, bo Anna znajdowała na wszystko odpowiedź gotową; wtedy nie zlękła się groźby ojca, iż dom jego przestanie być jéj domem, jeśli pójdzie za Edwardem.

Zamiarem autorki nie było, zdaje się, przedstawienie tyranii ojca, lecz raczéj jego rozumnéj względem dziecka miłości; tymczasem postępowanie jego nie świadczy o doświadczeniu życiowém i o rozumieniu serca kobiecego w szczególności; postępowanie to popycha Annę na tę drogę, od któréj odwieść ją miało. Figura ojca najmniej szczęśliwie ze wszystkich została przez p. Laudynową przedstawiona. Miłość prawdziwa a rozumna nie może się posługiwać takiemi środkami gwałtownemi, a do celu nieprowadzącemi, jakiemi na swoje i swojej córki nieszczęście posłużył się nierozważnie Andrzej Górski.

Natomiast Anna i Edward są dobrze wytrzymani do końca. Edward po roku pożycia jest coraz bardziej chory, zdenerwowany, kapryśny i okrutny samolub, dręczy się myślą żeby po jego śmierci Anna nie wyszła powtórnie zamąż, wtedy bowiem pozna „całą rozkosz miłości, nej sił i życia", pozna i zrozumié całą jego nędzę i ze wstrętem odwróci się nawet od wspomnienia o nim, „z ohydą i wstrętem...od których dziś nieświadomość tylko ją broni." Samolub wyniszczony, dbający nawet o wspomnienie pozgonne, chwyta się środka niezawodnego, ażeby ukryć swą „nędzę" nazawsze; licząc na jéj religijność domaga się przysięgi od niej, iż nigdy powtórnie zamąż nie wyjdzie. I Anna składa tę przysięgę, bo ona istotnie świat cały widzi w swym Edwardzie. Już teraz nie wspomina nawet o skłonieniu męża do pracy dla społeczeństwa, zatapia się cała w pielęgnowaniu go i dogadzaniu mu we wszystkiém. Ulegając jego kaprysowi; jedzie na bal, wyprawiony przez ciotkę Stebelską i porwana przez męża w wir walca, widzi go słaniającym się w swych ramionach i umierającym. I po śmierci Edwarda myśléć o nim nie przestała. Dziecko jego ma odtąd wypełnić jéj życie; chce je wychować na pożytek kraju—tylko sił jéj nie staje, umiera młodą, samych mętów życia się napiwszy, lecz nie czując tego, gdyż ślepa miłość dla Edwarda wszystko jej wyidealizowała. Edward zmarnował życie w hulankach i rozpuście; Anna zmarnowała je przez poświęcenie bezowocne.

Dyalogi p. Laudynowéj przeważnie tętnią życiem; autorka nie ubiega się za wytwornością i obrazowością wyrażenia, ale używa zwykłych zwrotów mowy potocznéj umiejętnie; umié więc uwydatnić cechy znamienne rozmówców. Dyalogi te są zazwyczaj naprawdę „dramatyczne" t. j. posuwają akcyę dalej. Monologi są czasami zadługie. Kompozycya nie jest spójną. Każdy z aktów stanowi obraz oddzielny, wiążący się oczywiście wątkiem z innemi, lecz nie łączący się bezpo-

średnio i pomiędzy każdym z nich upływa zawsze pewien przeciąg czasu, który czytelnik musi wypełnić własną wyobraźnią. Najlepszemi są akt I, III i pierwsza odsłona aktu IV, w nich bowiem albo charakterystyka dramatyczna osób, albo napięcie akcyi są najświetniéj przeprowadzone.

Zachęty zapewne autorka nie potrzebuje; kto czuje silnie potrzebę wyrażania swych pomysłów w pewnej formie, ten ją nie tak łatwo porzuca, zwłaszcza gdy może sobie powiedzieć, że usiłowania jego nie były nadaremne, że owszem jeżeli nie wydały całości doskonałéj, to przynajmniej części zasługujące na szczere uznanie.

P. Ch.

Henryk Heine „Wybór pism“ tomów trzy. Warszawa, Spółka nakładowa, 1889—1896, str. 298, 327, 201.

W początkach stycznia 1836, Heine sam skreślił króciutką swoją autobiografię, przesłaną znanemu krytykowi francuzkiemu Filaretowi Chasles, a w niej w tych słowach wyraża się o początkach swojego zawodu literackiego: „Wiersze pisałem od szesnastego roku życia; najdawniejsze moje poezye drukowane były w Berlinie w r. 1821; we dwa lata później wystąpiłem z dwiema tragedyami; w r. 1826 ukazał się pierwszy tom moich „Obrazów z podróży”, dalsze zaś trzy tomy ogłosili w roku następnym panowie Hoffmann i Campe, którzy po dziś dzień są moimi wydawcami”... Urodzony 13 grudnia 1799, zmarł „wielki ten romantyk rewolucyi” 17 lutego 1856; w dziesięć zaś lat po jego zgonie, wspomnieni przezeń pp. Hoffmann i Campe, wydali w ośmnastu tomikach małej ósemki całą literacką po nim spuściznę: „*Heinrich Heines sämmtliche Werke*, Hamburg, 1867—68”. Inwentarz téj spuścizny tak się przedstawia. W tomie pierwszym: opis podróży po Harcu, szkic z Norderney i Idee (księga *Le Grand*). W tomie drugim: podróż z Monachium do Genui i Lukki, z późniejszym przypisem i zamknięciem. W tomie trzecim: fragmenty angielskie i kobiety Szekspira. W tomie czwartym: trzy fragmenty nowelkowe: „Rabbi von Bacharach”, „Z pamiętników pana Schnabelewopskiego” i „Noce florenckie”. W tomach piątym, szóstym i siódmym: O Niemczech, poczynając od rozprawy „Zur Geschichte der Religion und Philosophie in Deutschland”. W tomach ósmym do jednastego włącznie: O Francyi. W tomie dwunastym studyum o Ludwiku Börne. W tomach XIII-ym i XIV-ym mieszaniny sprawozdawcze: listy z Berlina, „Ueber Polen” i t. d. Wreszcie cztery ostatnie tomy zawierają poezye Heinego, z „Księgą pieśni” na czele.

„Wybór pism” w tłómaczeniu polskiém, dokonaném zbiorowemi siłami Konopnickiej, Kraushara, Kościelskiego, Gawalewicza, Jelenty etc. obejmuje, w trzech dotąd ogłoszonych tomach, dość sporą część tych skarbów, — poezyę w wyjątkach, prozę w całych ustępach. Do tych ostatnich należą: „Podróż po Harcu”, „Włochy”, „Księga Le Grand” czyli „Idee”, oraz „Noce florenckie”; nadto, w przedmowie Jelenty do podróży po Harcu przyrzeczono rozprawę „z dziejów religii i filozofii w Niemczech”, — ale, naturalnie, pożądaną byłaby i reszta, szczególnie zaś ze sprawozdań o Francyi: „Królewskość mieszczańska w roku 1832” i „Parlamentaryzm mieszczański” z lat 1840—41 (tomy VIII i IX wydania hamburskiego). Na szczupłość wyjątków z poezyi Heinego skarżyć się—oczywiście nie mamy prawa w obec faktu, że nawet sławna z r. 1844 „Baśń zimowa”, która w oryginale składa się z 27 rozdziałów (t. XVII, str. 121—211), nie zdołała w przekładzie (t. I, str. 245—255) dobiedz do nieśmiertelnego w rozdziale 8-m „der Dreck meines Vaterlandes”, a i w tém wstępném swojém niedomówieniu, musiała przeskoczyć przez cały rozdział drugi, zaczynający się od słów, które dziś — nawet na wieczorkach pary cesarskiej w Berlinie, już są wygłaszane publicznie.

Während die Kleine von Himmelslust
Getrillert und musicieret,
Ward von den preussischen Douaniers
Mein Koffer visitieret...

Z „Księgi pieśni” nieco szerzej uwzględnione być mogły jedynie „romanse”; z dwudziestu trzech świetnych „malowideł morskich” weszło do tłumaczenia dziewięć; z „widziadeł sennych” mamy zaledwie okruszyn parę; z sonetów — utrzymały się dwa tylko, ale najwspanialsze, do matki: I „Przywykłem w życiu głowę nieść z wysoka, — myśl moja dumném się korytem toczy; choćby król nawet chciał mi spojrzéć w oczy, zlękłego przed nim nie spuściłbym oka. A przecież, matko, choć aż do obłoka lot myśli dumnie wzbija mię ochoczy, — gdy twoja postać błyśnie mi w przezroczy, wnet mię zdejmuje pokora głęboka”... II „Rzuciłem ciebie, bo mię myśl szalona gnała, by w tęsknéj świat przemierzyć męce, szukając, żali miłości nie znęcę, by ją namiętnie przycisnąć do łona. I wszędziem szukał i pytał: gdzie ona?... Na każdym progu wyciągałem ręce, miłości żebrząc w błagalnéj piosence, — lecz wszędzie szydząc wzruszano ramiona. I zawszem szukał miłości — i zawsze miłości! Losy coraz niełaskawsze dały mi tylko: przesyt albo zgniłość... Więc w dom wracałem. Tyś wyszła do sieni, — a to co w twojém oku się promieni, to była ona! — wreszcie ona: miłość”...

Und immer irrte ich nach Liebe, immer
Nach Liebe, doch die Liebe fand ich nimmer,
Und kehrte um nach Hause krank und trübe.

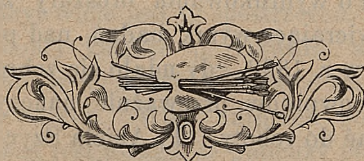
Doch da bist du entgegen mir gekommen
Und ach! was da in deinem Aug' geschwommen,
Das wor die süsze, langgesuchte Liebe (*XV*, *78*).

Trudności śpiewnego oryginału nie wszędzie równie zwycięzko pokonane zostały jak w powyższym przykładzie Kościelskiego. Biograf Heinego, tłumacz większej części jego pieśni i urywków lirycznych, Aleksander Kraushar, słusznie z tego względu powiada: „najlepszy, czyli *dosłowny* przekład jest częstokroć najgorszym: owa słownikowa wierność tamuje polot ducha, zaciera urok oryginału i sam przekład czyni niesmacznym, trywialnym"... Strzegli się téj doskonałości nasi tłumacze, dokładając wszelkich usiłowań, ażeby się zbliżyć do *tonu* pieśni Heinego, — w myśl pięknych przytoczonych w Biografii słów Aleksandra Świętochowskiego: „Ze smutną, pochyloną twarzą śpiewa liryczna muza Heinego tęskne, rzewne, rozpłakane pieśni miłości, splecione z tonów żalu, rozkosznych wspomnień, nadziei lub rozpaczy. Tony te rozlegają się zwykle śród upajającej woni kwiatów, blasku słońca lub łagodnej jasności księżyca, wśród świeżego powietrza pól i lasów, wśród wszystkich wreszcie tych uroków „wiosny", któremi poeta tak lubił się otaczać... Ta to elegijna muza najsilniéj zawsze przyciągała polskich tłómaczów, którzy zatykając uszy przed szyderczym ostrym śmiechem Heinego, lub zasłaniając oczy przed jego nagością, chętnie przeprowadzali do naszej literatury czysty, łagodny strumień jego lirycznych natchnień"... W „Wyborze pism" stało się najzgodniej z przytoczną pochwałą. W trzech tych tomach Heine staje przed nami takim, jakim go chętnie ogląda oko artysty lub estetyka, który sobie powiedział: „Postaci posągowe należy tylko rozpatrywać w granicach od głowy do serca; reszta nikogo nie obchodzi w niczém; klasyczne wzory rzeźb obejmną tylko popiersia wielkich ludzi" (t. I przekładu, str. 30, 31).

Zresztą, co do ścisłéj oceny Heinego, nie tylko jako poety ale też jako człowieka, nie ma, niestety, u nas ani odpowiedniego po temu powodu w okolicznościach zewnętrznych, fizycznych, ani podstawy w znawstwie ogólném, umysłowém. Nie mogliśmy się jeszcze doczekać czasów, do których w dobrym sensie dałyby się zastosować słowa Heinego: „*andre Zeitem — andre Vögel! andre Vögel—andre Lieder!*" (XVII, 117). Z tych przyczyn wydaje się nawet nieraz, że wpływ Heinego na nasze pokolenie był wyłącznie ujemnym... Ma się rozumieć:

brało się to tylko, co wziąć było można. Naśladowało się najzwyklej formę, która bezwzględnie nie jest możliwą — i nie jest pożądaną do naśladowania, nawet w prozie. Proszę niech mi kto zacznie prawić o Warszawie np. lub o Lwowie temi oto słowy: „Miasto jest piękne i podoba się najbardziéj temu, kto się do niego plecami odwróci...” „Ludność dzieli się na studentów, profesorów, filistrów i bydło, które to cztery stany bynajmniéj ściśle odgraniczone nie są; stan bydlęcy jest najznaczniejszy...” „Kiedym patrzał na filistrów stojących z brudnemi twarzami i nieczystemi rachunkami przed bramą sądu, zaledwie pojąć mogłem, jakim sposobem Pan Bóg tyle tego gałgaństwa mógł nastwarzać” (II, 4, 5). W ustach Heinego... — a raczéj w jego otoczeniu, w jego powietrzu, w gorączce jego chwili dziejowéj, było to i trafne i piękne nąd wyraz i nad podziw. Obecnie, trzebaby z tém jechać chyba do Japonii lub do Abisynii. Więc, jak na dziś, aż nadto wystarcza sonetowa charakterystyka ś. p. Mirona umieszczona na czele „Wyboru pism” Heinego: „W czapce poliszynela, fraku i koturnie, on przeszedl życie nigdy nie schyliwszy głowy, a śmiech mu twarz oświecał, zadumaną chmurnie, wciąż tak dziwnie jaskrawo, jak płomień... gazowy. O nim się dziwna bajka pośród ludzi plecie, że kochał ludzkość, wino, złoto i kobiety, — kochał tak, *in natura*, jak są na tym świecie, więc bez wiary, zapału, i złudzeń lornety; że przytém bardzo lubił wygodne ciżemki, Napoleona, głupców — i tę taką rzewną melodyę Strausa walców — jak kochanie niemki... Ach, jeszcze zapomniałem... Dodają oszczerce (wprawdzie nie nazbyt głośno, bo też nie na pewno), że się modlił... za ludzi, — nim mu pękło serce”.

* * *



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.



— **Zasób umysłowy dziecka**, przyczynek do psychologii doświadczalnéj przez *J. Wł. Dawida*. Wydawnictwo „Przeglądu pedagogicznego". Warsz. 1896, str. 96. — Autor téj pracy ogłosił w r. 1887 broszurę p. t. „Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem od urodzenia do 20 roku życia," gdzie wskazał zakres badań, jakie w sposób dostępny dla każdego mogą być robione nad umysłowością dziecka, a zarazem podał wskazówki badań takich dotyczące. Zamieścił mianowicie kwestyonaryusz, składający się z 186 pytań, jakie zadawać należało dziecku, by oznaczyć zasób jego wyobrażeń i doświadczeń. Pytania odnosiły się do dziedziny bezpośredniego i zmysłowego doświadczenia; autor wybrał przedmioty „mające znaczenie typowe" t. j. takie, które zaznaczyły się wyraźnie w umysłowości narodu, w najpopularniejszych utworach poezyi, w przysłowiach, wyrażeniach i t. p. Po wydrukowaniu broszury zaczął autor otrzymywać odpowiedzi, zawierające wynik badań nad poszczególnemi dziećmi. Dopiéro jednak w r. 1893, gdy udało się zebrać większe grono inteligentnych spółpracowników, przeważnie nauczycielek i nauczycieli, można się było zabrać do roboty. P. Aniela Szyc i p. J. Moszczeńska najwięcéj w tym względzie trudu poświęciły. Z początku spostrzeżenia notowano na kratkowanych arkuszach, z których każdy zawierał dane co do kilkunastu dzieci; późniéj wszakże przyjęto system kartkowy, który okazał się znacznie praktyczniejszym tak przy zbieraniu materyału jak szczególniéj przy jego opracowywaniu. Dla każdego dziecka przeznaczono oddzielną kartkę, na któréj wypisane

były cyfry od 1 do 136, odpowiadające pytaniom kwestyonaryusza; na boku kartki zapisywano dane osobiste dziecka (wiek, imię i nazwisko, stan rodziców, różne uwagi). Gdy dziecko pewnego przedmiotu nie znało, przekreślano odnośny numer. Ogółem zbadano dzieci 520. Ale z osiągniętego w ten sposób materyału, część pewna okazała się nieprzydatną, już to dlatego, że nie podano wieku dziecka, już to że badanie nie objęło wszystkich pytań kwestyonaryusza, już to wreszcie, że sama osoba badająca zaznaczyła, iż dziecko daje odpowiedzi podejrzane (np. że widziało coś na obrazku, a powiada, że w naturze) a niepodobna ich sprawdzić. Po wyłączeniu takich wypadków, autor otrzymał 479 odpowiedzi, przedstawiających dane możliwie wiarogodne o tyluż dzieciach, pochodzących przeważnie z klasy ludności najuboższéj (rzemieślników, robotników fabrycznych, wyrobników, stróżów, służby domowéj i hotelowéj, sklepikarzy, szwaczek, drobnych oficyalistów). Z odpowiedzi tych p. Dawid ułożył przedewszystkiém dwie tablice: w pierwszéj pomieścił cyfry wyrażające, ile przeciętnie wyobrażeń zeświata zwierzęcego, roślinnego, i t. d., posiadały dzieci wogóle oraz poszczególne ich kategorye (chłopcy, dziewczęta; 6—7-letni, 8-letni i t. p.); w drugiéj zaś, podał cyfry szczegółowe oznaczające, ile dzieci różnego wieku i płci, wyznania chrześciańskiego i żydowskiego **nie** posiadały pewnego wyobrażenia. Na podstawie tych dwu tablic, oraz uwag, jakie znalazły się na kartkach, lecz nie weszły do tablic, nakreślił autor szereg interesujących spostrzeżeń, dotyczących przeważnéj treści umysłu dziecięcego, inteligencyi i ilości wyobrażeń przezeń posiadanych, wpływu wieku na zasób umysłowy, okresów rozwoju, stosunku rozwoju duchowego do fizycznego, stosunku umysłowości chłopców i dziewcząt, dzieci chrześciańskich i żydowskich, miasta i wsi, rodziny i wychowania publicznego. Przez zestawienie zaś wyniku podobnych badań w Niemczech i w Ameryce ze swoimi wywodami, naszkicował charakterystykę umysłową dzieci polskich, niemieckich i amerykańskich. Zbyt wiele jest tu spostrzeżeń, i zbyt je streszczonemi znajdujemy w saméj książce p. Dawida, ażeby się można było szczegółowo nad niemi w téj krótkiéj notatce rozwodzić; zaznaczę zatém kilka tylko ciekawszych. Więc najprzód pod względem wychowawczym bardzo ważną jest uwaga, że „między przyrostem wagi ciała, jako téż pojemności klatki piersiowéj a rozwojem duchowym, zdaje się zachodzić stosunek odwrotny: tak u naszych dzieci, jak u amerykańskich lata największego przyrostu wagi odpowiadają latom, w których postęp umysłowy był mniejszym niż w innych lub nawet (jak u nas) wogóle najmniejszym" (rok 10/11—12 u chłopców, 9/10 u dziewcząt). Powtóre niemniéj cenną wskazówką wychowawczą jest, że „dzieci

wiejskie przewyższały dzieci z miasta pod względem ogólnego zasobu wyobrażeń, w szczególności zaś co do roślin, zwierząt, zjawisk natury, ziemi, pojęć religijnych" (str. 89). Potrzecie interesującym jest stwierdzony fakt, że dziewczęta stoją niżéj od chłopców pod względem ilości wyobrażeń. Z rozbioru działów wyobrażeń, w których dziewczęta posiadały mniéj albo też więcéj wyobrażeń dochodzi autor do wniosku, „że różnice ilościowe w zasobie doświadczeń nie wyrażają jakiéjś istotnéj niższości umysłowéj dziewcząt, ale przypisane być muszą odmiennym warunkiem otoczenia i wychowania", tak że gdy dziewczęta znalazły się w warunkach zewnętrznych takich samych jak chłopcy, np. podczas pobytu na wsi, to przyswajały sobie wszystko co i chłopcy, a nadto uzupełniały te wyobrażenia, których im brakło, a których wieś mogła dostarczyć. Wreszcie niepodobna pominąć cyframi stwierdzonego szczegółu, że dziewczęta żydowskie przewyższały liczbą wyobrażeń nie tylko dziewczęta, ale i chłopców chrześciańskich. Rzecz tę objaśnia autor tém, że „dzieci w rodzinie żydowskiéj, dzięki zapewne wyższéj stopie życia lub lepszemu pojmowaniu swych obowiązków przez rodziców, miały więcéj sposobności i zachęty do zaznajamiania się z otoczeniem aniżeli dzieci chrześciańskie odpowiedniéj warstwy społecznéj" (str. 82). Z porównania naszych dzieci z niemieckiemi i amerykańskiemi, p. Dawid wyciąga wniosek, że rasa czy narodowość sama przez się nie zdaje się odgrywać roli w sprawie umysłowego przyswajania u dziecka, że raczéj wspólność otoczenia, przynajmniéj ze względu na zdolność przyswajania materyału zewnętrznego, okazuje się czynnikiem silniejszym aniżeli domniemana wspólność rasy" (str. 86). Ciekawych, jak te wnioski zostały wyprowadzone z faktów i cyfr odsyłamy do saméj książki p. Dawida, odznaczającéj się ścisłością wywodów i treściwością wyrażeń, a zupełnie nowéj w naszém piśmiennictwie.

= *Karol Lamb.* **Powieści Szekspira**, osnute na tle jego dramatów i tragedyi. Przełożył A. Lange. Warszawa. T. Paprocki, 1895, str. 474. — Filaret Chasles dobry znawca literatury angielskiéj, ale zarazem entuzyasta w stylu romantycznym, w krótkiéj rozprawce o tém dziełku Lamba i jego siostry pomieszczonéj w polskiém jego wydaniu na czele jako wstęp, nadzwyczaj pochlebnie się wyraża o téj pracy. „Podziwiano – mówi on—cudowne to zjawisko, doskonałą prostotę tonu i nadzwyczajną jasność opowiadań zastosowaną do najgłębszych utworów ducha ludzkiego... Nic nie jest tak pożyteczne jak to łatwe i przyjemne czytanie; nic nie może lepiéj zaznajomić publiczno-

ści z prawdziwém uczuciem, które dyktowało dramaty Szekspira i przodowało natchnieniom tajemnym tego uważanego za barbarzyńca geniuszu, a który jednak, przy swéj częstéj, choć powierzchownéj bezładności, łączył najsubtelniejszą delikatność i najszerszą rozmaitość.” Wypadnie z tych pochwał dużo odrzucić, a przedewszystkiém ostatnie to zapewnienie, jakoby „arcydziełka” Lamba najlepiéj mogły zapoznać ogół z natchnieniami geniuszu Szekspira. Nie są to streszczenia dramatów jego z uwydatnieniem siły dramatycznéj poety i z jego umiejętnością kreślenia charakterów; lecz osnowy jeno w formę opowiadań ubrane; przedstawiają zatém stronę zewnętrzną przeważnie wydarzeń, na tle których rozwinęły się osobistości. Jeżeli takie opowiadania odznaczające się rzeczywiście prostotą wielką, niewiele umniejszają wartość komedyi Szekspira, gdyż powikłania malują wiernie i szczegółowo, to wydają się powierzchownemi tam, gdzie chodzi o wątek tragiczny (Hamlet, Makbet, Otello, Romeo i Julia, Król Lear). O ile mnie się zdaje, mogą one dać bardzo niedostateczne zaledwie wyobrażenie o istotnéj wartości psychologicznéj i poetycznéj utworów, których treść tragiczną sprowadzają na poziom ciekawéj powiastki. Mogą one być spożytkowane przez pedagoga dla pierwszego zaznajomienia młodzieży z pomysłami wielkiego wieszcza. Mamy tu 20 opowiadań w przeważnéj części osnutych na tle komedyi i dramatów („Sposób na sposób”, „Jak się wam podoba”, „Wiele hałasu o nic”, „Poskromienie złośnicy”, „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”, „Komedya pomyłek”, „Dzień trzech króli”, „Sen nocy letniéj”, „Powieść zimowa”, „Kupiec wenecki”, „Dwaj panowie z Werony”, „Burza”, „Cymbelin”, Tymon Ateńczyk”, „Perykles”); tragedyi jest tylko pięć powyżéj już wymienionych. Przekład nie należy do starannych; prócz wielu błędów językowych, zauważyć można usterki dość znaczne w stylu.

— **Teatr amatorski.** Nr 43. *Nasze bziki*, farsa w jednéj odsłonie przez Henryka Piątkowskiego. Nr 44. *Mankiet*, fraszka sceniczna w jednéj odsłonie przez Edw. Lubowskiego, 1896. Warszawa Gebethner i Wolff. — W tych dwu nowych zeszytach „Teatru amatorskiego” mamy dwa odmienne rodzaje dowcipu i komizmu: jeden zgryźliwy, czerpiący materyał z głębi usposobień ludzkich, drugi żartobliwy na zbiegu powikłań dziwacznych i figur karykaturalnych zasadzony. P. Lubowski, jako doświadczony komedyopisarz kréśli pewną ręką sceny zabawne, ale ostatecznie gorzkie w smaku, jakie zaszły między młodém małżeństwem wskutek hulanki, z któréj mąż powrócił pijany,

z zapisanym na mankiecie adresem wesołéj towarzyszki zabawy. Ponieważ nastrój miał być krotochwilny, sceny owe oczywiście, w których bierze udział i przyjaciel męża, nie wywołują zatargu; wyrozumiała małżonka poprzestaje tylko na starannêm wytarciu adresu, ażeby mąż... nie tak rychło trafił. Wielkiéj wesołości wzbudzić ta „fraszka" nie może, gdyż po za przygodą zabawną i pogodnie się kończącą, widz lub czytelnik przypuścić musi dalszy ciąg życia tego stadła niezbyt pomyślny, boć przecie nie brak adresu powstrzyma Antoniego od wycieczek w dziedzinę swobód kawalerskich. Rzecz toczy się żywo i rozwija logicznie, z zachowaniem całkowitém prawdopodobieństwa. P. Henryk Piątkowski chciał w „Naszych bzikach" wyśmiać powierzchowne, niedołężne objawy najnowszych „kierunków" w zakresie poglądów filozoficznych (spirytyzm i medyumizm), malarskich (impresyonizm), literackich (dekadentyzm) i sportowych. Zrobił to bardzo niezręcznie, w sposób przesadny i bez dowcipu; zaledwie kilka zwrotów i parę sytuacyi możnaby nazwać udatnemi. Zbyt gruba głupota Wirskiego—spirytysty z całém jego otoczeniem przypomina czasy, kiedy Stanisław Bogusławski pisał swoje „Stoliki magnetyczne"; Tęczokolorski, Idzi Pazur Idealski i Dziubkiewicz (uprawiający wszelki sport) są to karykatury rażące i śmieszne, na bardzo jaskrawy efekt obrachowane; a całe prowadzenie farsy ma tyle dowolności, tyle nieprawdopodobieństw, że się widz chętnie z temi postaciami i z temi powikłaniami rozstaje. Za charakterystyczne można uważać wykrzyki Idealskiego naśladujące głos pawia i wiersz jego bezsensowy, w którym biała lilia przybiera co pewien ustęp barwę odmienną — zieloną, czerwoną, purpurową, tęczową... Dyalog mianowicie w pierwszéj części farsy jest ciężki i mdły; pod koniec dopiéro ożywia się nieco, tak samo jak i akcya, która z początku długo stała na miejscu. Język wogóle biorąc, jest poprawny.

— *Aleksander Hirschberg.* **Hiszpania,** wspomnienia z podróży. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz, 1896, str. 119. — P. Hirschberg jest historykiem z zawodu, ale interesuje się nie tylko osobistościami i wypadkami dziejowemi; wrażliwy jest owszem bardzo na piękno przyrody i sztuki. Czas wakacyjny, wolny od zajęć obowiązkowych, spożytkowuje w podróżach po różnych krach europejskich i czasami dzieli się swemi wrażeniami i spostrzeżeniami z ogółem czytającym. Niedawno dał nam swoje wspomnienie z podróży do Grecyi, obecnie takież wspomnienia z Hiszpanii. Sześć miejscowości opisał w swéj

książce: Barcelonę, Monserrat, Saragossę, Madryt, Eskuryal i Toledo. Należy p. Hirschberg do tych podróżników, co się już znudzili jednostajnością wrażeń, jakie się osiąga z oglądania podobnych do siebie miast wielkich w Europie; poszukuje więc stron mniéj szablonowych i doznaje rozczarowania, gdy zamiast oryginalnych budowli lub starych malowniczych ruin, napotyka jednostajne i pospolite domy i ulice jak np. w Saragossie. Nie lubi rozwałkowywać swych opisów i wrażeń; jasno, zwięźle kréśli to co widział i słyszał, zaznaczając charakterystyczne jedynie pod jakimkolwiek względem szczegóły. Przygodami własnemi nie chce zbytecznie zaprzątać umysłu czytelnika i woli dać mu sprawozdanie z rzeczy, które każdy podróżnik może oglądać lub przytoczyć podanie powszechnie opowiadane. Nastroju téż swojego, w jakim zwiedzał tę lub ową okolicę nie uwydatnia, jak to robią według mody dzisiejsi podróżnicy; humor jego jest jednostajny; ani melancholii, ani rozdraźnienia, ani niepokoju nie okazuje. Powabu więc psychologiczno artystycznego wspomnienia p. H. nie posiadają; można się z nich natomiast niejednéj rzeczy dowiedziéć np. charakterystyki Katalończyków w przeciwieństwie do Kastylczyków, albo zaznajomić się z mniéj znanemi i wogóle mało dostępnemi malowidłami Velazqueza i t. p. Autor nigdy czytelnika nie nuży, a to już jest wielką zaletą; są bowiem podróżopisarze, którzy szczupłą garść spostrzeżeń własnych, zdobytych w krótkiéj i przelotnéj wędrówce, umieją za pośrednictwem oczytania się w dziełach odpowiednich, rozdymać do objętości pokaźnych tomów; a tego p. Hirschberg unikał starannie; nawet pewne fakta dziejowe, które mógłby z łatwością opowiedziéć szeroko zaledwie zanotował. Styl jest gładki, ale nie wolny od „galicyanizmów”, z których wytknę jeden tylko, najbardziéj rażący: „prawie wszystkie szkoły włoskie są tam... zastąpione” (str. 76) to ma znaczyć: mają tam swoich przedstawicieli.

— *Exterus*. **Po zdrowie**. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 303. — Czytelnicy „Ateneum” znają ten utwór z łamów pisma naszego, gdzie się w czterech mieścił zeszytach. Obecnie gdy w pięknéj szacie książkowéj ukazał się z druku, uważamy sobie za obowiązek zwrócić uwagę ogółu na talent młody, który po raz pierwszy z większą pracą wystąpił. Naturalność i żywość opowiadania, wątek interesujący, rozwinięcie tego wątku swobodne, bez żadnych naciągań, delikatne dotknięcie w przedstawieniu sytuacyi i stanów duszy drażliwych, psychologia osób jasna, zrozumiała i dobrze umotywowana, styl potoczysty, język poprawny, a niejednokrotnie bardzo ładny: są to zalety, które tém bardziéj cenić dziś należy, ponieważ

uganianie się za tematami modnemi, przesada w odtwarzaniu chorobliwości duchowych, styl wyszukany zbyt często pociągają ku sobie rwące się do belletrystyki umysły. Pogłębienie psychologiczne przyjdzie niewątpliwie Exterusowi z czasem, zwłaszcza że już i w powieści „Po zdrowie” pomimo stosunków wybranych do malowania, dążność ku takiemu pogłębieniu istnieje, jak tego dowodzi przeprowadzenie charakteru Zosi. Coraz bardziéj wnikać w tajniki dusz ludzkich, toż to rozkosz dla artysty, a nie będzie mógł tego dokonać, jeżeli sam siebie coraz dokładniéj zgłębiać nie zechce.

= *Sewer*. **Zyzma**, powieść współczesna. Petersburg, K. Grendyszyński, 1896, str. 460. Z górą dziesięć lat temu jak „Ateneum” drukowało tę powieść Sewera, jedną z najlepszych, jakie dotychczas napisał. Kwestya żydowska w Galicyi przeprowadzona w niéj została ze znajomością rzeczy wielką, rozumnie pod względem społecznym, zajmująco, żywo i barwnie pod względem artystycznym. W naszych czasach, kiedy powieściopisarze mają tak rzadko sposobność poruszania spraw ważniejszych, kiedy pospolicie labirynty jeno miłosnych wzruszeń i zboczeń są z szczególniejszém rozpatrywane zamiłowaniem, „Zyzma” wyróżnił się swoim nastrojem i poglądem, dotykającym sprawy żywotnéj. Jako psycholog i jako obywatel patrzył autor na swego bohatera, a w niczém nie szkodząc wątkowi powieściowemu, umiał dać zarysy różnorodnych usposobień, jakie wśród żydów wiedeńskich i galicyjskich się w owych czasach uwydatniały. Zapewne, nie jest to utwór wykończony; niekiedy popuścił Sewer cugle swojéj fantazyi kreśląc to, co nie było zaobserwowaném, ale wymarzoném, lecz w przeważnéj części utworu trzymał się twardego gruntu rzeczywistości i potrafił wydobyć z niego motywy zajmujące i wzruszające.

= **Henryk Rodakowski.** (1823 † 1894). Wspomnienie pośmiertne, skréślił dr. Stanisław Tomkowicz. Kraków. Spółka wydawnicza polska, str. 23. — Jest to ciepło, na tle osobistych sympatyi, napisana sylwetka nie zaś studyum godne wielkiego artysty-malarza. Przeważają tu szczegóły z życia Rodakowskiego, a więc, gdzie i kiedy się urodził, gdzie i u kogo (Leon Cogniet) się kształcił, dokąd pojechał, kiedy powrócił do kraju, z kim (Kamila z domu Salzgeber Blüdornowa) się ożenił, kogo przyjmował w swoim domu, jak żył, jak się nosił, ile namalował portretów, obrazów i szkiców w chronologicznym porządku, kiedy otrzymał ordery i nominacye, co zamierzał zrobić jako przyszły dyrektor krakowskiéj szkoły sztuk pięknych i jak się zachowywał

w stosunku do oponentów, którzy z niechęcią powitali w nim prezesa zjednoczonego Towarzystwa sztuk pięknych. Natomiast w broszurze p. Tomkowicza, brak dostatecznego oświetlenia wielkich zalet technicznych Rodakowskiego, które wyniosły go na widownię wszechświatową sztuki w zakresie portretu. Jedyną charakterystykę malarza stanowi ustęp poświęcony „portretowi kardynała, który może największy rozgłos przyniósł swemu twórcy. W rzeczywistości—mówi p. Tomkowicz—nie jest to żaden (?) portret, tylko obrazowo (?) wykończone studyum, przedstawiające typowego modela, ogolonego starca wielkości natury, w postaci kaznodziei ubranego w purpurę kardynalską, widzianego do połowy ciała z poza parapetu kazalnicy. Obraz ten jest niewątpliwie jedném z najznakomitszych dzieł Rodakowskiego, streszcza w najwyższéj potędze wszystkie wysokie zalety jego pędzla, łącząc w jedną i harmonijną całość niesłychaną zmienność rysunkową z siłą kolorytu, subtelność charakterystyki, obserwacyi i modelowania z plastyką i umiejętnością wydobywania efektu. Miał on jeszcze i tę rzadką właściwość, że zarówno wywarł wrażenie na masy, jak zachwycił znawców.” Przedewszystkiém jest to i studyum i zarazem portret, wprawdzie nie kardynała ani kaznodziei, ale odźwiernego, który w chwilach wolnych od zamiatania schodów, ubrany w kardynalską purpurę, pozował Rodakowskiemu; to zaś, że się nazywał „*père Motto*” i był zwyczajnym, jak się w Paryżu mówi *pipelet*'em, nic a nic nie wpływa na obniżenie wartości portretu. Nie ulega przytém wątpliwości, iż portret ten należy do najlepszych dzieł Rodakowskiego; p. Tomkowicz jednak téj wyższości jego nie pokazuje, zadawalniając się powtórzeniem ogólnikowéj uwagi, jaką już był przedtém zrobił, iż Rodakowski „połączył tu w harmonijną całość niesłychaną sumienność rysunkową z siłą kolorytu;” tą samą bowiem „harmonijną całość” można z łatwością odkryć zarówno w portretach: jenerała Dębińskiego (1852 r.), matki malarza (1853 r.), żony (1863 r.), jak i w dwudziestu innych z ogólnéj liczby czterdziestu sześciu. Zestawienie przytém portretów Rodakowskiego z nokturnami Chopina, na które p. Tomkowicz po dwakroć nastaje, nie należy bynajmniéj do szczęśliwych. Nokturny Chopina wcale prostotą układu się nie odznaczają, a to, że nie wiele miejsca na papierze zajmują, jeszcze nie dowodzi, aby miały być kompozycyami „o małéj liczbie motywów charakterystycznych.” Przeciwnie; jeżeli o kim, to o Chopinie właśnie powiedzieć trzeba, iż w małych nawet ramach kompozycyi łączył niezmierne bogactwo motywów znamiennych z bardzo skomplikowanym układem. Inaczéj kompozycye jego nie byłyby przetrwały po dzień dzisiejszy w nawale technicznie złożonych utworów. Tak samo rzecz się ma z Rodakowskim. Wpradzwie

i jemu „do dzieł zakreślonych szeroko, wymagających architektoniki i wielkiéj orkiestry, brakowało również tchu i potrzebnego temperamentu;" nie mniéj przeto w swoich dziełach, jakkolwiek były to tylko portrety, wznosił się do wyżyn subtelnego artyzmu dzięki właśnie motywom charakterystycznym i skomplikowanemu układowi. P. Tomkowicz rozmiary płótna bierze widać za miarę motywów i układu i to go prowadzi do fałszywego wniosku o prostocie kompozycyi i technicznego wykonania. Rodakowski był skomplikowanym w robocie, jak mało kto w owym czasie, i za to właśnie otrzymał medal w Salonie paryskim w 1853 roku, wbrew tradycyi, która pejzażystów i portrecistów wyłączała z liczby laureatów. Jako wspomnienie pośmiertne, broszura p. Tomkowicza nie jest pozbawiona interesu, dzięki wielu szczegółom prywatnéj natury; jako monografia jednak wielkiego malarza nie przyczynia się niczém do charakterystyki jego talentu.

— *Dr. W. Ołtuszewski.* **Hygiena mowy.** Z 6-ma ryc. i 2-ma tablicami. Warszawa, Skiwski 1896, str. 57. — Bardzo treściwie ale zarazem i przystępnie wykłada autor na kilkudziesięciu stronach zasady fizyologii i psychologii mowy, jéj zboczenia oraz hygienę przestrzegawczą i leczniczą ku ich usunięciu. Dr. Ołtuszewski jest autorem kilku większych rozpraw o tym przedmiocie, na które powołuje się w tekście (między innemi p. t. „Rozwój mowy u dziecka, oraz stosunek tego rozwoju do jego inteligencyi." wyd. kasy Mianowskiego Warsz. 1896; „Próba popularnego wykładu fizyologii i patologii mowy", Warszawa 1892 oraz kilka przyczynków drukowanych w „Medycynie". Książeczka niniejsza przeznaczona jest dla rodziców i wychowawców. Główne wady, które roztrząsa autor są: jąkanie, niemota wrodzona, głuchoniemota, oraz bełkotanie wraz z wadliwém wymawianiem. Pierwsza jest wynikiem nerwicy ruchowéj objawiającą się w skurczach mięśni (organów oddechowych, strun głosowych, warg, języka). Niemota wrodzona polegająca na tém, że dzieci słyszą i rozumieją, ale mówić nie mogą, jest wynikiem osłabienia pamięci ruchowéj, któréj mniejszy stopień przadstawia bełkotanie. Głuchoniemota jest wynikiem braku słuchu; wadliwe wymawianie bywa wynikiem bądź roztroju funkcyonalnego bądź jakichkolwiek braków w narządach jamy ustnéj (np. mowa nosowa przy braku podniebienia). Jakkolwiek zbyt pobieżne, wskazówki hygieniczne nie są bezużyteczne i książeczkę p. Otłuszewskiego radzibyśmy widzieć jak najczęściéj w rękach matek. *W. M. K.*



Drażliwość literacka.

(Głos nie-literata).

Jak tylko u nas między literatami nastąpi skandal, wnet inni załamują ręce, zawodzą jeremiady, biadają na zgorszenie i upadek moralności wśród klasy, która powinna dawać wszelkich cnót przykłady bo przecież to czoło (?) narodu, przecież to kapłani i arcykapłanki, przechowujący skrzynię przymierza. Następnie mówi się, że u nas nigdy tego nie było, że u nas literackiém i dziennikarskiém piórem nigdy nie handlowano, że byliśmy do niedawna najidealniejszém społeczeństwém na kuli ziemskiéj. Teraz dopiéro coś się popsuło. Otóż przeciwko temu samobałwochwalstwu gotowiśmy zaprotestować i w literackich skandalach widziéć nietyle upadek moralności, co wybujałą drażliwość i śmieszną pyszałkowatość tego czoła narodu.

Dbałość o honor, o cześć osobistą powinniby mieć wszyscy ludzie; robić dobrze, do czego się kto zobowiąże, pełnić swój fach należycie, trzymać o sobie skromnie, rzecz to konieczna dla wszelkiego powołania ludzi. Nikt zatém nie może brać za złe literatom, jeżeli także każdy z nich dba o swoją cześć, o honor. Cóż kiedy ta dbałość przerodziła się u nich w chorobliwą drażliwość i to nie od dzisiaj, skoro już Horacy nazywał ich *Vatum irritabile genus*. Świadczy to przeciw tym naszym optymistom, którzy sądzą, że drażliwość literatów, artystów, dziennikarzy jest wytworem naszego czasu, lub specyalną własnością naszych zaściankowych stosunków piśmienniczych. Oko-

liczność ta wcale ich nie usprawiedliwia, tylko rzecz samę inaczéj przedstawia. Innemi słowy, zdaje nam się, że skandale literackie będą póty, póki stanie saméj literatury i dziennikarstwa. Co innego, gdyby się pytano o zmniejszenie skandalów. Zmniejszyć złe, jak w tym razie bijatyki i czynne obelgi między piszącymi a następnie okiełznać hajdamacką polemikę możnaby, tak nam się zdaje, gdyby literaci chcieli wejść w siebie, zniżyć nieco tonu o swoich mniemanych zasługach, nauczyć się nieco skromności. Z tego pyszałkostwa powstaje owa drażliwość, którą uważam za główną przyczynę mnożących się skandalów.

Rzecz to bowiem niesłychanie przykra i śmieszna, gdy młodzieniaszek, najczęściéj nie mogący skończyć gimnazyum, puszcza się na dziennikarstwo, poezyą, lub nauczycielstwo książkowe, ufając tylko natchnieniu. Pawiadają: co to komu szkodzi? Jeżeli nie zaczną pisać choćby źle, nie nauczą się pisać dobrze. Zapewne, kując stajemy się kowalami. Otóż przysłowie dobre w rzemiośle, nie uchodzi w sztuce pisania. Tu można więcéj lub mniéj dobrze pisać, ale zawsze trzeba o tyle dobrze, by robota nie była ćwiczeniem gimnazyalném. Tymczasem losy wykolejają ludzi i czynią ich partaczami na jedném polu natenczas, gdy na drugiém byliby może dobrymi pracownikami. Swoją drogą zarozumiałość ich wcale się przez to nie zmniejsza, a każdy, co wątpi o ich talencie, staje się wrogiem. Stąd gniewy, kończące się nieraz fatalnie. Więc żeby te gniewy ochłodzić, musieliby literaci długo pierwsze koty swojéj muzy rzucać za płoty. Daléj, musieliby pamiętać, że te ich utwory są najczęściéj taką drobnostką, takiém marném zerem, takiém nic, że nietylko nie przystoi się gniewać o upomnienie, lecz gdy ono jest wypowiedziane w dobréj wierze, jako życzliwa przestroga, powinniby być wdzięczni. Byle przestroga była w dobréj wierze uczyniona, nie kpinami np. z cudzego nazwiska. W takim razie drwiący oczywiście wywołuje kłótnię lub folguje swojéj złośliwości i chcąc niechąc prowadzi do skandalu.

Wszyscy ludzie występujący publicznie ze swojemi dziełami czyto literaci i artyści, czy adwokaci, mówcy i aktorzy, powinni być z góry przygotowani na sąd publiczny, zasadny lub bezzasadny, przychylny lub nieprzychylny; albo siedzieć cicho, albo wystąpiwszy do konkurencyi na tém polu, przyjąć wszelkie następstwa tego ryzyka. Nie należy się uważać za nietykałków i wszelkie zdanie surowsze nieco, lub tylko niepochwalne, brać za obrazę osobistą. Jest to drażliwość czysto literacka lub artystyczna.

Do chorobliwego spotęgowania téj drażliwości dużo się przyczynia fałszywy punkt widzenia, z jakiego literaci i artyści patrzą na

swoje utwory, na siebie samych i na otoczenie, śród którego żyją. Jakoż, panowie ci przeceniają swoje produkcye: uchowaj Boże by ich roboty porównywać z robotami rzemieślników, techników; stawiają się oni na czele ludzkości, mają się za istoty uprzywilejowane. Szewców, krawców, ślusarzów można ganić a nawet im wymyślać, gdy źle swoją sztukę odrobią; ale literaci i artyści mogą być partaczami, a zganienie ich robót równa się obrazie majestatu, bo wiązanie rymów lub temu podobne zatrudnienie wywyższa rymokletów ponad zwyczajnych ludzi.

Skutkiem takiego przeceniania samych siebie, literaci i artyści myślą, że ich bliźni i spółobywatele o nich i ich utworach wyłącznie mówią; że jak tylko który z nich skleił artykulik, powiastkę, wierszyk, zwróciły się nań oczy całego kraju, a już co najmniéj jednego miasta. Więc się nieboże nadyma, we wszystkich pismach peryodycznych szuka pochwał dla siebie, a gdy znajdzie recenzyą bez superlatywów pochwalnych, piorunuje w duszy, a gdy pozwolą, to i w druku, na obojętność, zazdrość lub nieuctwo spółtowarzyszów pióra. Gdy się zdarzy okazya, obrażone bóstwo płomieniem wybucha.

Więc główną winą i przyczyną skandalów literackich jest draźliwość literacka, to jest sami literaci? Tak nam się zdaje. A krytyka i krytycy czyż się nie przyczyniają lekceważąc, często poniewierając już nie dzieła, lecz autorów, do rozdmuchania namiętności? Ani słowa; tak się często dzieje. Dlatego chcąc o sprawie słusznie sądzić, trzeba znaczną część odpowiedzialności za skandale literackie złożyć na krytyków, recenzentów, sprawozdawców. Ten i ów nie umiałby nic powiedziéć o saméj książce, gdyby się nie mógł przyczepić do jéj autora, do jego nazwiska, do zawodu czyli jego powołania, do plotki krążącéj o nim, słowem do byle czego, bo to łatwiejszy sposób recenzowania, aniżeli czytać chociażby przedmowę i zakończenie dzieła. Wytrącić z rąk niepowołanych krytykę, uczynić ją z subiektywnéj obiektywną byłoby to zmniejszyć okazye do skandalów. Ale czy to możebne? Kto będzie stanowił ten trybunał? A jeżeli trybunał się znajdzie, kto go będzie słuchał, skoro każdy z ludzi ma się za najmędrszego? Wobec nieprawdopodobieństwa, by literaci sami, bez trybunału doszli do miary w języku, a z drugiéj strony wobec prawdopodobieństwa, że te dzieci Apollinowe wiecznie będą się kłóciły, pozostają jako ostatnia ucieczka: sądy polubowne lub państwowe. Do polubownych sądów o sędziów nie łatwo, kto bowiem do nich należał wié z doświadczenia jak trudno, prawie niepodobna pogodzić literatów i artystów—to taki lud uparty, zarozumiały, przeceniający każdą literę swojéj produkcyi,

wojujący zasadami gdy o nich samych idzie. Sądy polubowne to istne tortury dla sędziów. Pomijać się jednak nie można i dopiéro gdy do pożądanego rezultatu nie doprowadzą, uciec się trzeba do sądów zwyczajnych. Zawsze stanowią one jaki taki hamulec przeciw krewkości literackiéj; zawsze są one godniejsze spraw tego rodzaju od kija, kuli, plotek lub paszkwilu.

F. K.



NEKROLOGIA.

† **Józef Sikorski** urodził się w r. 1813 w Warszawie, z rodziców ubogich, kształcił się w liceum, będącém wówczas pod kierownictwem Lindego, ale ukończył tylko klas cztery; tu brał początki śpiewu chóralnego pod Stefanim, który polecił go Elsnerowi, dyrektorowi konserwatoryum, gdzie ś. p. Sikorski uczył się gry na fortepianie. Po dwuletniéj blisko przerwie, w ciągu któréj służył wojskowo, sam daléj się kształcąc, zaczął udzielać lekcyi muzyki najprzód w Płocku, potém w Warszawie. Namówiony przez przyjaciela swego, Antoniego Czajkowskiego, poetę-prawnika, zaczął pisywać recenzye muzyczne w „Bibliotece Warszawskiéj", gdzie również umieścił trzy artykuły: „O formie muzycznéj", „Muzyka domowa", oraz rozbiór pierwszego „Śpiewnika Moniuszki" W r. 1840 wydał „Nową szkołę na fortepian", w r. 1852 ogłosił „Doręcznik muzyczny" (str. XII, 305), a od r. 1857 do 1862 wydawał czasopismo p. t. „Ruch muzyczny" (w r. 1862 p. t. „Pamiętnik muzyczny i teatralny"; razem 6 dużych tomów). Dużo tu pisywał sam, a z pomiędzy spółpracowników główniejsi byli: M. Karasowski, O. Kolberg, J. Stobnicki, E. Brzoski, M. Jelski, T. Skapczyński, M. Modzelewski, J. Doroszeński). Od r. 1866 do 1874 redagował „Gazetę Polską", pozwalając prowadzić w niéj kampanię przeciw t. zw. ruchowi pozytywistycznemu („młodéj prasie"). W życiu społecznêm brał żywy udział: był jednym z założycieli Towarzystwa muzycznego, orędował Spółce jedwabniczéj, należał do gorliwych członków Towarzystwa ogrodniczego; prowadził drukarnię. W poglądach swoich był stanowczym, w polemice surowym, lubo w gruncie rzeczy łagodnym i szlachetném sercem się odznaczał. Jako kompozytor muzyczny pozostawił prac kilka na chór i deklamacyę (Dzwon, Radość i in.), dużo

pieśni solowych (Rojenia wiosenne, Żale sieroty, Gdzie wstają zorze), parę utworów fortepianowych (Nokturn, Marsz, Obrazek sielski). Zmarł w Warszawie 4 maja r. b.

† **Paweł Kośmiński**, literat, urodzony w Warszawie 29 czerwca 1860 r., otrzymawszy średnie wykształcenie, wszedł do trupy aktorów prowincyonalnych, ale po dwu latach usunął się i oddał piśmiennictwu, zasilając ulotnemi wierszami satyrycznemi wszystkie pisma t. zw. humorystyczne polskie, nawet amerykańskie. Otrzymał odznaczenie za humoreskę: „Strzeż się prowizora” na konkursie Tygodnika ilustrowanego, podobneż odznaczenie za humoreskę: „Medyk z Koszturkowa” na konkursie Gazety Świątecznéj; tudzież za melodramat „Walka” na konkursie Echa Muzycznego w r. 1888. Przerobił dramat Bariera na „Tajemnice Warszawy”, które r. 1887 grane w teatrzyku Nowy Świat miały duże powodzenie. Napisał komedyę: „Artykuł”, nowela „Na słupie”, „Dlaczego?”, „Serce bez grosza”, „Syn dziedzica”, „Raut muzyczny w miasteczku”, „Klocia”, „Na progu życia”, „Oni”, „Trzecia maskarada”, „Śmieszny człowiek”, „Gołąbki” i wiele innych. Z większych utworów poetycznych wymieniamy: „Z tajemnic facyatki”, „Dwie drogi”, „Na mogile”. Niektóre wierszowane utwory wyszły w zbiorku p. t. „Poezye” (Warszawa 1896, T. Paprocki). Zmuszony do pracy pośpiesznéj, do pisania wierszy żartobliwych, do których miał talent największy, nie mógł swych utworów opracowywać, nie mógł stworzyć czegoś donioślejszego znaczeniem. Lubo życie nie płynęło mu łatwo i miło, zawsze był w dobrym humorze, zawsze sypał dowcipy jak z rękawa, biorąc pochop z bieżących wypadków życia warszawskiego, które znał doskonale. Zmarł w szpitalu 10 maja r. b.

† **Józef Przyborowski**, uczony językoznawca i archeolog, urodził się 7 marca r. 1823 w Gałęzowie, niedaleko Wrześni w W. Ks. Poznańskiém, z ojca Kazimierza i matki Maryanny z Waliszewskich, gimnazyum ukończył w Trzemesznie, a uniwersytet we Wrocławiu. Poświęciwszy się zawodowi nauczycielskiemu, został profesorem gimnazyum w Trzemesznie od r. 1852, w Poznaniu od r. 1854 a zarazem przełożonym archiwum grodzkiego poznańskiego. W r. 1857 ogłosił pierwszą prawdziwie krytyczną „Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego” (str. 222), która zainaugurowała u nas poważne badania nad życiem i twórczością najznakomitszego poety naszego w w. XVI. W r. 1859 ogłosił w Piśmie Zbiorowem wileńskiém „Wiadomość historyczną o krwawym dyable.” W tymże roku w Bibliotece Warszawskiéj podał wiadomość o „Probostwie poznańskiem Jana Kochanowskiego” (t. I), a w r. 1860 tamże wydrukował rzecz o „Mennicy łobżeńskiéj” (t. I), oraz „Znaczenie wsteczy w sądownictwie polskiém

za panowania Władysława Jagiełły" (t. III). W 1861 wydał w Poznaniu rozprawę o najdawniejszéj deklinacyi przymiotników polskich: „Vetustistimam adjestivorum linguae polonae declinationem monumentis ineditis illustravit". W r. 1863 powołany został na profesora języka polskiego w Szkole Głównéj warszawskiéj i przedmiot ten wykładał do r. 1869, przedstawiając fonetykę, morfologię, etymologię i historyą języka. W tym czasie ogłosił: „Życie domowe Stanisława Chwalczewskiego" (1864). Od r. 1870 do 1887 był lektorem języka niemieckiego w uniwersytecie warszawskim, a równocześnie bibliotekarzem ordynacyi Zamojskiéj. Wówczas redagował od 1874 do 1882 „Wiadomości archeologiczne", a nadto ogłosił „Wycieczki archeologiczne po prawym brzegu Wisły" (1874), „Wycieczki archeologiczne nad Świder", „Opisanie pięciu wydań Opecia z XVI w. (1882), „Przyczynki do historyi mennic wielkopolskich" (1883), „Kilka uwag o numizmatyce średniowiecznéj polskiéj" (1884), „Mniemany przywiléj założenia kościoła w Górze" (1887); opracował poezye łacińskie i Fraszki Kochanowskiego do pomnikowego wydania dzieł tego poety w roku 1884. W „Ateneum" pomieścił studyum bibliograficzne" p. t. „Jana Kochanowskiego pieśń o potopie" (1876 t. I), oraz „Rok śmierci Fab. Seb. Klonowicza" (1878, t. I);—w „Bibliotece Warszawskiéj" zaś: o „Psałterzu puławskim" (1880, t. III), „Wykopalisko monet X i XI wieku" (1884, t. I), „Listy Adama Burskiego, prof. akad. Zamoyskiéj" (1884 t. II), „Kilka szczegółów do życiorysu Szymona Starowolskiego" (1889, t. I), „Dosia wobec nauki" (1889, t. II), „Zagadka bibliograficzna. Rozprawa. Przygody żołnierza 1595" (1889, t. IV), o „Krótkiéj rozprawie M. Reja" (1893, t. II), „Kilka nieznanych listów Szymona Szymonowicza" (1895, t. II). Zmarł w Warszawie 13 maja r. b.

† **Wilhelm Fecht**, urodzony w Berlinie 1821, otrzymał w uniwersytecie tamecznym stopień doktora filozofii. W r. 1844 przybył do Warszawy, uczył języków starożytnych w Instytucie Szlacheckim, poczém był inspektorem szkół m. Warszawy, a następnie cenzorem. Wydał nową edycyą Wypisów greckich Jacobsa z przypiskami polskiemi (1861), podręcznik elementarny do nauki jęz. niemieckiego: „Theoretisch-praktische Lehrbuch der deutschen Sprache" 1859 (4 wydania), oraz „Reden zur Schillerfeier in Warschau am 10 November 1859," gdzie między innemi mieści się mowa Kraszewskiego na cześć Schillera w przekładzie G. Dittmanna (Warsz. 1859). Zmarł w maju r. b.

† **Joachim Antoni Szyc**, urodzony r. 1824 we wsi Borowie w Podlaskiém, uczył się w Łukowie. Roku 1848 służył wojskowo a potém był na Wschodzie, skąd do Warszawy wrócił 1858, ale od r. 1864 mieszkał w Szczukursku. Od r. 1867 był urzędnikiem na kolei warszaw-

sko-wiedeńskiéj. Prócz artykułów po czasopismach i w Wielkiéj Encyklopedyi Orgelbranda, ogłosił oddzielnie: „Legiony na Węgrzech” 1850, „Kalendarz historyczny” 1851; „Geografia starożytnéj Polski 1851” (2-e wyd. 1861), „Geografia Królestwa Polskiego i Cesarstwa Rosyjskiego” 1864; „Słowiańscy bogowie” 1866. Urywki z dziennika podróży do Rosyi drukował r. 1866 w „Kłosach.” Pisywał téż i powieści: „Niezłomna wola”, „Czysta krew”, „Sen złoty”. Zmarł w Warszawie w połowie maja r. b.

† **Marya z Trębickich Faleńska**, żona poety Felicyana, tłomaczka powieści angielskich, jako to: „Joanna Eyre” przez Bronte, „Złota Ptaszyna” przez Fullerton, „Henryk Dunbar”, „Czy nie za późno?” Braddon i inn., pisywała także i powieści oryginalne. Zmarła w Warszawie 24 maja.

† **Marya Paprocka**, młoda nauczycielka i powieściopisarka niemałego talentu, pisująca pod pseudonimem Znicza, przebywając w Łucku na Wołyniu, w dniu 27 maja udała się wraz z przyjaciółką do kąpieli w rzece Styr i uniesiona wirem utonęła. „Ateneum” pomieściło parę jéj małych obrazków; większą zaś powieść p. t. „Uśmiech życia” drukuje obecnie „Kuryer Codzienny.”

† **Tytus Sopodźko**, rodem z gubernii mińskiéj, inżynier, członek korespondent Akademii petersburskiéj, zmarł nagle w Krakowie 29 maja, licząc lat 51. Zajmował się on studyami słowiańskiemi. W dwu numerach „Niwy” r. b. (20, 21) był drukowany jego artykuł p. t. „Z piśmiennictwa bulgarskiego”, gdzie z powodu jubileuszu Jana Wazowa, przedstawił działalność tego pisarza i podał przekład dwu jego utworów poetycznych.

† **Aleksander Scheller**, urodzony w Warszawie ok. r. 1845, ukończywszy tu szkoły, przepędził czas jakiś za granicą, oddając się studyom chemicznym. Potém obrawszy sobie zawód dentystyczny, po uzyskaniu dyplomu r. 1867 w Szkole Głównéj, obok praktyki, zajmował się i literaturą fachową. W r. 1868 przetłomaczył popularne dziełko d-ra Suersena p. t. „Poradnik pielęgnowania zębów i ust”; samodzielnie zaś napisał: „Znieczulenie za pomocą tlenku azotu (w „Gazecie lekarskiéj”) r. 1869, „Jakie są powody szerzących się coraz bardziéj cierpień zębów” r. 1869, „Zęby, sposób unikania i leczenia ich cierpień”, 1877, „Chlorek etylu, nowy środek do znieczulań miejscowych” (w „Gaz. lekarskiéj” 1891). Pisywał także i do specyalnych wydawnictw niemieckich. Zmarł w Warszawie 30 maja r. b.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

---

1. *Henryk Struve.* **Wstęp krytyczny do filozofii** czyli rozbiór zasadniczych pojęć o filozofii. Wyd. z zapomogi kasy pomocy im. d-ra Mianowskiego. Warsz. 1896, skład g. w księg. Wende i Sp., 1896. 8-vo, str. XXII i 724.
2. *Guhl* i *Koner*. **Hellada i Roma**. Życie Greków i Rzymian. Przełożył *Stanisław Mieczyński* (z 1061 ilustracyami). Warsz. Gebethner i Wolff, 1896, zesz. I, II i III (cena zesz. 50 kop.).
3. **Państwo nowożytne i jego funkcye.** (*L'État moderne et ses fonctions*). Przez *Pawła Leroy-Beaulieu* przełożył *Piotr Malinowski.* (Z zapomogi kasy J. Mianowskiego). Warsz. skład gł. w księg. E Wendego i S-ka, 1896, 8-vo, str. 327.
4. **Promienie Roentgena.** Z H. Müllera przełożył i uzupełnił *Ksawery Sporzyński.* Warsz. wyd. Przeglądu Tygodniowego, 1896, str. 15.
5. *Dr. Wilhelm Konrad Röntgen.* **O nowym rodzaju promieni.** Z oryginału przełożył i wstępem opatrzył *S. Srebrny* (Z rysunkami). Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, str. 34.
6. **Sprawozdanie komisyi fizyograficznéj**, tom 30. Krak. nakł. Akademii Umiej. 1895, 8-vo str. XXIII, 276 i 287 z 3-ma tabl.
7. **Rozprawy** Akademii Umiej Wydział matem.-przyrodn. Krak. nakł. Akad. Umiej. 1895. 8-vo, tom 28, str. 449 z 5 tabl.; tom 29. str. 412 z 9-u tabl. i mapą.
8. **Atlas geologiezny Galicyi**. Zeszyt V. (kart 4). Opracował dr. *Władysław Szajnocha.* Krak. wyd. komisyii fizyogr. Akademii Umiej. 1895 (wielkie fol.).
9. *Maryan Sokołowski.* **Rzeźba** z kości słoniowéj XI wieku i najstarsze książki liturgiczne. Krak. 1896, 8-vo, str. 30.
10. *Wojcieeh Kętrzyński.* **O kronice** wielkopolskiéj. Krak., nakł. Akademii Umiej. 1896, 8-vo, str. 54.
11. **Mapa cukrowni** i rafineryi państwa Rosyjskiego zestawiona i wydana nakładem Zakładu Hodowli Nasion *K. Buszczyńskiego* i *M. Łażyńskiego* w Niemierczu, 1895.
12. **„Średnia Azya“**. Pismo zbiorowe naukowo-literackie, pod redakcyą *E. T. Smirnowa*, Taszkent, 1895, 8-vo, str. 212.
13. **Wisła**. Tom X, zesz. I: styczeń, luty, marzec 1896, str. 219 (z rysunk.)
14. **Encyklopedya rolnicza**, wydawana staraniem *Muzeum przemysłu i rolnictwa.* Warsz. 1896, zesz. LVII i LVIII (str. 305—464).
15. *Plato v. Reussnera.* Najlepsza metoda czyli **Samouczek** polsko-francuski. Warsz. 1896, zesz. XL—XLV (cena zesz. kop. 15).
16. **Encyklopedya ilustrowana**. Warsz. nakł. M. Arcta, 1896, zesz. III i IV (str. 65—128).
17. *Klemens Junosza.* **Wnuczek** i inne nowele i obrazki. Warsz. nakł. Emila Skiwskiego, 1896, 8-vo, str. 164.
18. *Alfred Kanar.* **Pierwsza miłość.** Warsz. nakł. Emila Skiwskiego, 1896, 8-vo, str. 253.
19. *Ks. Władysław Michał Dębicki.* **Filozofia nicości.** Rzecz o istocie buddyzmu. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 108.
20. *Michał Rolle.* **Z przeszłości.** Okrąg Rowski, Starostwo Barskie. Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, 1896, 8-vo, str. 232.
21. Teatr amatorski: Nr 43 **Nasze bziki**, farsa w jednéj odsłonie przez *Henryka Piątkowskiego*, str. 62.—Nr 44 **Mankiet** fraszka sceniczna w jednéj odsłonie przez *Edwarda Lubowskiego*, str. 23. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa (cena Nru po 30 kop.).
22. **Sprawozdanie** z czynności komisyi krajowéj dla spraw przemysłowych za czas od 1 grud. 1894 do końca listopada 1895. Lwów, nakł. Wydziału krajowego, 1896, składu Gubrynowicza i Schmidta, str. 38 + 106 + 208 + 41 — 93, + 68.
23. **Sprawa** przyjęcia jednolitéj **pisowni**, proponowanéj przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Przez *J. Baudouina de Courtenay*, *A. Brücknera*, *A. Kalinę*, *J. Karłowicza* i *A. A. Kryńskiego.* Wyd. trzecie. Krak. 1896, 8-vo, str. 39.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

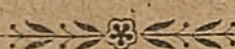
Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.



Wydanie **KOBIETY** Jubileuszowe

MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO i KRASIŃSKIEGO

RYS LITERACKI

D-ra Piotra Chmielowskiego.

Cena rs. **4.** W oprawie ozdobnej rs. **5** kop. **50.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie, Nowy-Swiat Nr. 41.